

Paweł Smoleński

# BALAGAN

Alfabet izraelski



*Alija, Cymes, Chasydzi, Gefilte kisz,  
Intifada, Kipa, Łojojoj, Mosad, Szabat,  
Talmud, Upal, Uzi...*

Paweł Smoleński

# BALAGAN

Alfabet izraelski

WARSZAWA 2012

# Spis treści

Wstęp

A – Alija

B – Ben Gurion David

C – Cymes

D – Diaspora

E – Entebbe

F – Folman Ari

G – Gold Star

H – Herzl Teodor

I – Izraelskie Siły Obrony

J – Jalla

K – Koszerność

L – Likud

Ł – Łojojoj

M – Masada

N – Nir Oz

O – Oz Amos

P – Pardes

R – Rabin Icchak

S – Szohah

T – Tora

U – Upał

W – Wojna

Y – Yafo

Z – Zachodni Brzeg

Metryczka książki

# Wstęp

Ten alfabet winien zaczynać się od I. Bo I dotyczy jednego z najgorętszych I, jakie kiedykolwiek pojawiły się w geografii, polityce, kulturze – Izraela.

A więc: I jak Izrael, kraj na Bliskim Wschodzie, z historią – zależy, jak kto liczy – trwającą lat sześćdziesiąt z haczykiem lub pięć tysięcy z hakiem. Dotyka Morza Śródziemnego i Czerwonego, aczkolwiek w tym drugim przypadku nie jest to dotyk, lecz ledwie niezauważalne muśnięcie. Powierzchnia – 22 tysiące kilometrów kwadratowych, co daje mu miejsce pod sam koniec pierwszej setki w światowym rankingu wielkości państw. Około ośmiu milionów mieszkańców – miejsce w rankingu poza pierwszą setką. Izrael ma co najmniej jedną rzekę znaną na całym świecie (Jordan), jedno jezioro (Galilejskie), pustyni dość, za to miejsc świętych więcej niż gdziekolwiek indziej. Po ziemi Izraela chadzali prorocy – Abraham, Jakub i Dawid. Mieszkał tu Jezus, a Mahomet właśnie z Izraela odbył swoją podróż do nieba.

To kraj, gdzie high-tech jest na wyższym poziomie niż w Dolinie Krzemowej. I nie trzeba prosić celników, jeśli chce się wywieźć jakąś antyczną figurkę, bo gdziekolwiek zanurzy się w tej ziemi łopata archeologa, wykopie coś, co jest zabytkiem.

Władali tą ziemią Żydzi, Egipcjanie i Babilończycy. Helleni, Rzymianie, Bizantyjczycy, rycerze krzyżowcy i Arabowie. Wtrącała się tu Turcja i Wielka Brytania. I znów Żydzi, którzy zmienili się w Izraelczyków, ale od jakiegoś czasu stają się bardziej żydowski.

Tak samo jak Arabowie mieszkający w Izraelu i na Zachodnim Brzegu stają się tam coraz bardziej arabscy.

Gdyż I (jak Izrael) mieści tyle, ile chyba żadna inna litera alfabetu. O tym I jest ta książka.



Poznałem kiedyś pewną damę – wziętą artystkę i dobrą kobietę. Rzekła: – Kochasz tych Żydów bezkrytycznie.

Odpowiedziałem, że niektórych bez wątplenia tak, a innych – nie, za żadne pieniądze.

Mój kolega napisał do mnie, że nie znosi Izraela i na dodatek zna Izraelczyków, którzy myślą podobnie.

Odrzekłem, że uwielbiam Izrael, lecz akurat z wieloma Izraelczykami mi nie po drodze.

Ale też izraelski przyjaciel, mądry, może nawet z tych najmądrzejszych, ocenił, że jestem większym syjonistą niż on.

Odpowiedziałem: – Zobacz, jakich cudów dokonał twój kraj. O okropnościach akurat wiesz, wyrządzonych niechcący i przy okazji.

Ale też celowo – to też prawda, niestety.

Pewien izraelski Arab rzekł mi, że powinienem poczuć na plecach izraelski bat, to może zrozumiałbym cokolwiek. Był menedżerem w izraelskiej firmie. Nikt go nigdy nie pytał o poglądy.

Palestyńczyk zaś, kumpel z dawnych lat, opowiadał, że choć bił się z izraelską armią w Libanie, to izraelska obecność w jego wiosce na Zachodnim Brzegu była w swej paskudności najmniej dotkliwa ze wszystkich władz, jakich doświadczył. A szło mu o własną władzę, palestyńską.

Przyjaciel z Gazy uzupełnił: – Pod Izraelem było mi źle. Pod Hamasem... Mój Boże.

Jak z nimi dojść do ładu?

XXX

Izrael – miejsca tam tyle, ile na świątecznym obrusie. Ludzi – niewiele więcej.

A jednak – kraj nie ma jeszcze stu lat, lecz historię liczy od czasu proroków, kiedy morze umiało się rozstać, bo chciał tego Bóg i człowiek. Niespełna osiem milionów mieszkańców, lecz zawarty jest w nich cały świat, od salonów Wiednia, bruków Paryża i błota warszawskich Nalewek po pustynie Arabii, żar Afryki, wonne przyprawy Dalekiego Wschodu i śnieg afgańskiego Hindukuszu. Kamieni pamiętających pradawność więcej tam niż gdziekolwiek indziej.

Lecz mnie się zdaje, że kraj najlepiej poznawać przez ludzi, którzy po tych kamieniach chodzą każdego dnia: przyjaciół, obcych, gaduły i milczków, spokojnych i awanturników. To mój słownik przewodnik po Izraelu, bo tylko takich ludzi tam widziałem. Spotkacie kogoś innego (a spotkacie z pewnością), ułoży wam się własny. Szalom.

*Parwel Smoleński*

**A**

---

## **Alija**

Bez alii nie byłoby Izraela, a nawet osadnictwa żydowskiego w Palestynie, w Ziemi Świętej, Erec Israel czy jak nazywamy ten kawałek świata. Alija oznacza początek, przyczynę, punkt startu, powód. Słowem – wszystko, od czego należy zaczynać opowieść o Izraelu.

Wedle słownika aliya to wezwanie do publicznego czytania Tory (patrz T) w synagodze. Albo

określenie pielgrzymki Żydów do Jerozolimy (patrz J) w dni świąteczne. Może być to więc pielgrzymka z odległego o sto kilometrów z okładem Aszdod albo – i tym się interesujemy – powrót do ojczyzny ojców. Nie ma znaczenia, po ilu latach wygnania, skąd i dlaczego. Każdy Izraelczyk (Czy aby na pewno? Wnet się okaże) lub, coraz częściej, jego przodek musiał dokonać alii.

Alija to jednak nie jest zwykła emigracja z Płońska, Rzeszowa, Wiednia, Mińska, Pińska, Kijowa, Lwowa, Paryża, Nowego Jorku, Buenos Aires, z marokańskiego Marrakeszu, afgańskiego Heratu, a nawet z indyjskiego stanu Kerala, z Chin, Mongolii lub Birmy do Jerozolimy, Tel Awiwu (jeśli już był, bo to młode miasto) albo do Hajfy. To nie banalne przesiedlenie, wyjazd na stałe z punktu A do punktu B. To Powrót do Erec Israel, Ziemi Izraela, o co nawet niewierzący Żydzi modlili się przez tysiąclecia przy szabatowych świecach.



*A jak Alija – Brama witająca nowych mieszkańców kibucu Negba. Lipiec 1949*

Alija była początkiem nowej biografii. Często wiązała się ze zmianą imienia i nazwiska na hebrajskie. Jurek zamieniał się w Jorama, Fela w Ofre. Alija nakazywała szukać nowego zawodu nie dlatego, że w Palestynie/Izraelu nie było miejsca dla krawca z warszawskich Nalewek lub profesora uniwersytetu w Wilnie. Ale prawdziwy Hebrajczyk nie powinien przypominać Żyda chałaciarza ani intelektualisty okularnika. Nie będzie nim pomiatać byle pałkarz antysemita. Zostanie – tak działo się przez dziesięciolecia – rolnikiem i żołnierzem. Dopiero kiedy zaorze suche pola, zamieni nieużytki w żyzną ziemię (po powstaniu Izraela bywało z tym różnie), kiedy obroni osiedle przed atakiem arabskich sąsiadów, od których zresztą wcześniej kupił ziemię, będzie mógł w końcu tłumaczyć wiersze i patrzeć w gwiazdy. Poznałem takich kibuczników – zajmowali się nawożeniem pól lub systemami zraszania ich wodą, a wieczorami tłumaczyli książki, w wolnych chwilach wykładali na uniwersytetach, malowali, lepili artystyczną ceramikę, jakoś w tym wszystkim delikatni, choć pod kanapą w salonie trzymali karabin M-16.

Słowem – alijsa to najbardziej radykalna odmiana żydowskiego losu. Nie tylko dom jest nowy, choć ojczysty, nowe są też osobowość, natura, przyzwyczajenia, myśli, marzenia i sny. Alija stworzyła nowy naród – Izraelczyków.

Po serii pogromów w Rosji w latach 1881–1914 (przed przemocą uciekło z imperium ok. 3,5 miliona Żydów, głównie do USA) część emigrantów decyduje się na Palestynę. Finansista baron Edmond de Rothschild, kryjąc się pod pseudonimem „znanego dobroczyńcy”, wspiera osadników. W 1882 r. Żydzi z Charkowa zakładają Rishon le-Cijjon (dziś miasto pod Tel Awiwem), Żydzi z Rumunii – koloni Rosz Pina. Między 1882 a 1903 r. w Palestynie osiedliło się ok. 25 tysięcy Żydów, głównie z Rosji i Jemenu. To pierwsza alija.

Druga alija to głównie emigranci z Polski i Rosji (choć również Jemenici – Żydzi z Jemenu), zarażeni ideami syjonizmu i socjalizmu głoszonymi przez Teodora Herzla (patrz H), który marzył o żydowskim państwie sprawiedliwym również dla nie-Żydów. Uciekali po kolejnej fali pogromów i po klęsce rewolucji 1905 r. Zbudowali pierwsze domy w położonej na nadmorskich wydmach osadzie pod arabskim portem Jafa (patrz Y), którą nazwali Tel Awiw (1909 r. – patrz T). Otworzyli pierwsze hebrajskie gimnazjum. W Jerozolimie powstała Akademia Sztuk Plastycznych Becalet (dziś uczelnia o światowej renomie, znana głównie z wydziału wzornictwa przemysłowego), gdzie studiowali architekturę i malarstwo, choć mieli podobno tylko uprawiać pola. W Galilei powstał pierwszy kibuc – Degania – a w Hajfie wmurowano kamień węgielny pod pierwszy żydowski ośrodek naukowy Technion. W sumie do 1913 r. do Palestyny zjechało 40 tysięcy nowych osadników. Powołano ponad 40 kolonii rolniczych i kilkanaście kibuców.

Trzecią aliję (35 tysięcy) w 1919 r. zainaugurowało przybycie do portu w Jafie statku z 650 emigrantami. Koniec pierwszej wojny światowej na nowo rozdał bliskowschodnie karty między Anglię i Francję. Palestyna nie jest już częścią imperium otomańskiego, ale terytorium mandatowym Wielkiej Brytanii.

Czwarta alija (początek w 1924 r., 80 tysięcy – w trzech czwartych to Polacy, ale też Rosjanie, Litwini, Rumuni, oraz Irakijczycy i Jemenici) powołała do życia Uniwersytet Hebrajski. Europejscy osadnicy płyną do Hajfy i Jafy, a w Palestynie wybucha arabskie powstanie przeciwko Brytyjczykom i żydowskiej kolonizacji. W pogromie hebrońskim w 1929 r. ginie kilkudziesięciu Żydów, nowych emigrantów studiujących w jesziwie, ale też członków żydowskiej społeczności mieszkającej tam od czasów starożytnych i średniowiecza. Ponad 400 ocalili arabscy sąsiedzi.

Piąta alija (1931 r., 250 tysięcy, w tym 100 tysięcy z Niemiec uciekających przed nazizmem) również zetknęła się z jawnym sprzeciwem palestyńskich Arabów. Wielki mufti Jerozolimy jest otwartym zwolennikiem i sojusznikiem Hitlera. Arabscy politycy żądają od Brytyjczyków kontrolujących Palestynę wprowadzenia całkowitego zakazu żydowskiej emigracji i sprzedaży ziemi osadnikom. Każdy Arab, który sprzedałby ziemię Żydom, zostanie – jak uchwaliła konferencja duchownych biegłych w Koranie – obłożony klątwą. Brytyjczycy uznają żydowską emigrację do Palestyny za nielegalną.

Szosta alija – wbrew woli rządzących Brytyjczyków – trwała od końca drugiej wojny światowej do 1947 r. To głównie ocaleni z Holocaustu (patrz S).

Gdy 14 maja 1948 r. David Ben Gurion (patrz B) proklamuje powstanie Izraela, mieszka tam około miliona Żydów.

Dziś Izrael ma niespełna osiem milionów mieszkańców. Milion z hakiem to Arabowie –

obywatele Izraela. Kolejny milion to niedawni przybysze z bywszego imperium. Milion – ortodoksi religijni. A reszta czyli mniej więcej połowa dzieli się na lewicę, centrum, prawicę, postępowców i konserwatystów, religijnych (konserwatywnie lub umiarkowanie) i świeckich. Większego koktajlu postaw i poglądów nie ma nigdzie na świecie.

XXX

W 1950 r. parlament izraelski uchwała prawo do powrotu – hok ha szwut. Stanowi ono, że każdy Żyd może dokonać alii. Jego przodkowie znaleźli się zrządzeniem losu poza Erec Israel, więc powinien mieć możliwość powrotu do domu.

Rozmawiałem z Izraelczykami, którzy przybyli z Maroka, zostawiając tam niemal cały dobytek. Z uchodźcami z Iraku wygnanymi przez publiczne egzekucje na Żydach. Z uciekinierami z Iranu po rewolucji ajatollahów. Poznałem ciemnoskórych Falaszów z Etiopii (jeśli w Izraelu ktoś narzeka – niekiedy słusznie – na rasizm Żydów wobec Żydów, to właśnie Falaszowie). A w Hebronie (patrz H) widziałem skośnookich chasydów dbających o porządek przed wejściem do Groty Patriarchów.

Wszyscy przywieźli ze sobą własną kulturę, kuchnię, muzykę, używki, obyczaje, język, rysy twarzy i karnację skóry. Izraelczyk może być jasnym blondynem z niebieskimi oczami albo czarny jak najczarniejsza noc. Może mówić po niemiecku z wiedeńskim akcentem i czytać Kanta, po arabsku w dialekcie z Bagdadu, po amharsku, choć w tym języku zazwyczaj nie pisze; Żydzi etiopscy byli analfabetami. Na święta przygotowuje europejską rybę po żydowsku gefilte fisz (patrz G) lub afgańskie albo irackie przysmaki. Pije wódkę (ostatnio coraz częściej) albo pali hasz, bo w krajach arabskich wódka była zabroniona.

Dzięki alijom Izrael to cały świat.

XXX

Ostatnia wielka imigracja to przybysze z byłego ZSRR. Nazywa się ich Rosjanami, choć zjeżdżali również z Ukrainy, Kazachstanu i dalekiej Syberii. Wedle jednych rosyjska alija to wielki sukces Izraela. Wedle innych – największa porażka asymilacyjna.

Sukces – bo przywieźli ze sobą naukę, teatry, balet, muzykę. Uliczne orkiestry w izraelskich miastach tworzą, bywa, najprzedniejsi filharmonicy. Ocalili – tak chcą niektórzy – europejski charakter Izraela przed Żydami z Maghrebu. Rosjanie – opowiadano mi – ciężko pracują, nie muszą od razu mieszkać w Tel Awiwie, nie żądają nadzwyczajnych przywilejów, chętnie służą w wojsku.

Porażka – bo razem z nimi zjawily się w Izraelu zorganizowana przestępczość, prostytutka i pijaństwo. Nie integrują się z państwem, żyją w swoich gettach, czytają rosyjskie gazety. Przez nich armia zaczęła doświadczać fali, zjawiska kiedyś nieznanego. Rosjanie – słyszałem – to najwięksi rasiści (nie znoszą nie tylko Arabów, ale również Falaszów), najbardziej skrajna, szowinistyczna prawica. Nieuleczalnie zainfekowani wirusem homo sovieticus: kombinują, rozbijają się, oszukują, naciągają. Traktują Izrael jako etap w dalszej emigracji, wcześniej biorąc, co tylko się da.



Więcej – co trzeci z nich nie ma nic wspólnego z żydostwem; rosyjska imigracja zaludniła cerkwie. W ironiczno-gorzki filmie Ariego Folmana „Made in Israel” (patrz F) gangsterzy noszą na szyjach krzyżyki. Żadnego widza to nie zdziwiło.

Nie wiem, kto w tej debacie ma rację. Wiem, że rosyjska alija odmieniła Izrael jak bodaj żadna inna. Jest zdyscyplinowana, głosuje w zasadzie tylko na rosyjskojęzyczną, nacjonalistyczną prawicę. Kiedyś o kształcie izraelskich rządów decydowali sefardyjczycy. Dzisiaj rosyjskojęzyczna emigracja powoduje, że ich partia Israel Beteinu, choć nie największa, jest głównym politycznym graczem.



Syjonistyczni marzyciele zakładali, że państwo żydowskie powstanie na ziemi bez ludzi dla ludu bez ziemi. Pomylili się dramatycznie.

Wojna o niepodległość w 1948 r. to dla żydowskich mieszkańców Palestyny i nowych osadników triumf woli nad liczniejszymi i silniejszymi armiami ościennych państw arabskich. Dla palestyńskich Arabów (wówczas Arabów; termin Palestyńczyk narodził się później) to czas Nakby – Katastrofy. Kilkaset tysięcy ludzi porzuciło swoje domy. Dziś ich potomkowie mieszkają w obozach dla uchodźców, (które z reguły już żadną miarą nie przypominają obozów) w Jordanii, Syrii, Strefie Gazy, na Zachodnim Brzegu (patrz Z). Uciekali wystraszeni wojną i – jak w przypadku Deir Jassin (patrz D) – bezsensownym okrucieństwem wojsk izraelskich. Ale też zachęćeni propagandą arabską: minie kilka tygodni, pobijemy Żydów, wróćcie.

Nie wrócili i najpewniej nie wrócą.

Ci, którzy zostali na terytorium Izraela, stali się przez 60 lat – tak uważa wielu – osobnym arabskim narodem.

## **Arabowie izraelscy**

Mieszka ich w Izraelu ponad milion. Głównie w tzw. arabskim trójkącie u podnóża Galilei – np. Saknin – czy Umm al-Fahm. To miasta czysto arabskie, wsie wokół też są arabskie. W Nazarecie również dominują Arabowie. Wino z Kany Galilejskiej i wszelkie gadzety związane z życiem Chrystusa są arabskiej produkcji. Wielu Arabów mieszka w Hajfie, w Jafie, na pustyni Negew (patrz P). Formalnie (i w wielu wypadkach faktycznie) są takimi samymi obywatelami jak Żydzi.

Różnica tkwi nie w religii (to muzułmanie i chrześcijanie) i w narodowej identyfikacji, lecz w samopoczuciu. A to jest generalnie gorsze niż samopoczucie Żydów. Arabowie patrzyli, jak na ziemi kupionej od nich (ale też zabieranej siłą) rosną żydowskie kibuce i moszawy. Wspominają swoje wsie, w pamięci kwitnące, które najczęściej były tak marne jak uschła oliwka. Żałują, ale nie zawsze i nie do końca.

Inni Arabowie, w tym Palestyńczycy z Gazy i Terytoriów Okupowanych, nazywają ich „Arabami śmietany”. I jest w tym wiele prawdy, gdyż w żadnym z krajów arabskich Arabowie nie korzystają z tak wielkich swobód i wolności obywatelskich jak w Izraelu. Mają arabskie szkoły i arabskie niecenzurowane gazety. Arabskie sądy religijne finansowane przez państwo tak samo jak żydowskie. Partie polityczne od prawa do skrajnego lewa, w tym radykalnie islamistyczne, takie,

które publicznie umieją wzywać do unicestwienia Izraela. Swoich posłów w Knesecie; największa grupa to właśnie islamiści. Niekiedy swoich ministrów, sędziów sądu najwyższego i nawet generałów armii (to druzowie, arabska mniejszość religijna). Są urzędnikami państwowymi i samorządowymi, służą w policji (arabscy funkcjonariusze, głosi wieść gminna, najbardziej skrupulatnie sprawdzają arabskich współobywateli) oraz w wojsku (druzowie i Beduini z Negewu, podobno najlepsi zwiadowcy i najbardziej zaciekli żołnierze). Studiują na uniwersytetach.

Arabami są najlepsi aktorzy izraelskiego Teatru Narodowego Habima i znakomici reżyserzy filmowi, np. dokumentalistka Ibtisam Salh Mara'ana lub nominowany do Oscara Scandar Copti, współtwórca „Ajami”, mrocznego i intrygująco niepokojącego filmu o zapomnianej przez Boga i ludzi dzielnicy (patrz F) Tel Awiwu. Arabski pisarz języka hebrajskiego Said Kaszua to, jak mówią niektórzy pisarze izraelscy, np. Etgar Keret, „ostatni żydowski pisarz w Izraelu”, bo tworzy w takim klimacie jak żydowski pisarze w diasporze.

Prof. Riad Agbaria z Uniwersytetu Ben Guriona w Be'er Szewie należy do elity światowych farmakologów, jest pierwszym dziekanem arabskiego pochodzenia, choć – niestety – jedynym. Wymyślił, by ułatwić dostęp do studiów dla beduińskiej mniejszości. A potem podobny program wprowadził dla żydowskiej młodzieży z zapomnianych przez los miścin na pustyni Negew.

Abbas Suan, były piłkarz arabskiego klubu Bnei Saknin (trenowanego niegdyś przez radykalnego syjonistę Eyala Lahmana, który uznał, że rozbudzone, skrajne uczucia narodowe, w tym wypadku arabskie, są w stanie wykrzesać z zawodników największą siłę; Lahman jest po dzień dzisiejszy bohaterem nacjonalistycznego po arabsku miasta), stał się narodowym herosem Izraela. To Suan w eliminacjach do mistrzostw świata w Niemczech (przeigranych w ostatnim momencie) strzelił w 90. minucie meczu z Irlandią decydującą o remisie bramkę. Suan bił pokłony w stronę Mekki, a stadion wariował ze szczęścia, powiewając flagami z gwiazdami Dawida. Gazety pisały, że Suan zrobił więcej dla żydowsko-arabskiego pojednania niż wszyscy politycy razem wzięci.

Nacjonalistyczni kibole zespołu Beitar Jerozolima, zadziwiająco podobni w faszystowskim zacierzwieniu do polskich koleżków z fanklubów Jagiellonii lub Legii, umieścili w największej izraelskiej gazecie ogłoszenie płatne, w którym oznajmili, że bramki Suana to kres żydowskiego futbolu. Ale wypisywane na murach przez radykałów hasło: „No Arabs – no bombs”, zmieniło się z dnia na dzień, gdy Suan strzelał bramkę Irlandii, w: „No Arabs – no goals”.



Skąd więc ta różnica w żydowskim i arabskim samopoczuciu? Skąd lęki i kompleksy?

W Izraelu przed paru laty ogłoszono plan wzięty z sufitu, że, być może, elementem porozumienia z Palestyńczykami będzie wymiana ziemi – trójkąt arabski za kilka największych żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu. Największa awantura wybuchła w trójkacie. Ceny nieruchomości zjechały o kilkadziesiąt procent, wystraszyli się sklepikarze, a arabscy intelektualiści z Hajfy, których można zastać nad piwem (coraz rzadziej) lub kawą w nadmorskich kawiarniach, nagle skończyli dysputy, jak będzie dobrze, gdy Izraela wokół nie będzie. Arabski Izrael po prostu nie chce iść do niepodległej Palestyny (choć sprzyja niepodległościowym aspiracjom), bo w Izraelu mu za dobrze. Choć jednocześnie w Izraelu czuje się kiepskawo.

Riad Agbaria jest rodzyńkiem wśród izraelskich profesorów. Mieszka pod Be'er Szewą, na profesorskim osiedlu, gdzie domy warte są miliony dolarów, a mimo to nieraz usłyszy, że jest Arabem, co ma go obrazić.

Piłkarzy o arabskim rodowodzie jest w Izraelu o wiele więcej. Futbol to w tamtej części świata arabska gra (Żydzi, zdaje mi się, wolą koszykówkę). Zwłaszcza w ligach niższych, czysto arabskich, gdzie mecz jest często przedłużeniem klanowych waśni i zamienia się w awanturę.

Ale arabskich sędziów sądu najwyższego – niekoniecznie.

Arabskie miasta i wioski dostają o wiele mniej państwowych dotacji niż osiedla żydowskie. Fakt – gorzej zbierają lokalne podatki, ale to nie usprawiedliwia polityki państwa. Szkoły arabskie są gorsze, mimo że niektóre arabskie dzieci trafiają za darmo do takich gimnazjów i liceów (założone przez państwo wyrównywanie szans), o których żydowskie dziecko z biedniejszego Ramat Ganu może tylko pomarzyć.

Arabowie są największą w stosunku do populacji grupą pensjonariuszy izraelskich więzień, a przecież nie mają w genach predyspozycji do przestępstwa. Są też najliczniejszą grupą bezrobotnych. Choć na tle Arabów z krajów arabskich miewają się świetnie, to jednak mają w plecy.

Haszem, Arab z Umm al-Fahm, były poseł i burmistrz, rzekł mi kiedyś: – Mam lepiej niż Ahmed z Jordanii lub Ali z Kairu. Ale porównuj mnie z Dawidem z Jerozolimy albo z Moszem z Hadery. Innych porównań nie chcę.

Amos Oz (patrz O), największy izraelski pisarz, opowiadał mi o swoim arabskim przyjacielu, ministrze w izraelskim rządzie. Przyjaciel pytał: – Co mam robić, gdy mój kraj jest w stanie wojny z moim narodem?

Oz nie znał odpowiedzi.

XXX

Opowiadał mi Said Kaszua, jak chciał wynająć mieszkanie w żydowskiej dzielnicy Jerozolimy. Był już człowiekiem o gębie publicznej, prowadził w telewizji program satyryczny, gdzie wykpiwał izraelskie paradoksy, uprzedzenia i fobie po obu stronach barykady. Wielu kochało go, wielu nienawidziło (w arabskiej Tirze, skąd się wywodzi, imam meczetu wydał na niego fatwę – klątwę – bo obraża islam). Wszyscy rozpoznawali.

Poszedł więc Said do jednego kamienicznika. Zapytał o mieszkanie. Kamienicznik: – Panie Saidzie, ja pana znam, niech pan łaskawie złoży autograf na tej gazecie, będzie prezent dla córki. Mieszkania pan szuka? Ciężka sprawa. Ja nic przeciwko panu nie mam, ale ci sąsiedzi, źli ludzie, nie zaakceptują Araba, będą robić psikusy, co tam psikusy, świństwa. Ja panu, panie Saidzie, nic nie wynajmę, dla pańskiego dobra. Autograf, jeśli pan łaskaw, może być dużymi literami.

Drugi kamienicznik oznajmił: – Panie Saidzie, z chęcią wynajęłbym, lecz ma pan córki, delikatne dziewczynki. Pójdą na podwórko, do przedszkola, a tam inne dzieci; dzieci umieją być

okrutne, niedobre, złośliwe. Nie, panie Saidzie, ze względu na pańskie potomstwo nie powinien pan szukać tu mieszkania. Szuka pan mimo wszystko? Rozumiem. Lecz moja troska o pański komfort i spokój ducha nie pozwala, bym panu wynajął.

XXX

Dlatego nie dziwam mnie autobiograficzne wątki w opowiadaniach Saida. Pisze raz, że chciałby być pierwszym izraelskim prezydentem nie-Żydem. Albo działaczem politycznym, który genialnymi decyzjami zaprowadzi ład na Bliskim Wschodzie. Chciałby też być pilotem myśliwca. I wnet – zamachowcem samobójcą.

Opowiadała mi arabska lekarka z najlepszej izraelskiej kliniki pediatryczno-ginekologicznej, jak chucha i dmucha na noworodki, które nie powinny przeżyć, a żyją, bo je dogląda. Chucha i dmucha na takie chucherko, tuli, całuje, szuka najnowocześniejszych, najlepszych sposobów, by ocalić. Jak się uda (udaje się często, śmiertelność niemowląt w Izraelu jest jedną z najniższych na świecie, wyłączając Beduinów na pustyni Negew), dziękują jej wszyscy, zapłakane ze szczęścia żydowskie mamy, ojcowie i babcie. Wtedy idzie zmęczona do domu i cieszy się, bo jak się nie cieszyć. A za chwilę porywa ją uczucie, że przecież to był żydowski bachor, a Żydzi zrobili jej narodowi tyle złego, że może powinna zadusić poduszką.

Nigdy tego nie zrobiła i nie robi. Uratuje życie jeszcze setek niemowląt. Ale wie, że to uczucie też zapewne nigdy jej nie opuści, mimo że wstydzi się tego, lecz nie umie poskromić. Czemu? Bo nie, jest Arabką, czyli obywatelką drugiej ligi, ma więc prawo do nienawiści.

Rozmawiałem z tą wspaniałą lekarką w towarzystwie jej brata, chłopaka wykształconego i nowoczesnego. Chcieliśmy zrazu umówić się na spotkanie sam na sam, lecz lekarka, stypendystka amerykańskich uniwersytetów, jedna z najlepszych specjalistek od niemowląt w całym Izraelu, rzekła po namyśle, że nie może, bo młoda kobieta z obcym mężczyzną nie powinna spotykać się bez towarzystwa bliskich.

XXX

Opowiadał mi Etgar Keret (patrz K) o tym, jak razem z Saidem Kaszua uczestniczył w festiwalu literackim we Francji. Mieszkali w tym samym hotelu, za takie same pieniądze tego samego organizatora. Kaszua trafił na pokój od podwórza, gdzie wnet zepsuła się klimatyzacja. Keret miał pokój z widokiem.

No i Kaszua zrobił awanturę. Za zepsutą klimę i okna wychodzące w mroczną studnię. Zrobiono mu to – wrzeszczał – bo jest Arabem. Brudnym, paskudnym, prymitywnym Arabusem. Żydowi – mówił, również o Kerecie – czegoś takiego nie zrobiono by nigdy.

Etgar odwrzeszczał, że to kompletny idiotyzm. Miał rację, ale to Said miał poczucie krzywdy.

XXX

Opowiadano mi w Umm al-Fahm o izraelskim Arabie, który w napadzie nierozumnego szalu (choć zawczasu wszystko dobrze zaplanował) zabił siekierą żydowskiego poborowego; zarąbał go w czasie snu. Rzecz szybko się wydała, morderca trafił za kratki, dostał dożywocie. W Umm al-Fahm została rodzina.

Okazało się, że Arab, nim zabił, był przez wiele lat zatrudniony na państwowej posiadzie. Zabił – to jedno, pracował – drugie, więc należy się mu zasiłek. I tak arabska rodzina mordercy izraelskiego rekruta żyje z zasiłku izraelskiego państwa.

Matka zabójcy dziwi się, dlaczego jej syna skazano na dożywocie. Wszak Arab zabił Żyda, bo tak się dzieje (w drugą stronę też to działa). Dodaje, że cierpi w kraju i przez naród, który jej zabrał wszystko, choć daje tak wiele. Tak wiele, że nie zostaje jej nic.

## B

---

### **Ben Gurion David**

Ojciec założyciel Izraela, polityk przenikliwy i wybitny, choć po izraelsku roztrzepany; czasem mówił szybciej, niż myślał.

Urodził się w 1886 r. w rodzinie zaangażowanego w syjonizm niedokończonego prawnika. Matka zmarła, gdy był jeszcze dzieckiem. Przed aliją (patrz A) do Palestyny w 1906 r. nazywał się Dawid Grün. Pochodził z Płońska, miasteczka na Mazowszu, gdzie dzisiaj sięga dwupasmówka z Warszawy w drodze na Gdańsk. Mieszkał w domu przy rynku. Niski, z wielką głową i burzą rozwianych włosów. Nie pisał po polsku, mimo że mieszkał w Polsce. Dlaczego? A jakież miało sens pisanie w języku znanym tubylcom w jednej z najodleglejszych części carskiego imperium?

Po emigracji z Polski studiował w Turcji, skąd został wyrzucony za działalność syjonistyczną. Lewicowiec do szpiku kości. Marzyciel i idealista; chciał Izraela dla wszystkich, również dla Arabów, choć był gotów walczyć z nimi o ziemię.

W Palestynie organizował żydowską samoobronę, pracował w sadzie cytrusowym, był dziennikarzem, działaczem Światowej Organizacji Syjonistycznej, związkowcem.

14 maja 1948 r. odczytał deklarację niepodległości Izraela, a żydowskie ulice w Palestynie zaroily się świętującym tłumem. W następnych godzinach arabskie państwa ościenne najechały Izrael. Wybuchła wojna o niepodległość.

Był premierem pierwszego rządu (sprawował ten urząd jeszcze kilkakrotnie). Umiarkowany w politycznych sądach; z jego rozkazu izraelska armia zatopiła statek „Altalena” wiozący broń dla radykalnie nacjonalistycznej żydowskiej organizacji Irgun.



*B jak Balagan – Ortodoksyjny Żyd na tle arabskich graffiti*

Współzakładał partię Mapai, poprzedniczkę Partii Pracy, przez wiele lat hegemonia izraelskiej polityki. Zawarł porozumienie o odszkodowania z Niemcami zachodnimi. Przeżył zamach szaleńca; rzucony w Knesecie granat zranił Ben Guriona i kilku ministrów. Niesyjonistyczne poglądy uważał za błąd i nielojalność wobec żydowskiego państwa. Pewnego razu powiedział, że Żydzi, którzy ocalili z Zagłady (patrz S), muszą mieć nieczyste sumienie, bo inaczej nie przeżyliby wojny. Albo że gdyby miał do wyboru: uratować dziesięć tysięcy żydowskich dzieci i wywieźć je do Anglii lub pięć tysięcy i ewakuować do Palestyny, wybrałby to drugie. Szczęśliwie nigdy nie stanął przed takim wyborem.

Wycofał się z polityki po wojnie sześciodniowej w 1968 r.; po prostu był zmęczony. Zamieszkał na pustyni Negew (patrz P) w kibucu Sde Boqer. Zmarł w 1973 r. W Izraelu szanowany, lecz bez nadmiernej czci. W Płońsku, w którym się urodził, rośnie drzewo jego pamięci, zaś tam, gdzie mieszkał, wisi pamiątkowa tablica.

## **Balagan**

Tureckie słowo przejęte przez hebrajski z polskiego i tak nasączone polskimi znaczeniami, iż nie ma żadnej wątpliwości, skąd wywodzili się założyciele Izraela i twórcy współczesnej hebrajszczyzny. W żydowskim bałaganie nie ma „ł”, tylko „l”. Być może to również jedyne polskie słowo, które na stałe weszło do codziennego repertuaru języka izraelskich Arabów.

Hebrajski, którym mówi izraelska ulica, jest językiem wymyślanym niemalże z dnia na dzień, żywym od stu lat. Wcześniej był językiem liturgicznym. Zapisano nim święte księgi, więc nawet dzisiaj do opowiadania o świętości wystarczy mowa sprzed tysiącleci. Wiemy jednak, że w czasach patriarchów nie było samochodów, telewizorów, kart kredytowych, minispódniczek, szortów,



penicyliny, mikrofalówek, drapaczy chmur, kolei, programistów komputerowych, szyfrantów i deszyfrantów oraz serfowania w sieci. Słowem – nie było tak wielu rzeczy, zawodów, czynności, poglądów, że ich nazwanie trzeba było wymyślić.

Amos Oz (patrz O), dla przykładu, wymyślił hebrajskie słowo „rozwieżdzone” (zanim to zrobił, mówiło się pełnym zdaniem „niebo pełne gwiazd”) albo „znosorożcze” (od dramatu Eugène’a Ionecsa „Nosorożec”; dziś mówi się po hebrajsku, że jakiś polityk „znosorożczał”, czyli zachowuje się jak politycy na całym świecie, ześwirował, podejmuje głupie decyzje).

Jednak najczęściej nowe słowa wiążą się z podsłuchiowaniem innych języków. Izraelska ulica namiętnie, choć w lekkim zawstydzeniu, używa słowa „szmok”, o którym słyszałem, że jest czysto hebrajskie, a mówili mi to najwięksi izraelscy pisarze (wedle Oza prawie wszystkie hebrajskie wulgaryzmy pochodzą z arabskiego). Tymczasem „szmoka” zabrano z jidysz, w każdym polskim lub ukraińskim sztetlu jidische mame (patrz J) chwytła za ścierkę i tłukła ile sił, gdy jej pociechy przezywały się tym wyrazem. Słowo to znaczy tylko tyle (aż tyle?) co po polsku „kutas”, a nawet bardziej wulgarnie. Hebrajski nigdy „szmoka” nie odda. Tak samo jak „balaganu”.

Balagan to – słyszałem – cecha konstytutywna Izraela. Jest wszędzie, nie sypia i nigdy nie odpoczywa, objawia się niemal na każdym kroku. Izraelska polityka to balagan. Ruch uliczny (w wypadkach ginie więcej ludzi niż w zamachach terrorystycznych drugiej intifady – patrz I) to balagan bez dwóch zdań. Izraelskie urzędy pracują w stanie permanentnego balaganu. Podobnie szkoły, szpitale, biura państwowe i prywatne, policja, a nade wszystko Mosad (patrz M) – wzór na balagan doskonały.

Fantastyczny wręcz balagan panuje w izraelskim nazewnictwie. To samo miasteczko czy wioska może raz nazywać się po arabsku, raz po hebrajsku, a jeśli po hebrajsku, bądźmy pewni, że pisownia zależy od fantazji tego, kto pisze.

Jakiś czas temu okazało się, że balagan jest również w wojsku (patrz I) uznawanym, i słusznie, za jedną z najlepszych armii na świecie. Podczas drugiej wojny libańskiej rakiety Hezbollahu po raz pierwszy spadły na Hajfę, na front nie docierały transporty, a ówczesny premier Izraela Ehud Olmert przyznał w Knesecie, że armia popełniała liczne błędy. Działo się tak zapewne również w czasie innych wojen Izraela, lecz wcześniej armia była poza krytyką.

No i lotnisko im. Ben Guriona; dla obcych, ale też Izraelczyków, balagan perfekcyjny. Lądowałem tam i odlatywałem stamtąd wiele razy, więc rozumiem, co zwolennicy poglądu o bengurionowym balaganie mają na myśli. Lecz nie zgadzam się z nimi radykalnie. Z powodów obiektywnych (tak mi się zdaje) i – by rzec najszczerzej – osobistych.

Przylot na Ben Guriona to koszmar. Nie zdarzyło mi się ani razu, by mój samolot lądował samotnie. Zawsze ustawiałem się w ogromne kolejki do odprawy paszportowej, bo okazywało się, że razem z El Alem z Warszawy musi lądować jakieś skrzydlate monstrum z Chicago, Nowego Jorku, Paryża albo z Kiszyniowa, wypluwając setki pasażerów, a każdy z paszportem w rękę, wielu bez jakiegokolwiek języka, więc czeka się i czeka, końca mordegi nie widać. Przeklinałem przylot na Ben Guriona wielokrotnie.

Lecz odlot z Ben Guriona to rozpacz i koszmar do kwadratu (dla wszystkich, rozumiejących, dlaczego tak jest, i nierozumiejących). Tłum i kolejki do odprawy, a face to face z kolejkami, z

każdym pasażerem z osobna, młodzi ludzie, którzy pytają, pytają i pytają. A później najczęściej jeszcze grzebią w bagażu. Tyle że z pozoru sensu w tym nie widać.

Gdy pierwszy raz odlatywałem z Ben Guriona, pytano mnie, kogo widziałem, z kim się spotkałem, gdzie byłem i czy sam pakowałem prezenty, które mam w plecaku. Akurat widziałem się wówczas z wdową po Icchaku Rabinie, panią Leah Rabin, z przymierzającym się do fotela premiera Ehudem Barakiem, z przyszłym ministrem bezpieczeństwa Szlomo Ben Amim. Opowiedziałem o tym jednemu młodzieńcowi, potem kolejnemu i kolejnemu. Nie wiem, czy uwierzyli, lecz postanowili sprawdzić dokładnie; odpytywanie trwało ponad godzinę.

Innym znów razem wracałem z Ben Guriona po rozmowie z Szymonem Peresem, prezydentem Izraela, wielokrotnym ministrem i laureatem pokojowego Nobla. Mieliśmy fotografie z tego spotkania. Zapytano mnie o detale pobytu raz i puszczono. Lecz Piotrek Wójcik, fotograf, spowiadał się z rozmowy z Peresem kilka kwadransów i nie pomogły zdjęcia prezydenta. Dlaczego? Nie mam pojęcia.

To odpytywanie o Leah Rabin i Ehuda Baraka było pierwszym i ostatnim, jakie przeżyłem na Ben Gurionie. Nie wiem dlaczego, lecz moja odprawa trwa teraz krócej niż na innych lotniskach. Ani razu nie zajrzano mi w bagaże. Ani razu nie przechodziłem kolejnej rundy pytań. Przyjeżdżam na lotnisko wedle wymogu, czyli trzy godziny przed odlotem samolotu, a potem nudzę się, czekam i czekam, chyba że pójde do sklepu z płytami (najlepsza obsługa na świecie, fantastyczne doradztwo; chcę kupić jedną płytę, wychodzę z sześcioma, a każda trafiona perfekcyjnie, choć odlot do Warszawy to zbójcecka godzina w środku nocy, więc zakupy nie powinny się udać). A kiedy wynudzę się ze szczętem, tuż przed odlotem wysłuchuję narzekań (jeśli lecę z kimś), że ja to mam szczęście, a znajomych pytali, sprawdzali, znów pytali, grzebali w bagażu. Tak oto wygląda mój osobisty powód, dla którego uważam, że na Ben Gurionie nie ma balaganu, choć inni uważają, że jest.

Z drugiej strony lotniskowa odpytywanka ma racjonalną przyczynę:

## **Bezpieczeństwo**

Bezpieczeństwo to pojęcie w Izraelu magiczne i wszechmocne, jak zaklęcie czarnoksiężnika. Bezpieczeństwo usprawiedliwia wszystko, wszystko tłumaczy, objaśnia, stopuje lub popycha w przód, stawia pod znakiem zapytania albo prostuje, komplikuje, rozjaśnia, zapętla, rozplątuje.

To bezpieczeństwo wymaga, by na Ben Gurionie pytać podróżnych o sprawy elementarne („Czy aby ta pani to na pewno pana żona?”) lub pozornie absurdalne. Ale prawdą jest również, że samoloty odlatujące z Izraela od dawien dawna nie były celem ataków terrorystycznych.

Ze względów bezpieczeństwa musiałem stawić się na umówiony wywiad z Szymonem Peresem dwie godziny przed rozmową. Przepatrzone mnie do spodu, musiałem zdjąć spodnie, a nawet sprawdzono dłonie na okoliczność ewentualnego kontaktu z materiałami wybuchowymi.

Bezpieczeństwo powoduje, że wokół Izraela budowany jest mur oddzielający państwo żydowskie od terytoriów palestyńskich. Nafaszerowano go elektroniką, podobnie jak zasieki wokół osiedli na Terytoriach Okupowanych czy kibuców w pobliżu Strefy Gazy. Inna sprawa, że mur to dziurawy, można go obejść (jak inaczej w Izraelu tak dużo nielegalnych robotników z Palestyny?), a przy jego budowie popełniono wiele nadużyć, również korupcyjnych.



Żeby można było bezpiecznie wypić piwo lub zrobić zakupy, przed każdą knajpą i centrum handlowym mają swoje krzeselka ochroniarze (najczęściej rosyjskojęzyczni). Noszą ogromne pistolety i zagląдают do torebek. A mimo to nie ustrzegli kilku barów i sklepów przed samobójczymi zamachami.

Gdy zbliża się pełna godzina i w radiu mają lecieć wiadomości, zamiera gwar nawet w najbardziej rozgadany autobusie; pasażerowie chcą się dowiedzieć, czy jest bezpiecznie, czy nie.

Bezpieczeństwo jest w Izraelu czymś absolutnie nadrzędnym. Słusznie, gdyż trudno o kraj równie narażony na ataki. Podobno – uważa wielu Izraelczyków – nie wolno jeździć komunikacją publiczną, bo to niebezpieczne. Opowiadał mi pewien izraelski Arab, jak jeździł ze swojego miasta do Tel Awiwu. Siadał zawsze najbliżej kierowcy i uważnie przyglądał się pasażerom. Gdy zobaczył dziewczynę o szczupłej, śniadej twarzy, lecz z rozłożystymi biodrami lub chłopaka z nadto wyładowaną torbą, wysiadał. – Skąd mam wiedzieć – tłumaczył – czy pod tą kiecką dziewczucha nie schowała bomby? A gdy pytałem, jakim sposobem poznaje, który z pasażerów jest Żydem, a który Arabem, odpowiadał: – To proste. My, Arabowie, mamy takie smutne, żydowskie oczy.

Znam Żydów, którzy ze względów bezpieczeństwa nie wchodzą po zmroku na jerozolimskie Stare Miasto (patrz J), choć po mojemu to jedno z najbardziej spokojnych miejsc na świecie. Ale spotkałem i takich Arabów, którzy niechętnie wychodzą poza mury Starówki, bo – wiadomo – między Żydami niebezpiecznie. I coś jest na rzeczy; bombowe zamachy w Jerozolimie działały się w żydowskiej części miasta.

Bezpieczeństwo Izraela sięga poza granice państwa. Niekiedy słusznie; wiosną 2012 r. islamski zamachowiec ostrzelał żydowską szkołę we Francji i zabił troje dzieci (nie był to pierwszy tego typu zamach). Na każdym lotnisku świata przed wejściem na pokład samolotu El Al każdy pasażer zostanie przepytany, a odprawa odbywa się na uboczu, pod okiem facetów z karabinami. W samolocie na sto procent leci jakaś безпеka. Izraelskie placówki dyplomatyczne są obstawione całą dobę. Uczniowie przyjeżdżający do Polski na wycieczki pamięci mają wynajętych ochroniarzy.

Rozumiem, dlaczego tak pilnowane są samoloty (porwania sprzed lat), ambasady i ośrodki kultury (zamachy bombowe). Ale bywa, że wymogiem bezpieczeństwa jest to, by izraelskie dzieciaki spędzały czas we własnym towarzystwie. No to jakim cudem mają się czegoś o Polsce dowiedzieć?

Bezpieczeństwo, niestety, umie również wytłumaczyć niegodziwość i szwindel. Ulice w centrum Hebronu (patrz H) są kompletnie wymarłe. Tam gdzie kiedyś był targ warzywny, wrzeszczy pustka. W miejscu dawnych jatek hula wiatr. Opuszczone domy, po niektórych ulicach Palestyńczykom chodzić nie wolno. Ze względów bezpieczeństwa – mogą ich zaatakować żydowscy osadnicy, akurat w Hebronie szczególnie zajadli.

W Hebronie wojsko sprawdza arabskich przechodniów na chybił trafił. Może wejść w środku nocy do arabskiego domu. Często robi to bez powodu, z nudów, dla zabawy.

Lecz prawda jest również taka, że w Hebronie były zamachy samobójcze, w środku miasta, wymierzone w cywilów; w jednym zginęła kobieta w zaawansowanej ciąży. No i to palestyński snajper zastrzelił niemowlę zostawione w wózku opodal piaskownicy na osiedlu Awraham Awinu.

# C

## Cymes

Cymes, czyli coś, co jest najlepsze, najsmaczniejsze, najśłodsze i wszystko, co naj dla podniebienia. To słowo przeszło z jidysz do polszczyzny, po to by określać frajdę, przyjemność, niezrównaną jakoś i doskonałość.

A tak naprawdę to tradycyjna potrawa aszkenazyjskich Żydów, koniecznie z duszoną albo podsmażaną marchewką. Stąd kolor czerwono-pomarańczowy, słodki smak, w sam raz na zakończenie szabatowej kolacji, coś jakby deser, choć niekoniecznie.

Nie ma jednego przepisu na cymes. Powinien mieć w składzie pomidory i ziemniaki, jabłka i suszone śliwki; nie zaszkodzi, jeśli skład uzupełni się miodem. Może być z wołowiną, kurczakiem (wówczas to żaden deser, tylko danie główne), byleby składniki cymesu były kosherne i układały się ze smakiem marchewki. Do cymesu można dodać bakalie, a zwłaszcza rodzynki, ale też cymes to niekiedy tylko pieczone jabłko polane gęstym, waniliowym sosem. Powinien dojrzewać w szabaśniku, piecu trzymającym ciepło przez wszystkie dni szabat.

Cymes je się wówczas, gdy wokół panuje radość. Nie ma takiej możliwości, by żydowska pani domu podała cymes w święta smutne, gdy trzeba odpokutować grzechy. Ale na Nowy Rok – Rosz Haszana – lub w Paschę upamiętniającą ucieczkę z Egiptu bez cymesu nie da się zaplanować świątecznego stołu. Im słodszy cymes podany w Nowy Rok, tym podobno lepsze będą nadchodzące dni.

Próbowałem wielu cymesów, w Izraelu i poza, i ze wszystkich cymesów świata najlepszych żydowskich kucharzy wolę... ćwikłę, bo buraczki to buraczki, chrzan to chrzan, a cymes jednak dla mnie za słodki.



*C jak Chasydzi – Ortodoksyjnych Żydów jest w Izraelu ponad milion, a ponieważ przyrost naturalny jest wśród nich bardzo wysoki, możliwe, że za 20 lat będzie ich dwa razy tyle*

## Cadyk

Cadyk to sprawiedliwy, wzór pobożności i uczciwości, mąż święty, który potrafi czynić cuda i ma do Boga bliżej niż inni. Lider duchowy wierzących Żydów, głowa sekty i dworu, czyli wspólnoty, wielbiony, podziwiany, słuchany jak wyrocznia.

Taki np. Nachman z Braclawia; choć od jego śmierci minęło 200 lat, ma swoich wiernych wyznawców. Ale też przeciwników; wielu świeckich Izraelczyków uważa sektę Nachmana za przypadkowy zbiór nawiedzonych szaleńców i półgłówków. Kto uwierzy – pytają – że jeśli w chwili nieszczęścia wypowie się kabalistyczną formułę, w której powtarzają się litery z imienia cadyka: „Na, Nach, Nachma, Nachman, Meuman”, ból i zło odejdą? Nikt poza tymi, dla których Nachman był człowiekiem obcującym z Najwyższym; „jego płomień będzie świecił do przyjścia Mesjasza”.



Nachman urodził się w 1772 r. w Międzyborzu, nieformalnej stolicy ówczesnego świata żydowskiej mistyki, w rodzinie szanowanej i z wielkimi tradycjami. Jego pradziadkiem był Baal Szem Tow, założyciel chasydyzmu, mistyk i kabalista, mistrz sławnych cadyków, chociażby Magida z Międzyrzecza czy Elimelecha z Leżajska, których groby po dzień dzisiejszy odwiedzają chasydzi z całego świata.

Podobno od wczesnej młodości Nachman szukał swojej duchowej drogi w ścisłym związku z żydowską mistyką. Modlił się, pościł, lecz doznał prawdziwej ekstazy, gdy wyjechał na wieś do domu pierwszej żony (ożenił się, gdy miał 14 lat), odnajdując się w przyrodzie, prawdziwej harmonii bożej.

Nie miał trzydziestki, gdy pojechał do Ziemi Świętej, wybierając drogę przez Odessę i Morze Czarne. Odwiedził Tyberiadę i Jafę, lecz zrezygnował z podróży do Jerozolimy. Dlaczego? Nie wiadomo. Wizyta w Erec Israel spowodowała wielką przemianę Nachmana. Uznał, że jest jedynym prawdziwym cadykiem. Praktykował swoistą spowiedź; chasydzi powierzali mu swoje grzechy. Przyjmował uczniów tylko trzy razy w roku, w Nowy Rok, Chanukę i Święto Żniw upamiętniające nadanie Mojżeszowi Tory (patrz T) na górze Synaj. Wierzył w wędrówkę dusz. Dlatego pod koniec życia przeprowadził się do Humania, gdzie na miejscowym cmentarzu leżały ofiary ukraińskich pogromów. Jego uczniowie twierdzili, że przewidział swoją śmierć.

Jednak za życia Nachman nie miał zbyt wielu wyznawców. Sekta rozrosła się dopiero po jego śmierci, uczniowie spisali jego przypowieści, cudowne bajki z naiwnymi morałami, jedne z najlepszych opowieści chasydzkich.

Łatwo poznać wiernych braclawskiej sekty. Noszą białe kipy haftowane w kabalistyczną formułę „Na, Nach, Nachma...”. Jeżdżą autami udekorowanymi jak bożonarodzeniowe choinki, z głośnikami wystającymi przez okna. Radośni, rozśpiewani, na pierwszy rzut oka przypominają karawany hipisów z lat 60.



Nie mam pewności, czy rabin Nachman był – jak powiada wielu świeckich Izraelczyków – zabobonny i głupi. Nie może być głupi człowiek, który swoim wyznawcom kazał odrzucać smutki, nie zważając na cenę, jako że – nauczał – przygnębienie jest źródłem zła. „Jeżeli nie czujesz się szczęśliwy – udawaj, że jesteś. Nawet w największym smutku przywołuje uśmiech na twarz. Działaj jak człowiek szczęśliwy. W ślad za tym przyjdzie prawdziwa radość”.

Nie znosił gniewu, uważał, że to grzech równie straszny jak ponuractwo. „Kiedy czujesz, że zaczyna ogarniać cię gniew, powstrzymaj się. Wyobraź sobie, że wybuch gniewu już nastąpił, a teraz czujesz się pusty. Bo oto, co się z tobą dzieje, kiedy wybuchasz gniewem: twoja dusza opuszcza cię. Postępuj zgodnie z tą radą, a gniew z pewnością minie”.

## Chasydzi

Zwani też w Izraelu charedim (pisane również przez „h”, liczba pojedyncza „charedi”), choć oba pojęcia nie są do końca tożsame. Chasyd wywodzi się ze wschodu Europy, jest charedi i najczęściej jest aszkenazyjczykiem. Charedi może być sefardyjskim Żydem z Maroka, chasydem zaś – niekoniecznie. Dla jednych i drugich epokę Mojżesza i współczesność dzieli tylko upływający czas, a poza tym nic tak naprawdę się nie zmieniło.

Akurat tych dwóch chasydów pamiętam bardzo dobrze. Choć przecież widywałem ich setki wystrojonych jak na wesele i umęczonych upałem, w lisich czapach, w staromodnych kapeluszach, w pasiastych, błyszczących na srebrno chałatach Bucharczyków lub w postrzępionych czarnych kapotach. Nie tylko w jerozolimskich kwartałach Me’a Sze’arim i Geula, w Bene Berak pod Tel Awiwem, ale wszędzie, jak Izrael długi i szeroki.

Jak nazywał się pierwszy chasyd, który zapadł mi w pamięć? Nie wiem. Potężny, gruby, w lichym ubraniu, zmordowany i spocony nawet wtedy, gdy widywałem go rankiem. Zawsze na Ben Jehuda w Jerozolimie, na odcinku zamienionym w deptak; zebrał, dając w zamian za garść monet plastikowe plecionki z przyczepionymi gwiazdami Dawida. Nie mówił, tylko burczał, nie bywał zbyt nachalny. Wzbudzał współczucie i, zdaje mi się, to była jego metoda pracy.

Drugi miał na imię Dawid. Drobny, rudobrody, w czarnym kapeluszu i wczorajszej koszuli. Był najdoskonalszym naciągaczem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Wieczorami pracował na rogu Ben Jehuda i Jafskiej, w dzień zapuszczał się do dzielnicy żydowskiej Starego Miasta. Podchodził do każdego turysty na ulicy z „błogosławieństwem z Jerozolimy, świętego miasta”, wiązał na przegubach czerwone nitki, a potem mówił, że coś mu się za to należy. Sprzedawał też kipy – żądał za nie kilka razy więcej niż w okolicznych sklepach.

Był fantastycznie bezczelny, ale też dowcipny. Każdą rozmowę z potencjalną ofiarą traktował jak osobny spektakl. Co chwila rozglądał się, czy w pobliżu nie ma policji. Gdyby o swoim naciągactwie-zebractwie napisał sztukę, wyreżyserował i siebie obsadził w roli głównej, wystawiłby mu to każdy teatr świata.

Opowiadał fantastyczne historie. O tym, jak przed laty przyjechał z Maroka, a jego rodzina zostawiła tam dwupiętrowy dom i sklep. I o własnym sklepie, już w Jerozolimie, na który sprowadził bankructwo. O taksówce – eleganckim mercedesie; nie pojeździł nim za długo. Czegokolwiek się złapał – narzekał – zawsze przytrafiał się jakiś pech. Zostało zebranie.

Nie chciałem mu wierzyć, lecz policjanci, którzy na Dawida mieli oko, potwierdzili każde jego słowo. Naciągał, ale nie zmyślał. Można było słuchać go godzinami.



Sam termin „charedim” oznacza „tych, którzy boją się bożego majestatu”. Niekoniecznie są bardziej religijni niż np. Żydzi konserwatywni, ale z pewnością wierzą inaczej. Powtarzają (za rabinem Mojżeszem Soferem, XIX-wiecznym mistykiem z Austro-Węgier, założycielem rabinackiej dynastii), że wszystko, co nowe, jest zakazane przez Torę. Gdy wielu moich znajomych przybyło do Izraela, byli przekonani, że charedim to relikwiny przeszłości, znikną wraz z modernizacją i rozwojem nowoczesnego państwa.

Charedim są radykalni w sądach, skrajni w postawach, nieprzyjaźni wobec innych sektorów izraelskiego społeczeństwa. Jest ich grubo ponad milion, a ponieważ przyrost naturalny jest między ultraortodoksami bardzo wysoki, możliwe, że za 20 lat będzie ich dwa razy tyle; to najszybciej rosnąca grupa społeczna w Izraelu. Gdyby Izrael miał z charedim tylko taki kłopot jak jerozolimską policję z naciągaczem Dawidem, znaczyłoby to, że nie ma kłopotu. Lecz jest inaczej – ultraortodoksi są prawdziwym problemem; niektórzy nawet uważają, że w Izraelu to oni rozdają karty.

Byli w Ziemi Świętej od wieków, żyjąc w izolowanych społecznościach, zorganizowanych wedle prawa religijnego – halachy – wywodzonego wprost z Tory. Zawsze w opozycji do syjonistów i bardziej umiarkowanych odłamów judaizmu uznawanych przez charedim za odszczepieńców (do dzisiaj w Me’a Sze’arim uczniowie jesziw wieszają plakaty z napisem: „Syjoniści nie są Żydami”).

Już na początku istnienia państwa David Ben Gurion (patrz B) podpisał z ultraortodoksyjnymi rabinami porozumienie gwarantujące charedim zwolnienie ze służby wojskowej (zrazu dotyczyło to raptem kilkuset uczniów, dzisiaj są ich tysiące, ale też istnieje specjalna jednostka armii izraelskiej (patrz I) dla ultraortodoksów, a sąd najwyższy uznał zwolnienie uczniów jesziw z wojska za niekonstytucyjne). Efektem innych umów jest uznanie przez państwo szabatu (patrz S) jako dnia wolnego od pracy, obowiązku kosztownych potraw (patrz K) w wojsku lub nieuznawania przez Izrael ślubów cywilnych. Charedim mają własny religijny system oświatowy (w Izraelu są jeszcze państwowe szkoły świeckie, religijne i arabskie); osobne szkoły dla chłopców i dziewcząt częściowo utrzymywane przez państwo, któremu jednak nie wolno wtrącać się nie tylko w program nauczania, ale również w zatrudnianie nauczycieli.

Nie płacą podatków, ale otrzymują państwowe dotacje. Niektóre sekty nie uznają istnienia Izraela, dowodząc, że prawdziwe państwo żydowskie powstanie dopiero wraz z przyjściem Mesjasza, co nie przeszkadza im w korzystaniu z izraelskiego systemu socjalnego. Próbuje wymusić na innych, by żyli wedle ich zasad; wielokrotnie charedim rzucali kamieniami w samochody jeżdżące w szabat w pobliżu zajmowanych przez nich dzielnic. Optują za segregacją płci w życiu publicznym. W autobusach kursujących między siedliskami charedim kobiety muszą siedzieć z tyłu pojazdów, a w Me’a Sze’arim, dzielnicy ortodoksów, gdzie czas cofnął się do XIX w., są zaułki, gdzie kobiety i mężczyźni chodzą po różnych stronach ulicy.

Wiele opisów Me’a Sze’arim podkreśla, że odwiedzający dzielnicę znajduje się nagle jakby w

innym świecie, żywcem wyjętym z przedwojennych polskich shtetli: taka sama bieda, stroje chasydów, sklepiki z mydłem i powidłem, zakurzone księgarnie pełne religijnych tomów, umorusane dzieci, znoszone ubrania wywieszane za oknami ubogich domostw na sznurach do bielizny. To ułuda, pozór utwierdzany miejskim pejzażem. Shtetl nigdy nie był aż tak zamknięty i tak wpływowy. Stanowił odrębną całość, lecz by funkcjonować, musiał otwierać się na zewnątrz. Nikt nie liczył się ze shtetlem, a Me'a Sze'arim trzeba brać pod uwagę we wszelkich rachubach, społecznych, kulturowych, politycznych. Shtetl nie był ekspansywny i agresywny. Ultraortodoksyjne dzielnice rozrastają się z dnia na dzień, chcą władać Izraelem.

Wreszcie shtetl nie był aż tak zachowawczy i obyczajowo ortodoksyjny. Nie próbował narzucać swojej woli innym. Me'a Sze'arim (ale też podtelawiwski Bene Berak czy jerozolimskie Geula) to nowa jakość, mimo że nawiązująca podobno do starego. Dla świeckich – zmora Izraela. Dla charedim – jego przyszłość.

XXX

Generalnie ultraortodoksyjni rabini sprzeciwiają się oglądaniu przez współwyznawców świeckiej telewizji i filmów, czytaniu gazet i niereligijnych książek. Wolno korzystać z internetu pod warunkiem używania specjalnych filtrów blokujących to, co niedozwolone, np. pornografię. Izraelskie sieci telefonii komórkowej mają specjalne serwisy dla charedim. Niektóre ich gazety nie publikują zdjęć kobiet. Kilka lat temu jedna z ortodoksyjnych gazet ocenzurowała zdjęcie nowego izraelskiego rządu, wymieniając wizerunki dwóch kobiet-ministrów na fotografie mężczyzn.

Ponad połowa mężczyzn charedim nie pracuje, gdyż oddaje się studiom religijnym. Obowiązek utrzymywania licznych rodzin spoczywa na kobietach. Większość charedim żyje na granicy ubóstwa. Mężczyźni są ubrani jak na obrazkach z polskich lub ukraińskich shtetli przełomu XVIII i XIX w. Kobiety – w długich sukniach, bluzkach z długimi rękawami i bez dekolców, na głowach mężatek chusty lub peruki zasłaniające włosy; naczelnym wymogiem ubioru jest skromność.

Opowiadano mi o ludziach, którzy powrócili do religii i przenieśli się np. z kosmopolitycznego Tel Awiwu do Me'a Sze'arim. Często działo się tak po straszliwych traumach (np. żołnierze po froncie libańskim z początku lat 80.), gdy rozum nie umiał nic wytłumaczyć, więc zostawała tylko wiara. Podobno odnaleźli szczęście, lecz nie mogłem tego sprawdzić, bo nigdy nie chcieli o tym rozmawiać.

Poznałem za to takich, którzy odeszli od religii. Czuli się wolni, ale czy szczęśliwi? Chyba tak, lecz opowiadali, że w ich duszy powstała wielka wyrwa. Umieli odnaleźć się w świeckim Izraelu, lecz czegoś im brakowało. Nazywali to wewnętrznym porządkiem, pewnością siebie, zwolnieniem z odpowiedzialności. W Me'a Sze'arim każdy dzień zaczynali od rozmowy z Bogiem, umawiali się, negocjowali, prosili o rady. Teraz musieli rozmawiać sami ze sobą.

XXX

Większość charedim nie zajmuje się polityką. Choć już od dziesięcioleci żywot izraelskich rządów zależy od głosów ultraortodoksów. W Knesecie zasiadają posłowie Szas, ultraortodoksyjnej

partii Żydów sefardyjskich, i aszkenazyjskiej Agudy. Bywali nawet ministrami.

Zmiana – słyszałem w Izraelu – przyszła stąd, że przywódcy chasydzkich sekt zorientowali się, że stale rosnąca populacja nie może tylko żyć na koszt państwa (choć ciągle żyje), bez wpływu na jego kształt. Po wygranej wojnie sześciodniowej rabin Zwi Jehuda Kook (jego ojciec był twórcą religijnego syjonizmu) uznał, że izraelscy żołnierze to „osiołki boże” realizujące wolę Najwyższego, więc przyspieszają nadejście Mesjasza. Przewodził duchowo religijnemu osadnictwu na Zachodnim Brzegu, czyli w biblijnej Judei i Samarii.

Opowiadano mi, że właśnie skrajnie religijni syjoniści odmienili żydowski system wartości. Miejsce świętości ludzkiego życia, którego trzeba strzec za wszelką cenę, zajęło przekonanie o świętości ziemi; partie charedim sprzeciwiają się powstaniu niepodległej Palestyny.



Świecki Izrael nie znosi charedim. Ma ich za społeczność próżniaków i darmozjadów, bywa, że opisuje ultraortodoksów językiem pełnym antysemickich stygmatów i uproszczeń. Boi się ich również dlatego, że ortodoksów przybywa i przybywa. Uliczne kłótnie między świeckimi a religijnymi to maestia wrzasku i przekleństw.

A więc zdaniem wielu niewierzących charedim są: leniwi, brudni, ciemni, zaściankowi, na zewnątrz świętoszkowaci, a w rzeczywistości dopuszczają się różnych nadużyć, także obyczajowych. Rabini mają pozycję równą mułom w islamie, pragną ustanowienia religijnego państwa opartego na Torze i zniesienia demokracji.

Coś jest na rzeczy, ale do dominacji charedim w Izraelu droga bardzo daleka, jeśli w ogóle dokądkolwiek prowadzi.

## D

---

### Diaspora

Historycy spierają się, ale najpewniej zwolennicy obu tez mają jakoś rację. Jedni więc twierdzą, że początek żydowskiej diaspory, rozejścia się po świecie, to czas zburzenia Świątyni Salomona przez Nabuchodonozora i niewoli babilońskiej w VI w. p.n.e. Drudzy – że początek przypada wieki później i ponad sto lat po narodzeniu Chrystusa. Druga wersja jest bardziej obecna w zbiorowej świadomości Izraela.

A więc od dziesięcioleci leży w gruzach druga świątynia, zniszczona podczas pierwszej wojny żydowskiej (symbolizuje ją heroiczna obrona Masady (patrz M) przed rzymskimi legionami). Zaorano Wzgórze Świątynne, w Judei zniszczono dziesiątki żydowskich osad, nie żyje Bar Kochba, zabity w podjerozolimskiej twierdzy Beitar (dziś w pobliżu ruin jest palestyńskie miasteczko Battir i



religijne osiedle żydowskie Beitar Illit. Tak nazywa się również klub piłkarski z Jerozolimy z najbardziej nacjonalistycznymi kibolami w całym Izraelu).

W żydowskiej historii i narodowej mitologii Szymon Bar Kochba to jeden z największych bohaterów. Pochodził z rodu Machabeuszy, wodzów, królów i kapłanów. Przydomek Szymona oznacza „Syn Gwiazdy”. Niektórzy upatrywali w nim Mesjasza, być może w wyniku początkowych świetnych zwycięstw nad Rzymianami, czego skutkiem było oswobodzenie Judei. Na dwa lata. Zwano go „Księciem Izraela”. Był przywódcą powstańców w drugiej wojnie żydowskiej; oddziały Bar Kochby zostały rozbite dopiero przez legiony sprowadzone z Hiszpanii. Dawid Ben Gurion (patrz B) wziął swoje hebrajskie nazwisko od jednego z generałów powstańczej armii Szymona.



*D jak Depresja – A jak depresja, to Morze Martwe, 418 metrów poniżej poziomu morza*

Władający Rzymem cesarz Hadrian nie tylko nie dotrzymał złożonej Żydom obietnicy odbudowania świątyni jerozolimskiej, ale w jej miejsce wystawił świątynię Jowisza Kapitońskiego. Gdy wygrał wojnę, wygnał Żydów z Judei i zakazał im wstępu do świętego miasta. Państwo żydowskie przemianowano na Syrię palestyńską, Jerozolimę na Colonia Aelia Capitolina, judaizm stał się religią napiętnowaną. W Ziemi Świętej zostały tylko nieliczne żydowskie kolonie.



Diaspora nie jest wyłącznym udziałem narodu żydowskiego. Po świecie rozproszyli się Ormianie, Irlandczycy, Polacy. Ale rzymski, a później chrześcijański i muzułmański antysemityzm sprawił, że stała się doświadczeniem szczególnym, pełnym przemocy, krzywdy i upokorzenia. Myśl o odbudowie państwa żydowskiego pojawiła się dopiero w pismach Teodora Herzla (patrz H) i innych syjonistów w XIX w.

Dziś największe skupiska Żydów poza Izraelem są w Stanach Zjednoczonych, Francji, Kanadzie, Wielkiej Brytanii, Argentynie i Niemczech. Lecz dopiero w Izraelu widać, że żydowska diaspora objęła swoim zasięgiem cały świat. W Muzeum Diaspory na kampusie telawiwskiego uniwersytetu jest kopia Łuku Tytusa wystawionego w Rzymie dla uczczenia zwycięstwa w pierwszej



wojnie żydowskiej (relief przedstawia niewolników niosących menorę zrabowaną ze Świątyni Salomona), ale też modele synagog z dalekiej Azji przypominające chińskie pagody. Nikogo nie dziwią czarnoskórzy Żydzi z Etiopii, Palaszowie, ani Żydzi o urodzie Hindusów (kobiety chodziły w hinduskim sari), choć akurat to bardzo mała wspólnota. Żydowska kobieta z Jemenu zawiąże na kostkach nóg sznurki dzwoneczków i może mówić po arabsku lepiej niż po hebrajsku. Ortodoksyjna kobieta europejskiego pochodzenia w peruce i długiej bezkształtnej spódnicy będzie rozmawiać z przyjaciółką w jidysz. Wejścia do Groty Patriarchów w Hebronie pilnują chasydzi o twarzach mongolskich pasterzy, a w dalekowschodnich restauracjach w Tel Awiwie pracują skośnoocy żydowscy kelnerzy.

Diaspora spowodowała, że taką samą żydowską potrawą jest swojska dla Polaka kiszka, czulent, kasza gryczana, ale też bliskowschodni kuskus, karp pod postacią gefilte fisz (patrz G) i morska ryba z ciepłych rejonów Atlantyku. Swojski majeranek i fioletowy sumak, mięta i szafran stoją na tej samej półce z przyprawami. Smaki mdłe i ostre, kwaśne jak kiszona kapusta i słodkie jak miód z pomarańczami mieszkają pod jednym izraelskim dachem. Żyd z Europy wypije w szabat kieliszek wódki (albo i szklanę, jeśli przyjechał w sowieckiej alii – patrz A), Żyd z północnej Afryki zaś nie tknie alkoholu, bo może nie jest to trunek zakazany, lecz u siebie, w Maroku, nie nauczył się pić.

Niespełna osiem milionów ludzi, a w obyczajach, w rysach twarzy, kolorach oczu i skóry, w ubiorach, nawykach, dozwolonych i zabronionych używkach, w językach używanych na co dzień, lekturach, w wierszach ulubionych poetów, słowem – w sposobie bycia na tym świecie w Izraelu, dzięki diasporze, mieści się cały świat.

Śmiało można powiedzieć, że choć Izrael był krajem przybyszów, kiedyś nie było to powodem do chwały; Żyd chałaciarz był zaprzeczeniem krzepkiego sabry, Żyda urodzonego już w Izraelu. Ale też wykształcony inteligent z Niemiec czy Austrii nie pasował do wizerunku spalonego słońcem rolnika. Diaspora stała w oczywistej sprzeczności z syjonizmem, była czymś gorszym, podrzędnym, karą za niepopołnione winy. W oficjalnym Izraelu o diasporze pamiętano, lecz tak, żeby zapomnieć, mimo że było to niemożliwe. Do tego stopnia, że ludzie mówili o sobie: ten jest Polakiem, ten Rosjaninem, ów Persem, a inny – Afgańczykiem.

Dzisiaj dobrze być skądś; może to urok np. Unii Europejskiej (nie słyszałem, by ktokolwiek prosił o paszport Mołdawii czy Rosji, ale Rumunii, Polski, Węgier – owszem), a może potrzeba korzeni, bo dobrze liczyć rodzinną historię dalej niż dwa pokolenia wstecz.

XXX

Jest też ruch w drugą stronę – emigracja z Izraela. Najczęściej do USA, jak z innych krajów świata. Ale również do Unii Europejskiej. A jeszcze częściej Izraelczycy, zwłaszcza ci młodszy, myślą, żeby wyjechać.

W Ofakim spotkałem sefardyjskiego Żyda, który powiedział, że namawia dzieci do emigracji, bo w takich miasteczkach nie ma dla nich przyszłości: bieda, kurcz, żadnych perspektyw. Niektórzy moi przyjaciele mówią, że już dawno by wyjechali, gdyby nie rodzice, pierwsze pokolenie Izraelczyków.

Bo mają dość Izraela, tej nieustannej gorączki, napięcia, nierozwiązanych problemów z sąsiadami, okupacji Zachodniego Brzegu, rakiet z Gazy, słowem – rozglądania się wokół, czy aby wszystko w porządku (patrz B).

Prof. Szlomo Avineri, człowiek mądry i doświadczony życiem, powiedział mi, że takie nastroje świadczą tylko o tym, że Izrael znormalniał. W końcu ludzie chcą emigrować nawet ze Szwecji, choć tam nie ma Hamasu, ortodoksyjnych dzielnic, a Iran z projektem atomowym leży naprawdę daleko.

## **Deir Jassin**

Arabska wioska pod Jerozolimą, której już nie ma; resztki domów leżą na terenie szpitala psychiatrycznego. Siedziała na wzgórzu. Po drugiej stronie doliny stoi osiedle żydowskich religijnych ortodoksów, Givat Szaul. W kwietniu 1948 r., u progu izraelskiej wojny o niepodległość, w Deir Jassin doszło do masakry; radykalnie prawicowe żydowskie oddziały paramilitarne Irgun i Lehi zamordowały około stu arabskich mieszkańców (padają też większe liczby). Resztę, w tym osierocone dzieci, wygnano do Jerozolimy.

Władze Izraela i szefowie zrazu podziemnej armii Hagany potępiły masakrę. David Ben Gurion (patrz B) nazwał przywódcę Irgunu Menachema Begina, „Menachemem Hitlerem”; pamiętajmy, że piece krematoryjne Auschwitz i Mauthausen były jeszcze ciepłe (patrz S).

Zemstą za Deir Jassin był arabski atak na konwój medyczny zmierzający do Jerozolimy. Zabito 75 osób: ochronę, personel medyczny, rannych.

Efekt masakry to również masowa ucieczka Arabów przed izraelskim wojskiem. Deir Jassin stała się jednym z pretekstów inwazji państw ościennych na świeżo powstałe państwo żydowskie.



Każdy Izraelczyk wie, co stało się w Deir Jassin; opis wydarzeń znajduje się w szkolnych podręcznikach historii, to dzień hańby szpecący wzniosłe i bohaterskie chwile narodzin żydowskiego państwa. Wie – co oczywiste – o zbrodni w Deir Jassin każdy Arab; z Izraela, z Autonomii Palestyńskiej, Libanu, Iraku, Jordanii.

Jednak opowieść o dramatycznych losach wioski zależy przede wszystkim od światopoglądu opowiadającego. Nie wystarczy, by zbrodnia była nazwana zbrodnią. Musi mieć swoją narrację, tak różną, jak różni są ludzie, którym zależy na jej interpretacji.

Jedna z wersji, rozpowszechniana akurat między Arabami, głosi, że we wsi doszło nie tylko do morderstw, ale też do masowych gwałtów. To nieprawda. Opowieściom o gwałtach zaprzeczali ocaleni arabscy świadkowie masakry, dodając swoje: namawiano ich, by mówili o gwałtach, żeby przerazić i wywołać agresję Arabów.

I tak dla żydowskich religijnych ortodoksów, którzy nie znoszą syjonistów, sąsiedztwo Deir Jassin i Givat Szaul to dowód, że Żydzi i Arabowie mogą żyć w pokoju. Zachowały się opowieści o

tym, iż masakra nie przybrała większych rozmiarów dzięki interwencji chasydów, którzy wpadli do wioski, wymyślali żydowskim partyzantom od złodziei i morderców; podobno gdyby nie ich obecność, być może rozstrzelano by kilkaset kobiet i dzieci uwięzionych w miejscowej szkole.

Izraelskiej lewicy sprawa Deir Jassin służyła do potępiania prawicowego syjonizmu.

Izraelska armia (patrz I), następczyni podziemnej Hagany, powiada, że z masakrą nie miała nic wspólnego, choć nie jest to takie pewne; oddziały Hagany były w Deir Jassin, a co najmniej wspomogły amunicją paramilitarne bojówki.

Dla Arabów izraelskich i dla Palestyńczyków zaś Deir Jassin to dowód żydowskiego bestialstwa, a także całkiem współczesnej znieczulicy – nowe, żydowskie zabudowania zaczęto stawiać na ziemi należącej do wieśniaków z wioski już rok po masakrze.

## Depresja

Nie mam nabożeństwa dla Morza Martwego. Fakt – to jedna z najbardziej znanych na świecie geograficznych depresji. Leży 418 metrów poniżej poziomu morza. Ale depresji Izrael ma dość; np. cały rów rzeki Jordan, którego fragmentem jest Morze Martwe. Zresztą krajobraz niemal całego Izraela to góry i doły, więc nic dziwnego, że niektóre z nich schodzą aż tak nisko.

Nie polubiłem Morza Martwego, bo mam wrażenie, że nie ma w nim żadnego życia nie tylko ze względu na ogromne zasolenie. Po prostu ani rybka, ani żaden wodny robal i najlichsza roślinka nie wytrzyma nie tylko w solance, lecz także w takiej temperaturze. Tamtejsza okolica zna tylko dwa stany: upał lub jeszcze większy upał, niezależnie od pory roku. Skwaru nie rekompensuje droga nad morze z Jerozolimy: piękna, kręta, ostro spadająca w dół, a na poboczach prócz beduińskich bud z folii i stad chudych owiec znaki: jesteś 50 metrów poniżej poziomu morza, jesteś 100 metrów poniżej, jesteś 150 metrów poniżej... I tak dalej.

Morze Martwe – wielka, niekiedy śmierzcząca kałuża bardzo słonej wody, a na drugim brzegu Jordania. Na parkingach rachityczne palmy. Jakieś szlabany grodzące nadbrzeżną drogę, które zamyka się wtedy, gdy grozi powodzią, bo czasami grozi. Ścieżka ku najślawniejszej żydowskiej twierdzy Masadzie (patrz M). Dla leniwszych kolejka linowa. Opowieści archeologów, że akurat w jaskiniach tej górskiej niecki znajdowano najstarsze manuskrypty świata, a ja nie wiem, jak w czasach biblijnych mogli tu żyć ludzie, skoro nie znali klimatyzacji.

Na dalekim południu hotele Ejlatu (patrz E). Lekko ku północy palestyńskie Jerycho, podobno najbardziej wiekowe miasto na ziemi, sprzed ponad dziesięciu tysięcy lat. Ale w Jerychu nie ma aż tak starych pamiątek.

XXX

Pewnego razu siedziałem nad Morzem Martwym zmęczony gorącem, bo jak inaczej. Patrzyłem na błotnisto-kamienistą plażę i ułożone w karne stosiki ręczniki, koszulki, portki i torby należące do jakiejś wycieczki. Państwo turyści leżeli na tafli morza wysmarowani błotem, które ma właściwości lecznicze i kosmetyczne. Wyglądali na zadowolonych.

Zrobiło się jakieś zamieszanie i wycieczka wyszła z błota i wody. Czarna od stóp do głów. Wszyscy poszli pod prysznic.

Nagle zrobiło mi się nieswojo. Patrzę i jestem pewien, że słońce za bardzo mi dogrzało. Wycieczkowicze kapali się, pluskali, szorowali i... ciągle byli czarni, a nawet czarniejsi.

Wnet wyszło, że to grupa czarnoskórych Amerykanów. Lecz zdaje mi się, że zawsze będę pamiętać to bałwańskie zaskoczenie: człowiek czarny od słonego błota wchodzi pod prysznic i wychodzi czarny.

## E

---

### Entebbe

To wprawdzie miasto i lotnisko w Ugandzie nad jeziorem Wiktorja, lecz pies z kulawą nogą nie wiedziałby, gdzie leży, gdyby nie Izrael.

Entebbe stało się bowiem miejscem spektakularnej akcji izraelskich sił specjalnych, równie, a może bardziej, skomplikowanej logistycznie jak strzelanie do liderów palestyńskich organizacji zbrojnych w zemście za zamach na izraelskiej grupie sportowców podczas olimpiady w Monachium (terroryści z palestyńskiej organizacji Czarny Wrzesień zabili 11 Izraelczyków), o wiele trudniejszej niż porwanie z Argentyny hitlerowskiego zbrodniarza wojennego Adolfa Eichmanna. Zdaje mi się, że po Entebbe świat uznał izraelskich komandosów za absolutnych mistrzów w swoim fachu. O samej operacji nakręcono trzy filmy fabularne w gwiazdorskiej obsadzie.

XXX

27 czerwca 1976 r. o godzinie 12.20 z lotniska w Atenach wystartował samolot Air France. Airbus A300 kierował się do Paryża. Miał na pokładzie 248 pasażerów i 12 członków załogi.

Osiem minut po starcie samolot został sterroryzowany przez dwóch Palestyńczyków z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny i dwoje Niemców z organizacji Komórki Rewolucyjne. Po ponad dwóch godzinach wylądował w libijskim Benghazi, gdzie porywacze wypuścili jedną kobietę w widocznej ciąży. Wieczorem Airbus odleciał do Entebbe, dokąd dotarł na resztkach paliwa. Tam do czwórki terrorystów dołączyło jeszcze trzech. Okazało się również, że dyktator Ugandy Idi Amin otwarcie współpracuje z porywaczami. Amin uzyskał patent spadochroniarza podczas kursu w izraelskiej armii, z czego podobno był bardzo dumny; pierwszą wizytę zagraniczną złożył w Izraelu, a odmieniło mu się po podróżach do Libii pułkownika Kaddafiego i do Moskwy.



*E jak Elat – Miasto i port nad Zatoką Akaba, kurort znany z ciepłego morza oraz tego, że można w nim plażować przez okrągły rok*

W Entebbe pasażerów przetrzymywano w starym terminalu lotniska. Terrorysty zagrozili zabiciem wszystkich i wysadzeniem samolotu, jeśli rząd Izraela, któremu wówczas przewodził Icchak Rabin (patrz R), nie uwolni 40 palestyńskich bojowników, a Francja, Niemcy, Szwajcaria i Kenia kolejnych 13. Żądania miały być spełnione do 1 lipca.

Rząd Izraela kontaktował się telefonicznie z Aminem, naciskając na zwolnienie zakładników. Dyktator odmawiał, więc Rabin pozornie zgodził się na żądania porywaczy. Terrorysty zwolnili wszystkich nieżydowskich pasażerów i przesunęli termin ultimatum o trzy dni. W Entebbe zostało 105 pasażerów i załoga samolotu; kapitan odmówił opuszczenia porwanych.

Jednocześnie trwały tajne przygotowania do akcji ich odbicia. Operację nazwano „Piorun”. Misja wydawała się absolutnie niemożliwa do realizacji. Izrael od Entebbe dzieli cztery tysiące kilometrów, a władze Ugandy sprzyjały porywaczom. Spośród kilku wariantów (np. atak komandosów przywiezionych do Entebbe jachtami; miasto leży nad jeziorem Wiktorii) wybrano przerzucenie bezpośrednio na ugandyjskie lotnisko grupy około stu komandosów.

**XXX**

3 lipca pięć transportowych herculesów i dwa boeingi 707 wystartowały z lotniska Ofira (dzisiaj Szarm el-Szejk) na półwyspie Synaj. Leciały nad Morzem Czerwonym na wysokości 30 metrów, by uniknąć wykrycia przez egipskie i sudańskie stacje radarowe. Nocą dotarły do Ugandy.

Pierwszy hercules z otwartą klapą ładowni wylądował w Entebbe o 23.01. Oddział szturmowy zaatakował terminal, gdzie przetrzymywano zakładników; ta część akcji trwała trzy minuty. Komandosi z kolejnych lądujących samolotów walczyli z wojskiem ugandyjskim i opanowali całe lotnisko, niszcząc myśliwce i radary. O 23.52 hercules z zakładnikami odleciał z Entebbe do Nairobi. Ostatni izraelski samolot wystartował 50 minut później.

W akcji zginął dowódca komandosów pułkownik Jonatan Netanjahu, starszy brat przyszłego

dwukrotnego premiera Izraela Bibiego. A także trzech zakładników. Jeden przypadkowo został wzięty za porywacza i zastrzelony przez Żydów, gdy wstał po komendzie „padnij”.

75-letnia Dora Bloch została zamordowana w szpitalu – trafiła tam przed akcją komandosów – na osobisty rozkaz Amina.

Zabito sześciu terrorystów i około 50 żołnierzy ugandyjskich.

XXX

Po operacji „Piorun” pułkownik Jonatan Netanjahu wszedł do panteonu izraelskich bohaterów obok między innymi Ehuda Baraka, byłego komandosa, a dzisiaj polityka, który w kobiecym przebraniu strzelał do palestyńskich bojowników w Bejrucie po monachijskim ataku terrorystów z Czarnego Września. Choć kilkakrotnie słyszałem, że Joni nie był lubianym dowódcą. Ktoś powiedział mi nawet, że jego śmierć w Entebbe nie była przypadkowa. Lecz to najpewniej plotki.

Plotkuje się również, że premier Bibi Netanjahu po dziś dzień nie wyszedł z cienia sławy starszego brata. A nawet że wkroczył do izraelskiej polityki, podpierając się legendą Jonatana. Akurat to wydaje mi się prawdą.

## Ejlat

Miasto i port nad Zatoką Akaba, kurort znany z ciepłego morza oraz tego, że można w nim plażować przez okrągły rok.

Byłem tam dwa razy: pierwszy i drugi, mam nadzieję, ostatni. W Ejłacie nie ma bowiem nic, choć niby wszystko jest tak, jak w podobnym miejscu być powinno: szerokie, piaszczyste plaże (ładniejsze moim zdaniem są w Tel Awiwie), eleganckie i paskudne hotele, knajpy, dyskoteki, zabawa do białego rana, dzikie tłumy na nadmorskiej promenadzie, stragany z pamiątkami. Język urzędowy Ejlatu – rosyjski, choć mogło mi się zdawać, a może miałem pecha. W hotelach i w restauracjach rosyjskojęzyczni Izraelczycy i rosyjskojęzyczni przyjezdni, choć podobno do Ejlatu jeździ się również po to, by na plaży oglądać Skandynawki. No i nurkować, ale ładniejsze rafy koralowe są w sąsiednim Egipcie. A przede wszystkim jest ich więcej.

Po prostu nie lubię kurortów; taki Ejlat można sobie znaleźć np. na hiszpańskim Costa del Sol, jeżdżenie na Costa del Sol zaś winno być opisane w podręcznikach dla sędziów jako kara prawie równie dotkliwa jak dożywotnie więzienie. Moi izraelscy znajomi też kurortów nie lubią (tak przynajmniej mówią), więc na wakacje jeżdżą na Cypr lub do Grecji, jakby było im mało własnego morza i plaż. Natomiast ich dorosłe pociechy planują zaliczenie, rzecz jasna po obowiązkowym wojsku, podróży naprawdę daleko: do Wenezueli, Indii, Tajlandii, Australii. Jazda wokół świata – takie przekonanie panuje wśród izraelskiej młodzieży – pozwala odreagować poarmijny stres.

Z tym ejlackim plażowaniem przez okrągły rok to też gruba przesada. Byłem tam w lutym. Miało być ciepło jak u nas w lecie, więc nawet sprawiłem sobie kąpielówki.

W hotelowym basenie nie zamoczyłem nawet palca. Podobnie w morzu. Dlaczego? Otóż w tych dniach w Ejłacie padał śnieg, niezbyt gęsty, ale jednak. Nie utrzymał się w mieście nawet godziny, choć w okolicznych górach, po izraelskiej i jordańskiej stronie granicy, przeleżał do



## F

### Folman Ari

Spotkaliśmy się przed laty w Warszawie, było wietrznie i zimno jak diabli, a on w czarnym, rozpiętym płaszczu, szyja okutana szalikiem, od czego nie mogło być mu ciepłej, bo koszula rozchełstana. Sadził długie kroki, chodził szybko, zdecydowanie. Oglądała się za nim każda dziewczucha, bo przystojny był niemiłosiernie. Przyjechał do Polski, by pokazać swój „Made in Israel” (2001), trochę zwariowaną komedię à la Stanisław Bareja, trochę groteskę jak u Quentina Tarantino, film drogi, a przede wszystkim rozrachunek z izraelskimi mitami. Zebrał za to w ojczyźnie baty, lecz – jak to bywa – nie od tych, którzy mieliby prawo, żeby ewentualnie się wściec.

Izrael – opowiada Folman w filmie – właśnie zawarł pokój z Syrią. Jego warunkiem jest wydanie mieszkającego w Damaszku ostatniego żyjącego nazistowskiego zbrodniarza wojennego Egona Schultza. Opinia publiczna oczekuje, że Niemiec zostanie skazany na śmierć. Nie wierzy w to biznesmen Danni Hoffman, który zamierza dopełnić sprawiedliwości na własną rękę. Wynajmuje parę rosyjskojęzycznych zabójców. Syryjczycy dostarczają Schultza na izraelską granicę tuż przed szabatem. Zbrodniarza ma eskortować gorliwy, wierzący policjant. Ze wzgórz Golan do Jerozolimy kawał drogi, a wierzącym Żydom w szabat nie wolno pracować i podróżować. No więc zaczyna się dziać.

Po premierze „Made in Israel” na Folmana spadły gromy. Że bawi się i nie szanuje pamięci Holocaustu. Kpi z religijnych nakazów, żartuje z Mojżesza i narodowych bohaterów, szarga świętości. Folman odpowiadał, że nie kpi ani nie szydzi, lecz sprzeciwia się używaniu Holocaustu do manipulowania izraelską świadomością (patrz S).



Wśród chłoszczących nie było ocalonych z Zagłady, bohaterowie zaś patrzyli na zgrywy Ariego z przymrużeniem oka. Ktoś zauważył, że „Folman ma nie tylko potrzebę opowiadania, lecz również coś ciekawego do powiedzenia”.



Wtedy w Warszawie Ari opowiedział mi o projekcie kolejnego filmu. Wiedział, że będzie to animacja, ale też dokument, bo włoży weń własne przeżycia; walczył na froncie podczas pierwszej wojny libańskiej, szturmował Bejrut. Mówił, że męczą go wspomnienia tamtej wojny prowadzonej również pod nadużywanym – jego zdaniem – hasłem „drugiego Holocaustu nie będzie”. A także poczucie winy za Sabrę i Szatilę, palestyńskie obozy uchodźców spacyfikowane przez libańskich chrześcijan, gdy izraelskie wojsko stało o krok z założonymi rękoma.

Nie wiedziałem, że opowiada o „Walcu z Baszirem” (2008), filmie genialnym, zdobywcy wszelkich możliwych izraelskich nagród i Złotego Globu, walczącym o canneńską Złotą Palmę i nominowanym do Oscara (na razie to największy sukces Folmana). I że sam, na wyrost (a może nie?), posłuży się w „Walcu” symbolem Holocaustu – zdjęciem żydowskiego chłopca z warszawskiego getta wplecionym w sceny mordowania palestyńskich obozów.

## Film

Zazdroszczę Izraelczykom ich filmów. Od kilku lat nie ma festiwalu, gdzie nie dostawałyby nagród i wyróżnień. Po literaturze to najmocniejsza ze sztuk. Pytałem, skąd taka obfitość pomysłów i talentów. Odpowiedzią było wzruszenie ramion: – A niby skąd mamy wiedzieć?

A więc: Folman to raz. Joseph Cedar: dwie nominacje do Oscara. Pierwsza za „Twierdzę Beaufort” (2007), też o libańskiej wojnie, w Berlinie nagrodzoną Srebrnym Niedźwiedziem. Druga za „Przypis” (2011) nagrodzony w Cannes – to dwa. W Izraelu „Twierdza Beaufort” przegrała rywalizację z „Przyjeżdża orkiestra” (2007) Eran Kolarina, gorzką komedią o wizycie policyjnej orkiestry z egipskiej Aleksandrii w małym żydowskim miasteczku na pustyni Negew (filmu nie nominowano do Oscara w kategorii najlepszy film nieanglojęzyczny, gdyż uznano, że za dużo w nim angielskiego).

Jest jeszcze Samuel Maoz i „Liban” (2009, wojna widziana przez wizjer czołgu) nagrodzony Złotym Lwem w Wenecji. Eran Riklis z „Misją kadrowego” (2010, zblazowany kadrowy wielkiej piekarni odwozi na Bałkany ciało nielegalnie zatrudnionej pracownicy zabitej w zamachu terrorystycznym). Shira Geffen i Etgar Keret z „Meduzami” (2007, na pozór banalne, codzienne historie kilku kobiet), które w Cannes zdobyły Złotą Kamerę za debiut. Albo dwóch młodych chłopaków, arabski chrześcijanin Scandar Copti i Żyd Yaron Shani, i ich nominowane do Oscara „Ajami” (2009), mroczny, paradoksentyczny portret miasta, z gangami, narkotykami, ale też wspólnym, zaplątanym życiem Arabów i Żydów, muzułmanów i chrześcijan.





Bez dokumentu nie byłoby moim zdaniem tak silnej pozycji izraelskiego filmu. To znów Ari Folman i film „Materia odpowiedzialna za miłość” (2004) – kilka odrębnych historii, np. mężczyzna kochający tak, że chce dla zwodzającej go rosyjskiej prostytutki obrabować bank (sędzia, wzruszony opowieścią, skazuje go na najniższą z możliwych kar za napad z bronią), lub opowieść o żydowskiej dziewczynie zakochanej w arabskim chłopaku, której życie układa się tak jak u Szekspira w „Romeo i Julii”.

Dla mnie gwiazdą izraelskiego dokumentu jest jednak Tamar Yarom, piękna, drobna blondynka z argentyńskimi korzeniami. Zrobiła „A jeśli się uśmiecham” (2007), prostą, przejmującą opowieść o dziewczynach – frontowych żołnierzach.

Jest tam historia Meytal, nastolatki z oddziału sanitariuszy w Hebronie podczas drugiej intifady (patrz I). Nie musiała jechać na front; sama chciała. Dzisiaj jest w Kolonii, studiuje lingwistykę, judaizm i islam. O wojsku opowiadała tylko Tamar.

Pierwsza śmierć w życiu Meytal to żydowska dziewczynka trafiona przez palestyńskiego snajpera. Umiera w jej ramionach, koledzy z oddziału gratulują, że dobrze to zniosła. Śmierć druga – arabski chłopak trafiony w głowę. Umiera długo, nie kontroluje fizjologicznych odruchów. Meytal siedzi obok zakrwawionego, zasikanego, lecz jeszcze żywego ciała. Przykrywa chłopaka kocem, bo nie znosi smrodu. W szpitalu każą umyć jej zwłoki, zanim wydadzą je rodzinie. Potem sama szoruje ręce jak lady Makbet, ale zdaje się jej, że nie może odmyć zakrzepłej krwi.

I śmierć kolejna. Plus uśmiech, którego Meytal nie umie pojąć. Młody Palestyńczyk, trup, a ma erekcję. Żołnierki śmieją się, że nie żyje, a taki jurny. Meytal prosi: – Cyknijcie mi fotkę. Nie pamięta, dlaczego chciała takie zdjęcie. Pamięta, że wtedy padał śnieg w Hebronie.

Albo relacja Libi z nocnego patrolu w Gazie. Przestraszyła się arabskiego chłopaka, który w jej kierunku wykonywał obsceniczne gesty. Opowiedziała o tym kolegom z oddziału. Dorwali Palestyńczyka po kilku kwadransach; poznali go po czerwonych szortach. Rozebrali do naga, pobili i zgwałcili.

I znów – jak w Izraelu – znaleźli się tacy, którzy za „A jeśli się uśmiecham” chcieli Tamar Yarom nurzać w smole. Ale i tacy, którzy dali jej najważniejsze filmowe nagrody. Film pokazano w Knesecie. Organizowano specjalne prelekcje dla oficerów wychowawczych i żołnierzy. Tamar słyszała, że wojsko bało się tych pokazów, gdyż – objaśniali oficerowie – film może obudzić w żołnierzach wątpliwości, za które na froncie płaci się życiem. Uznano jednak, że warto zaryzykować, żeby żołnierze zobaczyli, jakie demony budzi wojna w ludziach na pozór zwyczajnych.

XXX

Być może więc sekret sukcesu izraelskich filmów leży w bezwzględnej, niekiedy okrutnej i nieznającej zmiłowania (również dla siebie) szczerości ich twórców. Tam nie kręci się komedii romantycznych (choć komedie powstają) dla uciechy publiki; film jest po to, żeby coś zrozumieć. Nim Tamar zrobiła „A jeśli się uśmiecham”, nakręciła krótką fabułę „Łkająca kiecka” (2004) o

własnej służbie wojskowej. Była podczas pierwszej intifady oficerem wychowawczym. Oddział stacjonował w Gazie.

„Łkająca kiecka” nie oszczędza nikogo. Jest w niej wojenna przemoc, koszarowe żarty o „babskich dupach, mniam, mniam, jakie to pyszne, może być dupa Arabki”, z których śmieją się również żołnierki (muszą być „równymi babami”, żeby zdobyć zaufanie chłopaków), ból, strach, wysiłek, zabijanie nudy i ludzi. Romans z dowódcą oddziału; trzeba zająć się czymś innym niż wojaczką, żeby nie zwariować. A ten dowódca, gburowaty twardziel i cymbał, płacze, gdy nikt nie widzi, albo wyje „Allahu akbar”, żeby uspokoić nerwy po nocnej akcji.

Za szczerłość jest nagroda. „Łkająca kiecka” – film o wojnie i przeciwko wojnie – zebrała wszelkie możliwe zaszczyty na festiwalu w Hajfie w samym środku drugiej intifady.

## G

---

### Gold Star

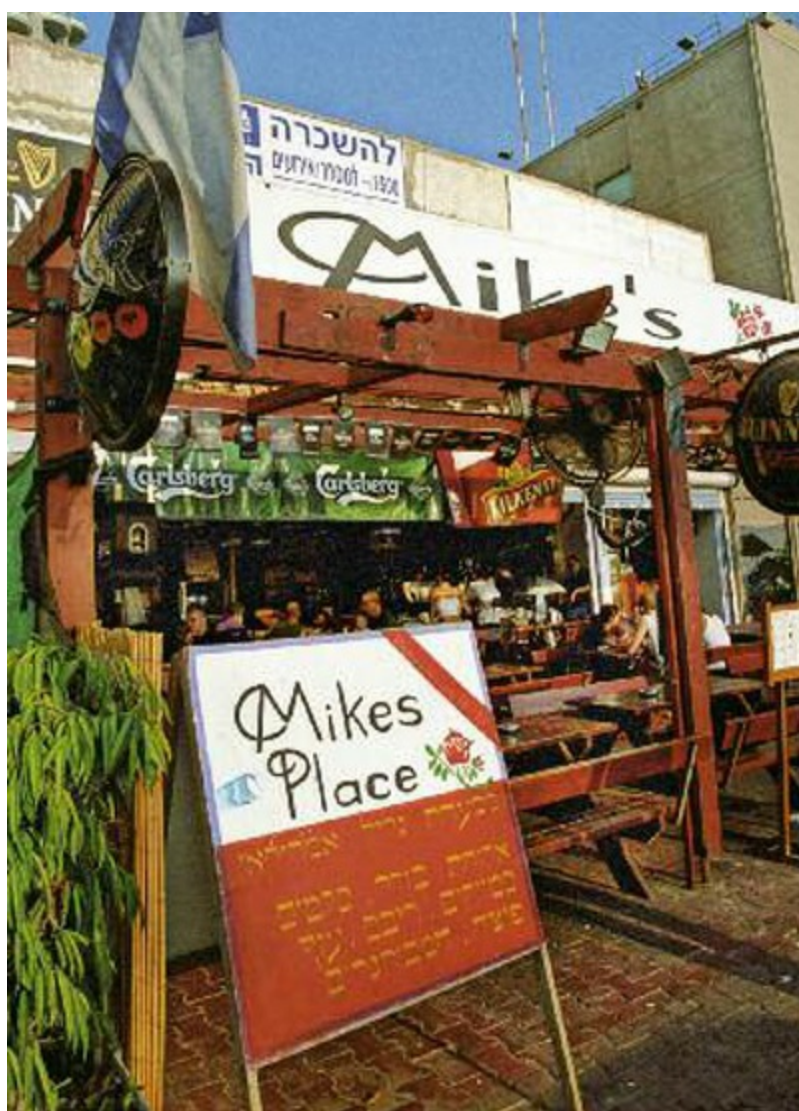
Chyba najbardziej popularne piwo w Izraelu, koloru ciemnego bursztynu, dobrze zbąbelkowane, niezłe, choć nie wybitne.

To również powód konfliktu, niemal równie zacieklego jak spór żydowsko-palestyński. Gold Star ma bowiem lokalnego rywala, piwo Maccabi. Kto pije Gold Star, patrzy z wyższością na tych od Maccabi, i odwrotnie. Pośród moich znajomych są właściwie wyłącznie zwolennicy Gold Star. Nie mam pojęcia, czy wiąże się to z poglądami politycznymi (głównie lewica), stylem życia (luzacy), a może tylko z kubkami smakowymi. Podzielałam ich zdanie – Maccabi to lura niegodna, by ją pić. Nie miałbym dość odwagi, by wyrazić ów sąd między tymi, dla których Maccabi jest najlepszym piwem na świecie.

Oczywiście, w Izraelu można się napić każdego piwa z każdego zakątka świata. W moim ulubionym Mike’s Place zarówno w Tel Awiwie, jak i w Jerozolimie (dwa bary nazywają się tak samo) oferują Amstela, Heinekena i Tuborga (robione w Izraelu na licencji belgijskiej, holenderskiej i duńskiej), można skosztować czarnych, gęstych irlandczyków. Podobnie jak w wielu innych pubach i barach.

Są w Izraelu piwa niemieckie (zwykle i pszeniczne), angielskie, a nawet amerykański Samuel Adams, nie mówiąc o sikaczach zza oceanu takich jak Miller Lite (co powinno być zabronione konstytucyjnie). Są piwa z Australii i Belgii. W kibucu Nir Oz (patrz N) piłem nawet jakiś argentyński erzac piwa; po co sprowadzono to świństwo, nikt nie umiał mi wytłumaczyć.

Mimo piwnego bogactwa będącego efektem globalizacji w Izraelu króluje bezapelacyjnie Gold Star – z kija, z puszki, z butelki. Przynajmniej między piwnymi patriotami. Nadto na telawiwskiej plaży smakuje wybornie.



*G jak Gold Star – Najbardziej lubię pić izraelskie piwo w barze Mike's Place*

Ale, ale... Nawet jeśli Gold Star jest królem, powinien rozglądać się wokół, bo być może czeka go detronizacja. Nie zrobią tego żadne piwa z Europy czy z USA. Cios nadejdzie z Palestyny, z miasteczka Tajba, gdzie warzą piwo o tej samej nazwie.

Piwo Tajba rozlewane jest do butelek 0,33 litra. Można je kupić w arabskich sklepach w Jerozolimie czy Jafie i w alternatywno-lewicowych miejscach w Tel Awiwie. Ma jasny kolor i smakuje wybornie, a miara 0,33 jest w izraelskiej duchocie (patrz U) absolutnie w sam raz. Piłem tajbę z butelki na schodkach w zaułkach jerozolimskiej Starówki. Z kufla w eleganckich arabskich (chrześcijańskich) restauracjach. W mojej ulubionej księgarniokawiarni Yafa w Jafie. W telawiwskich klubach. Miało jedną wadę w stosunku do Gold Stara – cenę, kilka szekli więcej. Ale to piwo warte jest takich pieniędzy.

Myślę, że gdyby nie kłopoty z importem towarów z Autonomii Palestyńskiej, Tajba pobiłaby Gold Stara, a przynajmniej rozgorzałaby piwna wojna jak Gold Star versus Maccabi. A może nie; wszak w Izraelu nawet wycieczki turystyczne to polityka, więc o picciu piwa można powiedzieć tak samo. Łatwo mi sobie wyobrazić polityczną mapę zwolenników Tajby. Byłaby to lewica, skrajna i przytomna, najpewniej działacze na rzecz praw człowieka, aktywiści pokojowi i marzyciele, że na Bliskim Wschodzie puzzle żydowsko-arabskie wreszcie się ułożą. Po drugiej stronie znalazłaby się

prawica, rosyjska alija, radykalni syjoniści (choć co do kibucników, pewien nie jestem), religijni. Zresztą nie muszę sobie tego wyobrażać. W pewnych miejscach w Tel Awiwie i w Jerozolimie, gdzie z płyt leci ostra muzyka, a kolczyków jest więcej niż uszu, picie Tajby to sznyt, obyczaj i polityczna manifestacja. Tajba jest cool, spoko, kto pije Tajbę, chce lepszego Izraela. Smak piwa nie ma tu ponoć nic do rzeczy, choć nie za bardzo w to wierzę.

Niedawno pokazała się ciemna wersja Tajby. Butelki takie same, kolor piwa brunatnoczarny, etykieta złotawa, z kłosami zboża, smak wyborny, cena wysoka, a może za wysoka. Ciemna Tajba dopiero zdobywa piwne przyczółki; znalazłem ją w jednym sklepie w jerozolimskiej dzielnicy Szejk Dzarah. Nie da się czarnej Tajbie przypisać politycznej misji; w końcu Palestyńczycy nie biją się o swoje państwo z Irlandczykami, a Żydzi ciemnego piwa nie robią (znaczy się robią, jakieś słodowe Maccabi, ale nie warto o tym pisać). Jednak sukces ma murowany. Jak nie dzisiaj, to jutro.

## Golan

Gold Star to nie mistrzostwo świata, ale izraelskie wina są już z całkiem innej opowieści. W winach Żydzi pobili Amerykanów, Włochów, Hiszpanów i Francuzów. Nie mówiąc już o Arabach, zwłaszcza tych z Izraela. Najlepsze, jak mi się zdaje, są z winnic położonych na wzgórzach Golan.

To strategiczny, górzysty płaskowyż, do którego roszczą sobie pretensje Izrael, Syria i Liban. Obecność na wzgórzach powoduje, że Izrael może ostrzeliwać Damaszek, a Syria – północny Izrael. W Starym Testamencie nazywane Baszan. Zdobyte przez Żydów w wyniku wojny sześciodniowej w 1967 r. i obronione podczas wojny Jom Kippur, siedem lat później (patrz W). W 1981 r. jednostronną decyzją Knesetu objęte izraelskim systemem prawnym. Dzisiaj Golan to część Izraela; nie wyobrażam sobie traktatu pokojowego z Syrią, w którym Izrael wyrzeka się wzgórz Golan, choć wyobrażam sobie pokój izraelsko-syryjski.

Oglądałem film o wzgórzach Golan – zachętę dla turystów, by zajrzeć w ten kawałek świata. Wielkie łąki i pastwiska pełne krów, zimne strumienie, konne wycieczki niczym na bezkresnych preriach Dzikiego Zachodu (konie w westernowych siodłach, przy łukach lassa, jeźdźcy w kolorowych chustkach na szyjach i stetsonach), latem piesze wędrówki i pikniki przy ogniskach, zimą – tak, tak – narty. Poniżej wzgórz – Jezioro Galilejskie, a nad jego brzegiem wycięta z metalu figura Hafiza al-Asada, zmarłego na serce syryjskiego dzierzymordy i śmiertelnego wroga Izraela. Siedzi więc Asad nad jeziorem, moczy wędkę, ale nic nie złowi. Stracił Golan na zawsze; nikt na Wzgórzach nie żałuje, że z połowu nici.

Golan z filmu jawią się jak siódmy cud świata: ogromniaste, majestatyczne, przestronne i piękne. Tyle że w rzeczywistości wzgórz są maciupęńkie, żadnej przestrzeni, ciasno tam, jak ciasno w całym Izraelu i na Bliskim Wschodzie. Ten film to ściema i nieściema (bo wzgórz Golan są piękne), za to z pewnością dowód na porzekadło, iż małe jest fantastyczne.

Oglądałem ten film w Katzrin, stolicy Golanu; sala projekcyjna w domu kultury na pierwszym piętrze. Na parterze zaś sklep, a raczej raj dla winiarzy. Golan bez winnic byłyby o połowę biedniejsze.

Wino było w Izraelu od zawsze; istnieje pogląd, że Drzewo Poznania, czyli słynna jabłonka, z której Ewa, skuszona przez szatana, zerwała zakazany owoc, to nie żadna jabłonka, ale krzew winorośli. Mojżesz wysłał posłańców do Kanaanu (dzisiejszy Golan), skąd przynieśli mu kiść winogron. Księga Przysłów powiada, że wino należy podawać „zgorzkniałym na duchu”. Baron de Rothschild, znany również z produkowanych przez siebie francuskich bordeaux, inwestował w palestyńskie winnice, zanim powstał Izrael.

Ale prawda jest również taka, że izraelskie wino jeszcze nie tak dawno było nie do picia. Co się zmieniło? Kiedy się zmieniło? Z jakiej przyczyny? Niech o tym gardlują fachowcy. Dla mnie – w Katzrin, ale nie tylko – ważne jest, że się zmieniło. I to jak.

Wina z winnic Yarden, Gamla, Katzrin, Golan to absolutne mistrzostwo wszechgalaktyczne. Wino spod Góry Karmel – tak samo. Wino Barkan, kiedyś z osiedla Barkan na Zachodnim Brzegu (widać stamtąd cały niemal Izrael, ale wino od 2008 r. już z osiedla nie jest, a to dlatego, by uniknąć ewentualnego bojkotu) – podobnie. Wszystko jedno – białe, czerwone, cabernet, chardonnay, riesling, merlot, sangiovese, pinot noir. Choć sadzonki krzewów pochodzą z Europy i z USA, niech winiarze z Europy i z USA uczą się od Izraelczyków.

Mnie najbardziej pasują wina z rodzinnej winnicy Tishbi. W Polsce drogie upiornie, co usprawiedliwia ich jakość. W Izraelu – umiarkowanie.

Winnicę założono u stóp Góry Karmel w 1882 r., ponad sześć dekad przed powstaniem Izraela. Za pieniądze – jakby inaczej – barona Edmonda de Rothschilda. Prowadził ją Michał Chamilecki, który po latach zmienił nazwisko na Tishbi, wymyślone zresztą przez wielkiego żydowskiego poetę Chajima Bialika. W 1984 r. rodzina Tishbi poszła na swoje. Uprawiają winorośl w czterech winnicach, w okolicach Karmel, Gór Judzkich, wzgórz Golan i na pustyni Negew. Cabernet z Tishbi smakuje nawet z plastikowego kubka i nie tylko dlatego, że pity pod murami Jerozolimy. Po prostu jest wyśmienity.

XXX

Byłem też w winiarni u Wowki Cynamona opodal Tel Awiwu. Wowka przyjechał do Izraela w dzieciństwie z Dzierżoniowa na Dolnym Śląsku, przyjął hebrajskie imię Zeev, należał do młodzieżówki tamtejszej partii komunistycznej, kiedy jeszcze była wspólna dla Żydów i Arabów, ukończył wydział rolniczy Uniwersytetu Hebrajskiego, miał się wielu zajęć. Nadto śpiewał w chórze, a po próbach chadzał z kolegami śpiewakami na wino. Jeden z tych kolegów miał kawałek ziemi w moszawie Nataf pod Tel Awiwem. Hodował krowy. Wowka przekonał go, żeby spróbowali z winem; taki pomysł na późne lata zawodowej aktywności. Było to w połowie lat 90.

Chcieli więc robić wino, lecz w pierwszej wyprodukowanej przez siebie beczce odkryli – opowiada Wowka – winogronowy kompot. Szkoda było wylewać, Wowka dodał trochę cukru i spirytusu. Wyszedł trunek przypominający w smaku portugalskie porto. Tak działo się przez najbliższych kilka lat; wino portopodobne udawało się, lecz to czerwone wytrawne ani-ani. Zaskoczyło dopiero około 2005 r. Porto wciąż wychodzi spod ręki Wowki, ale nie to jest chlubą jego winiarni (po hebrajsku miejsce, gdzie robi się wina, nazywa się po prostu „dziurka”; w czasach antycznych kadzie, w których wygniatało winogrona, miały na dnie dziurę, którą wypływał sok).



Winogrona pochodzą ze Wzgórz Jerozolimskich. Kupują je od zawsze w tej samej winnicy; odmiany shiraz, cabernet i merlot. Tłoczą owoce, mieszają, wino leżakuje w dębowych beczkach. Produkuje pięć-sześć tysięcy butelek rocznie. Niewiele, bardziej dla sportu niż zysku. Sprzedają do najlepszych restauracji w Tel Awiwie; wino Wowki kosztuje setki szekli.

XXX

Natomiast niech Bóg chroni przed winem z Kany Galilejskiej, dzisiaj nazywanej się Kafr Kanna. Wino z Kany pokazuje, że nie warto wierzyć w cuda. A może inaczej – ufam, że Jezus zamienił podczas wesela wodę w wino, i ufam, że było ono niezwykle w smaku. Lecz mniemam, że od tego czasu w Kanie zapomniano, czym może być wino, i dlatego tłumom turystów arabscy sprzedawcy serwują coś między octem a glikolem, świństwo rzadkiej jakości, kupowane na hektolitry, no bo z Kany, może w tym winie jest palec boski. Nie ma! Tak samo jak nie ma nic w winach produkowanych na Terytoriach. Arabowie przegrali z Żydami wojnę na wina z kretelem.

### **Gefilte fisz**

Kuchnia żydowska i kuchnia arabska to w Izraelu pole prawdziwego konfliktu. Nie mam problemu, by powiedzieć, kto w tym konflikcie jest górą.

Z kuchni żydowskiej najbardziej smakuje mi gefilte fisz.

Czyli: weź półtora kilo karpia lub innej białej ryby, obierz, dodaj cebulę, pokruszoną macę (może być tarta bułka), jajka, gałkę muszkatołową, pieprz, sól, garść rodzynek. Z rybich łbów ugotuj bulion. Ugotowaną i zmieloną rybę uformuj w pulpety. Z bulionu zrób galaretę. Dodaj rodzyнки.

Gefilte fisz to po prostu karp faszerowany. U mnie w domu zwany „kulkami babci Zosi” albo „rybą babci Róży” (babcia Róża nie robiła rybnych kulek, tylko coś, co wyglądało jak kromki bułki paryskiej), w żadnym razie na słodko. Galareta jest w gefilte fisz niezbędna, lecz podobno w domu baronostwa Rothschildów zamiast niej był sos chrzanowy (moje babcie powiedziałyby, że baronostwo nie miało pojęcia o rybie faszerowanej, bo do ryby trzeba dać nie sos chrzanowy, lecz ostry, czysty chrzan), co dowodzi, że rodzajów gefilte fisz jest tyle, ile kucharek i kucharzy. Znaleźć w Izraelu restaurację, gdzie podają gefilte fisz takie, jak babcie Zosia i Róża, to sztuka granicząca z cudem. Choć po domach, zwłaszcza na święto Paschy, jadałem rybę faszerowaną, że palce lizać.

Tradycyjna kuchnia Żydów europejskich jest w Izraelu w odwrocie. W Tel Awiwie ze świecą szukać restauracji z czulentem, kiszke, rybą faszerowaną, kaczuszką w jabłkach, z buraczkami i gryczaną kaszą. Łatwiej w Jerozolimie, ale też nie bardzo. Żydowskie gotowanie z Europy daje w Izraelu tyły i trudno się dziwić, bo te specjały nie na tutejszy klimat.

Zdaje się więc, że w Izraelu wygrywa kuchnia arabska. Falafele, kuskus, marynowane warzywa, kebaby, pita, humus, rozliczne pasty z bakłazanów lub cieciorke, serek labale jakby prosto z Libanu. No i kuchnia ponadnarodowa, jakieś fusion bez geograficzno-narodowych właściwości – owoce morza, makarony, sałaty, befsztyki, fajity itp., itd.

Tyle że nie wiadomo, czym jest arabska, a czym żydowska kuchnia. Albo kto do jakiej potrawy

ma wyłączone pierwszeństwo. Czyj jest falafel? Humus? Pita? Czyje są te wszystkie sałatki, pasty, maczanki, przyprawy?

Rodzice Jossiego, przyjaciela, pochodzą z Iranu i z Afganistanu. Religijni, przestrzegają reguł obowiązujących w koszernej kuchni (patrz K). Potrawy doprawiają tak jak w afgańskiej i irańskiej tradycji. Gotują po żydowsku, choć Żydzi z Europy uznaliby, że to kuchnia egzotyczna, azjatycka, za pikantna, zbyt dużo (wcale nie!) w niej mięty, szafranu, pieprzu i sumaku.

Za to kuchnia marokańskich Żydów pochodzących z wybrzeża Morza Śródziemnego to ryby, ryby i ryby, nieznane w Afganistanie i Iranie. Kuchnia Irakijczyków to baranina i dużo pomidorów, biriani, czyli coś przypominające risotto (może być z mięsem lub tylko z warzywami), tyle że nie z Włoch, lecz z dorzecza Tygrysu. W chińskich restauracjach, gdzie niekiedy podają skośnoocy w jarmułkach i z pejsami, kuchnia żydowska jest chińska, choć koszerna. W japońskich – japońska. Do tego może być rosyjska wódka.

XXX

Lecz jeśli miałbym ułożyć ranking izraelskich restauracji, wskazuję na tel-awiańskiego Szczupaka przy Hayarkonie, rzut beretem od morza. Z powodów kulinarnych – ryby przepyszne – i pozajedzeniowych. Prócz izraelskich Polaków i polskich turystów nie ma nikogo, kto wymówi poprawnie nazwę tej restauracji, więc próżno pytać na ulicy, jak Szczupaka znaleźć. Tyle że nazwa „Szczupak” napisana jest nad wejściem do restauracji po hebrajsku, więc Polakom z Polski napis nic nie powie. Co nie przeszkadza, by knajpa była wiecznie zatłoczona. Szczupaka w Szczupaku nie podają.

Na pierwszym miejscu postawiłbym jednak Szmulika. Usytuowany na granicy Tel Awiwu i Jafy (patrz Y), w dzielnicy, gdzie prędzej spodziewać się można warsztatów samochodowych niż dobrej knajpy. Stoliki plastikowe. Takież krzeselka. W rogu salki niewielka umywalka. Baraczek to mało elegancki, bardziej przypominający garkuchnię z Jafy. A w środku zdjęcia stołowników: premierzy Izraela, koronowane głowy z Europy, prezydenci Stanów Zjednoczonych, aktorzy, muzycy, celebryci; wszyscy możni tego świata, którzy zawitali do Izraela.

Szmulik przyjechał do Izraela z Besarabii i takie jedzenie serwował, rzecz jasna koszerne; restaurację zamykano w szabat, co w Tel Awiwie nie jest takie oczywiste. Może więc była to kuchnia rumuńska, może poniekąd ukraińska, może polska, żydowska z pewnością, ale kuskus też tam był, humus był. Pasty pomidorowe i bakłazanowe maczanki do pity. Niestety, Szmulik już nie żyje, a knajpa została w rodzinie, lecz nie wiadomo, czy rodzina ma chęć, by trzymać się gotowania Szmulika. Podobno nikt nie spisał przepisów, wedle których tu gotowano.

Nie pamiętam dokładnie, co tam jadłem, prócz marynowanej rzodkiewki, niezwyklej, boskiej, najcudowniejszej, ostrej i łagodnej, szczypiącej lekko, ale też dobrej jako zagryzka. I smażonego kalafiora oraz kotlecików baranich. A jadłem z pewnością o wiele więcej, gdyż zaprowadził mnie do Szmulika miłośnik Szmulika i kazał spróbować wszystkiego.

Popijałem zaś cytrynowką robioną wedle sekretnej receptury Szmulika. Był w tej cytrynowce palec boży; żadnej wątpliwości być nie może. Żółta, gęsta, lepka, nie do podrobienia. Może z nutą

cynamonu, może z goryczką wydobytą z pestek, pachnąca jak cytrusowy gaj. Pod mięso mocno wytrawna, przy deserze słodkawa, cytrynówka marzenie. Mocna w sam raz, bardziej płacząca nogi niż język, a może język niż nogi. Spożywana lekko ponad miarę nie daje żadnych objawów kaca.

Podawał ją Szmulik w plastikowych butelkach po coca-coli z na wpół oderwaną etykietą. Bez żadnych banderol monopolu spirytusowego. Lał cytrynówkę do małych kieliszków, ciepłą, a mimo to znakomitą. Jeśli dzisiaj serwuje ją w niebie, jest pierwszym wśród podczasznych.

# H

---

## Herzl Teodor

Izrael? Wymyślił go pewien dziennikarz, ale też wizjoner i oderwany od życia marzyciel. W jego pomysł, oceniając na zdrowy rozum, nie było szczypty racjonalności. A jednak to, co wymyślone, stało się ciałem.

Urodził się w 1860 r. w Budapeszcie, więc wedle izraelskich kryteriów był Węgrem, a może Jugosłowianinem, gdyż ojciec pochodził z Belgradu. Nigdy nie nauczył się mówić biegle po hebrajsku, choć od najmłodszych lat miał mocne poczucie narodowej identyfikacji. Studiował prawo, ale chciał być pisarzem. Na uniwersytecie w Wiedniu zapisał się do niemiecko-narodowej korporacji akademickiej. Zrezygnował albo zrezygnowano z niego; Żydom zabroniono członkostwa w studenckich organizacjach. O antysemityzmie, zdobywającym popularność w monarchii Habsburgów, mawiał, że jest jak młot, którym biją go po głowie. A jednak został cenionym dziennikarzem wiedeńskiej „Neue Freie Presse”, m.in. korespondentem w Paryżu.

Relacjonował proces Alfreda Dreyfusa, francuskiego oficera o żydowskich korzeniach oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Dowody winy Dreyfusa zostały sfałszowane, w jego obronie wystąpiła francuska elita intelektualna, a sam proces został uznany za symbol antysemityzmu. Herzl pisał: „W uszach moich brzmią jeszcze wściekle okrzyki tłumu zebranego na ulicy: śmierć Dreyfusowi, śmierć wszystkim Żydom”.

Efektem sprawy Dreyfusa była książka „Państwo żydowskie” – marzenia wiedeńskiego intelektualisty o żydowskiej organizacji państwowej w Palestynie (nie była to jedyna propozycja, przyszłe państwo żydowskie lokowano np. w dzisiejszej Ugandzie) pod protektoratem imperium otomańskiego, sprawiedliwej, demokratycznej, dla Żydów, choć nie tylko. Jednych (m. in. barona de Rothschilda, papieża Piusa X, wielu wpływowych polityków i biznesmenów o żydowskich korzeniach oraz rabinów, przywódców chasydzkich sekt i dworów, całkowicie zasymilowanych pisarzy i naukowców, a także Żydów przywiązanych do narodowego kodu, którzy jednak widzieli szanse w diasporze) rozbawiły te pomysły. Nielicznych porwały.





*H jak Hebron – Stary Palestyńczyk kłóci się z izraelskim żołnierzem. W Hebronie nienawiść palestyńsko-izraelska sięga szczytów*

Rok po opublikowaniu „Państwa żydowskiego” w Bazylei odbywa się pierwszy kongres syjonistyczny. Powstaje Światowa Organizacja Syjonistyczna. Herzl szuka wsparcia dla swojej idei w całej Europie. Umiera w 1904 r., 44 lata przed powstaniem Izraela. Ma już całkiem sporo zwolenników.

**XXX**

Gdyby założyciele Izraela stosowali się ściśle do pism Teodora Herzla, państwo żydowskie najpewniej by nie powstało. Wszak mówił o kraju dla ludzi bez ziemi na ziemi bez ludzi. Nie przewidział wojen z Arabami; Palestyna nie była bezludna. Ani tego, że pomysł kraju dla napiętnowanych spotka się z takimi oporami.

Herzl nie wiedział, bo skąd, że syjonizm – z grubsza idea taka sama jak pragnienie Polaków czy Włochów do posiadania narodowego państwa; mamy wszak wiek XIX, gdy narody i ich aspiracje dopiero się kształtują – się wyrodzi. Okazało się, że syjonistami mogą być nie tylko lewicowcy przejęci ideami demokratycznego socjalizmu dla wszystkich, równości, sprawiedliwości i braterstwa, ale też skrajna prawica, radykalnie nacjonalistyczna, etnocentryczna i zamknięta, niechętna wobec pozazydowskiego świata.

W końcu nie miał pojęcia, że oblicze Izraela będą kształtować również Żydzi religijni, odrzucający syjonizm jako grzech śmiertelny. Ani o tym, jak wielka jest żydowska różnorodność wynikająca z dwóch tysięcy lat diaspory. Co oznaczało, że kiedy powstał Izrael – marzenie Teodora Herzla – zjechali tam ludzie z Europy i Azji, z Afryki i Ameryki, różni obyczajem, językami, rysami twarzy, kuchnią, strojem i tańcami. Zjednoczeni zaś tylko poczuciem przynależności do żydowskiego narodu (często uświadomionej dopiero poprzez antysemityczne napiętnowanie). Owa przynależność zaś dla każdego będzie co innego znaczyć.

Słowem – Herzl nie wiedział, że marząc o żydowskim państwie, marzy o kraju dla ludzi tak różnych, jak różny jest świat. I że się jego marzenie ziści; raz lepiej, raz gorzej.

## Hucpa

Zdaje mi się, że Teodor Herzl nie docenił także hucpy, choć bez wątpienia powinien. To słowo pochodzi z jidysz, przejęte zostało przez hebrajski, ale gości chyba we wszystkich języka świata. Znaczą zaś tyle co: bezczelność, chamska pewność siebie, arogancja. Lecz bezczelność to nie zwyczajna, ale sięgająca chmur, ponadwymiarowa, bezczelność doskonała, bez oporów, pozbawiona obciachu, dzika, nieokiełznana, bezczelność niemająca sobie równych.

Mój znajomy Michael Sfar, wybitny prawnik i obrońca praw człowieka (co nie dziwi nic a nic, gdyż rodzice Michała zaznaczyli się w polskim Marcu '68, jeden dziadek to Zygmunt Bauman, a drugi to Dawid Sfar, pisarz i poeta jidysz), powiada, że hucpa przejawia się w budowie muru oddzielającego Palestynę od Izraela. Nie dość – mówi Michał – że mur sam w sobie jest czystą hucpą, to jeszcze buduje się go tak, by pokrzywdzić; mapy sobie, a konstrukcja sobie, korekty wynikają z widzimisię wojskowego dowódcy odcinka, często wspieranego interesem jakiegoś żydowskiego biznesmena lub lokalnego polityka. W rezultacie mur kroi palestyńskie pola i wsie, dzieli, co już i tak podzielone, utrudnia codzienne życie, zamyka, izoluje. Mur może wyznaczyć enklawę, z której jest tylko jedno wyjście, otwarte – znowu hucpa – raz na dobę albo raz na dwa dni, po uważaniu wojska. A jeśli ktoś się burzy, weźmie po uszach, gdyż hucpa związana z murem nie toleruje sprzeciwu.

Czym innym jak nie hucpą są deklaracje niektórych izraelskich polityków, że izraelskich Arabów (patrz A) należy przymusić do przysięgi lojalności wobec państwa; jeśli któryś jej nie złoży, niech zabiera manatki i jedzie do Palestyny.

Hucpą, na dodatek umocowaną ponoć w Słowie Bożym, są protesty religijnych Żydów w Jerozolimie wymuszających reguły szabatu poprzez rzucanie kamieniami w jeżdżące w piątek samochody (patrz C). Albo urąganie kobietom, że mają czelność siadać w przedniej części autobusu, wedle reguł religijnych zarezerwowanej dla mężczyzn, choć u narodzin judaizmu nie było żadnych autobusów.

Lecz hucpą były również słowa Jasera Arafata, przywódcy Organizacji Wyzwolenia Palestyny, który na izraelską ofertę zwrotu ponad 90 procent Terytoriów Okupowanych i wspólnej kontroli nad Jerozolimą (patrz J) w zamian za pokój odrzekł, że się nie zgadza, bo taki pokój nie zwraca ziemi ofiarom wojny 1948 r. To tak, jakby Polska miała się zgodzić na powrót Niemców do Kołobrzegu, Wrocławia i Szczecina; porównanie ryzykowne, ale jest coś na rzeczy.

Zważmy – taką ofertę złożył Arafatowi premier Ehud Barak w 2000 r. Gdyby lider Palestyńczyków przyjął tę propozycję, Barak ocaliłby fotel premiera, a losy Bliskiego Wschodu potoczyłyby się inaczej. Nadto – Arafat już był laureatem pokojowego Nobla; nagrodę dostał w 1994 r. za porozumienia z Izraelem zawarte w Oslo (patrz O). Wydaje się jednak, że wolał przejść do historii jako niestrudzony bojownik i wieczny partyzant, nie zaś twórca nowego ładu, gdzie wartością jest kompromis, a nie niezłomność. Powiadano, że nie wyobrażał sobie następnego dnia po podpisaniu końcowego porozumienia, więc absolutnie świadomie stawiał żądania, których żaden izraelski polityk nie mógł spełnić: powrót arabskich uchodźców 1948 r. i ich potomków oznacza koniec Izraela jako państwa żydowskiego.

Słowem – Arafat pokazał, że hucpa, za którą po dziś dzień płacą Izraelczycy i Palestyńczycy, nie

jest tylko żydowską własnością.

## Hebron

Sytuacja w tym mieście jest, być może, szczytem hucpy. Miasto na Terytoriach Okupowanych, więc nie Izrael, lecz istotne dla Izraela prawie tak jak Jerozolima (patrz J), a to w niektórych aspektach może jeszcze bardziej. Hebron jest tak ważny i specyficzny, że jego dzisiejszy status regulują odrębne paragrafy palestyńsko-żydowskiej umowy z Oslo. A przede wszystkim codzienna praktyka narzucana przez osadników, często wbrew izraelskiemu prawu.

W Hebronie spoczywają Abraham i Sara, prarodzice wszystkich wielkich religii. W Hebronie królował Dawid, nim zdobył Jerozolimę. To święte miasto dla żydów, chrześcijan i muzułmanów. Niewiele z tego wynika, tylko problemy.

W Hebronie nienawiść palestyńsko-izraelska sięga szczytów, a głupota wespół z okrucieństwem i przemocą święci triumfy. Hebron istnieje, lecz jakby go nie było. Jeśli miasto tworzą przede wszystkim mieszkający w nim ludzie, a nie tylko mury, nawet najpiękniejsze, mimo że nadkruszone czasem i kulami, Hebronu po prostu nie ma.

Kiedyś więc było to miasto żydowskie. Potem – muzułmańskie. Ale Żydzi mieszkali w nim zawsze, zasilani przybyszami z Hiszpanii czasów Izabeli Katolickiej, a wieki później – z Litwy. W porównaniu z europejskimi realiami hebrońskim Żydom żyło się godnie i spokojnie, choć nie wolno im było odwiedzać Groty Patriarchów. Tak było do pogromu z 1929 r. Zabito wówczas 67 Żydów, kobietom odcinano palce z pierścionkami, ponad 450 uratowali arabscy sąsiedzi. Brytyjczycy wywieźli ocalałych i zabronili Żydom osiedlać się w Hebronie.

Państwo Izraela utrzymało brytyjski zakaz po zwycięskiej wojnie sześciodniowej, gdy Hebron znalazł się pod okupacją. Lecz podstępem, w Paschę, garść ortodoksów zajęła palestyński hotel; tak powstało pierwsze osiedle. Dzisiaj w centrum Hebronu jest około 500 żydowskich osadników i 200 uczniów szkoły rabinackiej. I 40 tysięcy Arabów. Osiedli, czyli pojedynczych domów, pilnuje wojsko znienawidzone przez obie strony. Osadnicy z Hebronu uchodzą za szczególnie fanatycznych i zawziętych. Między Arabami króluje Hamas, choć oficjalnie arabską częścią miasta administrują władze Autonomii Palestyńskiej.

W 1994 r. Baruch Goldstein z pobliskiego osiedla Kiriat Arba, inspirowany poglądami rabina Meira Kahane (patrz K), zastrzelił w Grocie Patriarchów 29 modlących się Arabów. To data graniczna; po niej zaczyna się piekło, choć na pierwszy rzut oka przypomina cmentarny spokój.

By zapobiec żydowsko-arabskim tumultom, oczyszczono z Palestyńczyków centrum Hebronu; np. dawny targ warzywny i mięsny to dziś bezludne, kamienne pustynie. Po niektórych ulicach Starego Miasta Arabom chodzić nie wolno. Inne nie są dostępne dla arabskich samochodów. Opustoszały domy. Zaspawano bramy między podwórkami. Żydowskie dzieci za zgodą rodziców włamują się do opuszczonych arabskich domów (są niepełnoletnie, więc prawo nie może ich ukarać); w ten sposób rozrastają się hebrońskie osiedla. Rzucają kamieniami w dzieci arabskie, wymyślają dziewczynkom i dorosłym kobietom od kurew, a żołnierzy pytają: „Ilu dzisiaj zabiłeś Arabów?”. Bywa, że arabskie wyrostki rzucają kamieniami w Żydów. Jedno i drugie jest zakazane, lecz kiedy rzuca osadnik, wedle przepisów popełnia czyn chuligański. Kiedy Arab – jest terrorystą.

Długie godziny opowiadał mi o Hebronie Jehuda Szaul, założyciel organizacji byłych żołnierzy frontowych Przełamać Ciszę (patrz S). Służył tu w czasie drugiej intifady (patrz I), a więc w okresie najgorszym z możliwych; pochował kilku przyjaciół. Mówił, że dopiero w Hebronie zrozumiał, ile racji jest w stwierdzeniu, że okupacja nie jest dobra dla Izraela, jak deprawuje, niszczy, wypacza. I że Izrael, nawet ten nienawidzący wojny i wzdychający do pokoju, nie chce słuchać o Hebronie – wyrzucie sumienia. Woli ciszę, odwraca się do miasta plecami.

# I

---

## Izraelskie Siły Obrony

Rok 1956 – Egipt znacjonalizował Kanał Sueski już wcześniej zablokowany dla izraelskich statków. Podczas narad w gabinetach Londynu i podparyjskiego Sèvres postanowiono, że siłą można odwrócić tę decyzję. Izrael miał zaatakować wojska egipskie na półwyspie Synaj, a główni spiskowcy – Francja i Wielka Brytania – wkroczyć z misją pokojową rozdzielającą strony konfliktu i niby przy okazji zająć strefę kanału.

Rząd Izraela był przekonany, że z chwilą wybuchu wojny wojska jordańskie wesprą Egipt. W arabskich wioskach na pograniczu z Jordanią ogłoszono całodobową godzinę policyjną. W Kfar Kasem nikt o tym nie wiedział.

29 października 1956 r. izraelska straż graniczna otworzyła ogień do arabskich wieśniaków wracających z pól pod Kfar Kasem. Zginęło 48 osób, w tym kobiety i dzieci. Zachowały się relacje mówiące o rozstrzelaniu zatrzymanych Palestyńczyków. Gdy wiadomości z Kfar Kasem dotarły do izraelskiej opinii publicznej, natychmiast podniosły się głosy, że naród, który doświadczył Holocaustu, jest szczególnie odpowiedzialny w obliczu takiej masakry.

Przez dwa miesiące rząd trzymał pod kocem szczegółowe informacje o zbrodni. Gdy wyszły na jaw, ujawnione przez dziennikarzy i lewicowych posłów Knesetu, powołano specjalną komisję. Śledztwo wykazało bezsporną winę izraelskich pograniczników. Skazano ośmiu funkcjonariuszy; najwyższy wyrok to 17 lat odsiadki.

Rok później do Kfar Kasem przybyło kilkuset Izraelczyków – także posłów do Knesetu i ministrów – by oddać hołd pomordowanym. Masakra w Kfar Kasem jest omawiana na lekcjach historii w każdej izraelskiej szkole publicznej. W miasteczku stanął pomnik, jest muzeum poświęcone ofiarom. W 2007 r. prezydent Izraela Szymon Peres uczestniczył w obchodach rocznicy zbrodni i przeprosił rodziny ofiar.





*I jak Izraelskie Siły Obrony – Służba wojskowa w Izraelu jest powszechna: dla chłopców trwa trzy lata, dla dziewczyn – dwa*

Lecz najważniejsza w tej sprawie jest treść wyroku ogłoszonego przez sędziego Benjamina Halevy, człowieka niechętniej Arabom prawicy (za cztery lata Halevy skaze na śmierć Adolfa Eichmanna). To miejscami bardziej epitafium i poetycka przestroga niż cytowanie paragrafów. Sędzia ogłosił, że jeśli izraelski żołnierz usłyszy rozkaz, który jest ewidentnie bezprawny i niemoralny, ma obowiązek odmówić jego wykonania. Taki rozkaz jest jak czarna flaga, nie może być wypełniony pod żadnym pozorem. Od tego czasu oficerowie Izraelskich Sił Obrony muszą, bo chce tego prawo, opowiadać żołnierzom o werdykcie sędziego Halevy.

W żadnej innej armii na świecie dowódcy nie instruują podwładnych, w jakich okolicznościach mają obowiązek ich nie słuchać.

**XXX**

Bez armii nie byłoby Izraela. Powstała razem z państwem z podziemnych oddziałów żydowskiej samoobrony Hagany. Na początku swojej historii ma epizod bratobójczej walki. Na rozkaz Davida Ben Guriona (patrz B) armia zatopiła statek z bronią przewożoną dla bojówek prawicowego Irgunu, które nie poddały się scaleniu; zginęło kilkanaście osób.

To najlepiej wyszkolona i wyposażona armia regionu. Również najbardziej demokratyczna; podczas ewakuacji osadników z Gazy, w czym uczestniczyły tysiące żołnierzy, widziałem pułkowników po służbie pijących piwo ze zwykłymi szeregowcami; wszyscy na ty przy jednym plastikowym stole. Jeśli izraelscy żołnierze w czymś są kiepscy, to w musztrze. Nie widziałem ich salutujących, oddających honory wyższej szarży. Za to widziałem żołnierzy w sandałach, bo tak było im wygodniej.

Może żartem, a może poważnie opowiadano mi, że Izrael ma kłopot ze sformowaniem kompanii honorowej; armia nie jest od paradowania. Oczko w głowie to lotnictwo i oddziały komandosów przeprowadzających niekiedy akcje daleko od izraelskich granic.

Służba wojskowa jest powszechna: dla chłopców trwa trzy lata, dla dziewczyn – dwa. Wyjątkiem są charedim (Żydzi ortodoksyjni – patrz C) i Arabowie obywatele Izraela, przede wszystkim muzułmanie (patrz A), choć nie wszyscy. Np. druzowie uchodzą za bardzo bitnych żołnierzy (kilka lat temu druz został generałem), Beduini – za najlepszych zwiadowców. Jedni i drudzy – za najbardziej porywczych.

Armia jest naturalną drogą kariery; sprawny oficer wysokiej rangi może liczyć na eksponowane stanowisko w cywilu. To droga do polityki, jak w przypadku Icchaka Rabina czy Ariela Szarona. Wojsko otacza powszechny szacunek, odmowa służby zaś przeciętnemu Izraelczykowi nie mieściła się w głowie. Raczej na odwrót – marzeniem młodych chłopców (i dziewcząt również) była kariera w armii lub służba w doborowych oddziałach, brygadzie Golani lub Nahal.

To akurat się zmieniło. Na dobre dla izraelskiego wojska.

XXX

Trudno wyznaczyć moment, gdy w Izraelu armia przestała być świętą krową. Po dumie z błyskawicznego zwycięstwa w wojnie sześciodniowej przyszedł kac początkowych porażek wojny Jom Kippur (patrz W). Nadużycia wojska często były piętnowane przez prasę, a winni byli skazywani przez sądy, lecz traktowano to (wielu Izraelczyków powie, że nadal tak jest) jak jednorazowe wypadki przy pracy, wyjątki od reguły. Przypadek Kfar Kasem został odebrany jak bolesna nauczka. Być może od tego momentu zaczęto patrzeć wojsku uważniej na ręce.

Z pewnością armia znalazła się na cenzurowanym podczas pierwszej wojny libańskiej, a zwłaszcza po mordach na Palestyńczykach w podbejruckich obozach Sabra i Szatila. To nie Izraelczycy zabijali, lecz mogli, gdyby chcieli, zapobiec mordom dokonany przez libańskich chrześcijan. Gdy wieści o masakrze ujrzały światło dzienne, na plac Królów Izraela w Tel Awiwie wyszły tysięczne tłumy. Niektórzy mówili o niemal milionowej manifestacji, co w kraju dzisiaj liczącym niespełna osiem milionów ludzi robi wrażenie. Ariel Szaron, bohater wojsk pancernych z wojny Jom Kippur (mógł, gdyby nie polityczne decyzje, zdobyć Kair), stracił stanowisko ministra obrony, zyskał zaś przydomek „rzeźnika Libanu” (są tacy, którzy oskarżają go o świadome sprowokowanie masakry, wielu wróżyło mu koniec kariery politycznej). Zresztą pierwsza wojna libańska, portretowana bez najmniejszej litości w rozrachunkowych książkach i filmach (patrz F), była dla Izraela źródłem tak wielkiej traumy, że reputacja wojska musiała ucierpieć siłą rzeczy.

Wizerunkowi wojska nie pomogła pierwsza i druga intifada (patrz I), druga wojna libańska i „Płynny ołów”, niezwykle brutalna operacja w Gazie. Z drugiej strony armię wyklinają żydowscy osadnicy z Zachodniego Brzegu (patrz Z), uważając, że często, choć w ukryciu, broni interesów Autonomii Palestyńskiej.

XXX

Jakkolwiek by było, nagle do opinii publicznej dotarła wieść, że nastolatki z karabinami, obdarowane przez państwo władzą, a przede wszystkim siłą, niekoniecznie wiedzą, jak z tego korzystać. Zaczęto dokumentować przypadki nadużyć wobec Palestyńczyków na wojskowych



checkpointach. Wyszły na jaw przypadki seksualnego molestowania żołnerek i przekrety niektórych dowódców, nawet najwyższych rangą.

Lecz przede wszystkim uznano, że ciągnąca się od 1967 r. okupacja Zachodniego Brzegu demoralizuje Izrael i jego żołnierzy. Zaczęto pisać o armii jak o „żandarmerii” i „okupacyjnej milicji”. Niektórzy żołnierze i oficerowie frontowi, weterani pierwszej wojny libańskiej, odmawiali służby na Terytoriach; karano ich symbolicznie kilkoma tygodniami więzienia. Inni, akurat weterani drugiej intifady, założyli organizację dokumentującą bezprawne i nazbyt radykalne działania armii na Zachodnim Brzegu i w Gazie; nazwali się bardzo symbolicznie Szowrim Sztika – Przełamać Ciszę (patrz S).

Aviv Geffen, piosenkarz rockowy i idol izraelskiej młodzieży, nie służył w armii, co w żaden sposób nie zmniejsza jego popularności. Powiększa się garstka młodych, którzy po prostu nie chcą iść do wojska. Wypomniano błędy i niedociągnięcia drugiej wojny libańskiej.

XXX

Kiedyś o świcie, idąc plażą w kierunku Jafy, widziałem kilka żołnerek kąpiących się w morzu; karabiny ustawione w kozły, mundury rzucone na piasek, dziewczyny w samych majtkach (szczególnie, bo topless nie przyjął się na izraelskich plażach), uradowane i głośne. Albo dziewczyny w mundurach pozujące pod Ścianą Płaczu, jakby akurat wyszły z egzaminu maturalnego.

Podpadłem kilku żołnierzom na checkpoincie pod Ramallah, Bóg raczy wiedzieć za co, i nie było to miłe. Awanturowałem się w Gazie z nadgorliwym porucznikiem, skutecznie, bo wywojowałem, co chciałem, mimo że używałem słów powszechnie uznanych za obraźliwe, a sytuacja była potwornie napięta. Chwilę potem gadałem „pa duszam” z pułkownikiem, który poprosił, bym nie skarżył na nadgorliwego porucznika, bo będzie musiał go ukarać. Nie poskarżyłem; porucznik miał ze dwadzieścia parę lat, tyle co mój syn, a młodym wybacza się nawet nadzwyczajną służbistość.

Podobają mi się ci odważni, bo idący pod prąd większości opinii publicznej, którzy uważnie i krytycznie przyglądają się wojsku. Rozumiem, dlaczego i jakie stawiają zarzuty.

A mimo to uważam, że armia izraelska należy do tych wyjątkowych. Może to jedyna armia na świecie, która naprawdę wie, po co jest, i – ważniejsze – umie na siebie popatrzeć z dystansem, niech to będą oczy weteranów. Zbiera baty, niekiedy niesprawiedliwe, najczęściej wychowawcze. Chroni żołnierzy, także przed izraelskimi sądami, lecz na takiej samej zasadzie, jak dziennikarz będzie bronić dziennikarza, a adwokat – adwokata; członkostwo w korporacji zobowiązuje. Lubię ją. Za nieznamość musztry, za te sandały i za dziewczyny w samych gatkach zobaczone tamtego poranka podczas spaceru do Jafy.

## **Intifada**

Opowiadał mi znajomy, wściekły jak mała, o rowerowym spacerze telawiwskimi bulwarami. Jechał z kilkuletnim synem specjalną ścieżką dla rowerów, między dwoma nitkami jezdni, obok chodnika dla pieszych. Maluch zagapił się i wpadł na betonowy obelisk niespełna metrowej wysokości przykryty tablicą z nazwiskami ofiar samobójczego wybuchu. Efekt – płacz, szpital,

prześwietlenie i gips na złamanej ręce. – Co to za miasto – zżymał się znajomy – gdzie nie można spokojnie wyjść z dzieckiem na rower, żeby nie rozbić się o narodową martyrologię?

Upamiętnień intifad, czyli dwóch palestyńskich powstań, jest w Izraelu dość. Najczęściej to białe, marmurowe tablice lub niewielkie obeliski; na górze stylizowany rysunek żałobnego znicza, niżej nazwiska zabitych. Są na bulwarach i autobusowych przystankach, w centrach handlowych, restauracjach, dyskotekach i przy popularnych kawiarniach.

Pierwsza intifada (a może to, co stało się u jej końca) była największym sukcesem palestyńskich aspiracji narodowych. Druga to dla Palestyńczyków krwawa, kosztowna głupota, a dla Izraela – koszmar codziennego terroru.

Czas między jedną a drugą wypełniała nadzieja. No i zamachy, niestety.

XXX

Każde powstanie potrzebuje iskry, od której może zapłonąć. W 1987 r. w wypadku spowodowanym przez izraelską ciężarówkę wojskową na drodze w Dżabalii, obozu uchodźców w Strefie Gazy, zginęło czterech Palestyńczyków. To początek pierwszej intifady, zwanej intifadą kamieni – ogólnonarodowego palestyńskiego zrywu, którego sensem były demonstracje i obrzucanie kamieniami izraelskich patroli wojskowych. Fakt – w 1989 r. zdarzył się samobójczy zamach. Palestyński terrorysta z Islamskiego Dżihadu uprowadził autobus i zjechał nim do głębokiego wąwozu; zginęło kilkunastu Izraelczyków. Lecz bywało i tak, że przed południem palestyńscy chłopcy pracowali na polach kibuców lub odnawiali żydowskie domy, a po południu rzucali kamieniami w izraelskich żołnierzy. Encyklopedie twierdzą, że wówczas objawili się światu islamscy bojownicy z Hamasu. W Izraelu i w Autonomii powiedzą jednak, że podczas pierwszej intifady Hamas siedział w meczetach. I może lepiej, że tak było.

Wtedy też Jaser Arafat popełnił pierwszy z dwóch swoich największych błędów politycznych; Bogu dzięki, że aż tak pobił. Po rozpoczęciu pierwszej wojny irackiej publicznie wsparł Saddama Husajna (Husajn płacił na Organizację Wyzwolenia Palestyny kilka milionów dolarów miesięcznie) i nawet poleciał do Bagdadu. Stał się wówczas, również dla przywódców arabskiego świata, politykiem niedotykalnym.

Negocjacje pokojowe w Oslo w 1993 r. (patrz O) rozpoczęło dwóch polityków świadomych swych słabości. Icchak Rabin zrozumiał, że nawet najsilniejsza i najlepiej wyszkolona armia musi przegrać z dziećmiakami rzucającymi kamienie. Arafat – że już nigdy po irackiej pomyłce nie podniesie sprawy palestyńskiej, jeśli wreszcie nie spróbuje się dogadać. Obaj dostali Pokojowe Nagrody Nobla. Intifada kamieni zakończyła się powstaniem Autonomii Palestyńskiej i obietnicą niepodległości.

XXX

We wrześniu 2000 r. kandydujący na premiera Ariel Szaron wkroczył na Wzgórze Świątynne w Jerozolimie w asyście kilku setek ochroniarzy i policjantów. Powiedział, że Wzgórze – najświętsze

miejsce judaizmu, ale też trzecie miejsce islamu – jest i będzie pod wyłączną kontrolą Izraela. Arabowie uznali wizytę za prowokację, choć bez wątplenia wiedzieli o niej służby bezpieczeństwa Autonomii i Jaser Arafat. Szef palestyńskich służb specjalnych zapewniał izraelskiego ministra bezpieczeństwa, że wizyta Szarona nie spowoduje zamieszek, o ile Ariel nie wejdzie do żadnego z meczetów. Szaron przeszedł przez Wzgórze Świątynne trasą dostępną dla turystów. Stąd pogląd, że druga intifada wybuchłaby niezależnie od tej wizyty (mówił o tym m.in. dowódca Brygad Męczenników Al-Aksy Marwan Barghouti i minister Autonomii Imad Faludzi).

XXX

Prawda o początku drugiej intifady jest głębsza niż prowokacyjna wizyta Szarona. W Izraelu chwiał się lewicowy rząd Ehuda Baraka oskarżany m.in. o brak postępów w rozmowach z Palestyńczykami. Wchodząc na Wzgórze Świątynne, Szaron grał o swoją popularność. Jaser Arafat czuł na karku oddech radykałów i – słyszałem w Palestynie – bardziej podobał mu się obraz wiecznego partyzanta niż negocjatora skłonnego do koncesji.

Trzy miesiące przed wybuchem intifady Al-Aksa podczas kolejnych negocjacji w amerykańskim Camp David Barak zaoferował Palestyńczykom tyle, ile nikt przed nim i po nim nie ośmielił się dać. Symbolem była oferta wspólnej kontroli nad Jerozolimą. Arafat zażądał niemożliwego, czyli realizacji prawa do powrotu – zgody na powrót w granice Izraela uchodźców wojny 1948 r. i ich potomków. Strony rozeszły się z niczym.

Symbolem czasów między porozumieniami w Oslo a drugą intifadą jest podwójny atak samobójców z Islamskiego Dżihadu dokonany niedaleko Netanji na autobus wiozący żołnierzy (zginęło 21 osób, odkryto też porzuconą trzecią bombę) oraz na centrum handlowe Dizengoff w Tel Awiwie w przeddzień święta Purim (zginęło 13 osób, 130 zostało rannych), do czego przyznał się Hamas. Przez kilka lat „pokoju” zginęło więcej Palestyńczyków i Izraelczyków niż podczas intifady kamieni.

XXX

Następnego dnia po wizycie Ariela Szarona na Wzgórzu Świątynnym wybuchły zamieszki; przez pierwsze pięć dni zginęło prawie 50 Palestyńczyków, niemal dwa tysiące zostało rannych, izraelska policja wdarła się w ogrody Meczetu Al-Aksa i Kopuły na Skale, wojsko wystrzeliło prawie półtora miliona pocisków. Minęło kolejnych pięć dni i Palestyńczycy obchodzili kolejną rocznicę masakry w obozach uchodźców Sabra i Szatila, za które opinia publiczna współobwiniła Ariela Szarona. W październiku tłum zlinczował dwóch Izraelczyków aresztowanych w Ramallah. W grudniu – mimo ramadanu – zginęło pół setki Palestyńczyków i ośmiu Izraelczyków.

Powstanie trwało pięć lat, choć rok 2006 już po wygaszeniu intifady był równie krwawy jak poprzedni. Ugrupowania palestyńskie zmieniły taktykę; do ulicznych manifestacji, strajków i rozruchów doszły liczne samobójcze zamachy, przede wszystkim na cele cywilne. W styczniu 2002 r. samobójczego zamachu dokonała pierwsza kobieta. Pojawiły się nowe organizacje zbrojne, np. Brygady Męczenników Al-Aksy, samobójcami szahidami okazywali się nie tylko religijni fanatycy.

Bywały miesiące, gdy wybuchy zdarzały się w Izraelu niemal codziennie. W odpowiedzi wojsko burzyło domy zamachowców, pacyfikowało obozy uchodźców na Zachodnim Brzegu (patrz Z) i w Gazie. Zniszczono siedzibę Jasera Arafata w Ramallah, a jego samego zamknięto w areszcie domowym. Prawie 600 Palestyńczyków zginęło z rąk rodaków za prawdziwą i domniemaną kolaborację z Izraelem, ale też w wyniku międzyfrakcyjnych walk o władzę.

Arafat zmarł w listopadzie 2004 r.; niektórzy powiadają, że został otruty przez konkurentów do władzy. Kilka miesięcy później intifada wygasła. W powstaniu zginęło prawie sześć tysięcy Palestyńczyków i ponad tysiąc Izraelczyków. Nikomu nie przyniosła nic dobrego.

XXX

Intifada radykalnie zmieniła Izrael. Dlatego że doświadczył tak silnej fali terroru jak nigdy przedtem oraz że powstanie wybuchło tuż po tym, jak nadzieje na pokój z Palestyńczykami sięgnęły zenitu. Izrael – opowiadano mi – chce pokoju, ale weń już nie wierzy, czuje się wykorzystany, oszukany i w jakimś sensie ma rację. Skręcił w prawo, polubił takich polityków, którzy porozumienie z Palestyńczykami i postulowane przez układy w Oslo „dwa państwa dla dwóch narodów” stawiają na końcu swoich programów wyborczych. Błyskawicznie odrobił straty gospodarcze wywołane powstaniem. Jest zasobny, pozornie pewny siebie i potwornie nieufny; symbolem niech będzie mur oddzielający Izrael od Autonomii. Przyszłość będzie OK – słyszałem w Izraelu – jeśli będzie tak jak dziś, choć dziś jest kiepsko. Trudno się temu dziwić.

Palestyńczycy też są inni niż kilkanaście lat temu. W 2006 r. wybory w Autonomii wygrał Hamas, a rok później przejął kontrolę nad Strefą Gazy. Dziś w Gazie panuje religijny zamordyzm i powszechny strach; trudno się dowiedzieć, co ludzie tam myślą. Na Zachodnim Brzegu coraz więcej osób uważa, że powstanie Al-Aksa było wielkim nieszczęściem, przede wszystkim dla Palestyny. Lecz dodają, że z dzisiejszym Izraelem nie ma szans na porozumienie. Też mają ku temu dobre powody.

Skutkiem drugiej intifady jest krach porozumień z Oslo. Tak naprawdę zostały z nich tylko Pokojowe Nagrody Nobla dla głównych aktorów i umarłe nadzieje.

J

---

## Jalla

Słowo arabskie, lecz używane przez wszystkich – Żydów i Arabów – a znaczy tyle co „chodźmy”, „idziemy”, „dalej”, „jazda”.

„Jalla” słychać w Jafie i Tel Awiwie, w Umm al-Fahm i Sakninie. „Jalla” pogania osły, dopinguje chłopaczków ciągnących wózki z warzywami i podrywa eleganckie towarzystwo od kawiarnianego stolika. „Jalla” może zachęcać, ale też może wskazywać na irytację mówiącego. Jest

„jalla” ponaglające, miłe sympatyczne oraz „jalla” wściekle, złe; takie „jalla” leci np. w kierunku arabskich demonstrantów siedzących pod Bramą Damasceńską w Jerozolimie. Być może w Jerozolimie „jalla” słyhać najczęściej; zdało mi się nawet, że słyszałem to słowo w ortodoksyjnej Me’a Sze’arim, mentalnie odległej od arabskiego świata jak Ziemia od Księżyca, lecz nie dam głowy, czy wrzeszczeli Żydzi, a może zatrudnieni na czarno arabscy robotnicy budowlani.

„Jalla” to niejedyne wspólne słowo Żydów i Arabów. Lecz trudno o inne tak naładowane emocjami, może poza „hallas” – dosyć. „Hallas” krzyczy co chwila Said, mój znajomy jubiler z Jerozolimy, a dotyczy to zarówno palestyńskich oficjeli, jak i całego Izraela, turystów, którzy nie chcą kupować, i całego świata niedostrzegającego, że Saidowi – tak sądzi – należy się więcej i lepiej. „Hallas” słyszałem od arabskich posłów do Knesetu. „Hallas” jest w repertuarze moich żydowskich znajomych. Kiedy mają wszystkiego wyżej kokardy – Arabów, Izraela, pecha, złych zbiegów okoliczności, życia po prostu – mówią „hallas” i już wiadomo, że nie jest to okrzyk wyrażający zwykle zniechęcenie, chandrę, to nie znak, iż wstało się lewą nogą, lecz największe z możliwych wkurzenie na świat. „Jalla” połączone z „hallas” to odkryty, drgający nerw. Z byle okazji tak się nie mówi.



*J jak Jerozolima – Ściana Płaczu – jedno miasto bez wątpienia święte i bez wątpienia szalone*

Takie „jalla” razem z „hallas” najczęściej – zdaje mi się – słychać w Jerozolimie. W arabsko-izraelskim, ale też żydowskim wykonaniu. Jerozolima to w końcu jeden wielki obnażony nerw, wrażliwy na najłżejszy podmuch, a co dopiero dotknięcie. Miasto bez wątplenia święte i bez wątplenia szalone. Zwariowane, zbyt namiętne, za gorące, prędkie, porywcze.

Można patrzeć na Jerozolimę okiem historyka i archeologa. I warto, przynajmniej od czasu do czasu, gdyż takiego natłoku zabytków, tylu miejsc związanych z dziejami świata, wreszcie miasta tak idealnego jako przykład wielkości, upadku i znów wielkości nie znajdzie się nigdzie indziej. Wystarczy zamyślić się w Bazylice Grobu lub w ogrodach Meczetu Al-Aksa, wejść na Górę Oliwną lub Górę Skopus, a choćby nawet spacerować zaułkami Starego Miasta, by mieć poczucie, że po tych samych wytartych kamieniach spacerowała Historia, wobec której chyba nikt i chyba nigdzie na świecie nie może być obojętny. Lub obejrzeć stare fotografie Jerozolimy z początku ubiegłego wieku, by zobaczyć, jak święte miasto, gdzie był początek wszystkiego, zmieniło się w prowincjonalną dziurę najbardziej zapadłej części tureckiego imperium, senną, zakurzoną i cichą, gdyby nie nazbyt częsty wrzask: „Hallas, to moja wiara jest jedynie prawdziwa!”.

Można również oglądać Jerozolimę jak religioznawca. Najlepszym miejscem ku temu niech będzie to, gdzie pochowano Dawida, pogromcę Goliata, proroka i króla Żydów. A jeśli wyjdzie się z krypty, gdzie stoją sarkofagi władców dawnego Izraela, i pokona kilkadziesiąt niezbyt stromych schodów, już jesteśmy w kamiennej sali uchodzącej w chrześcijańskiej tradycji za miejsce, gdzie Chrystus spożywał Ostatnią Wieczerzę. Kondygnację wyżej zaś stoi smukły, wiekowy minaret. Tak oto wszystkie trzy wielkie religie mieszają się symbolicznie w jednym budynku i już nie dziwi, że wspólny w nich Bóg, patriarchowie i prorocy. Wspólna też, niestety, wzajemna niechęć (nienawiść?) i uzurpacja, że tylko w jednej z wiar ukryta jest droga ku zbawieniu, a pozostałe to ułuda i zwidy.

Można uwierzyć w opowieści jerozolimskich Arabów, jak choćby mojego Saida, jubilera ze Starego Miasta, który wie bez najmniejszych wątpliwości, że całe miasto jest tylko jego i jego współbraci. Można poszukać wspólnoty z jerozolimskimi świeckimi Żydami, dla których – opowiadają – każdy szabat (patrz S) jest jak wezwanie na front; zamknięte restauracje, puste ulice to religijny terror tych w chałatach i kipach, których w Jerozolimie jest więcej i więcej, choć podobno mieli rozpląnąć się w syjonistycznym Izraelu. Można wreszcie czytać ulotki i plakaty klejone na murach Me'a Sze'arim, w których stoi jak wół, że syjoniści nie są Żydami, tylko psami i świniami, a Państwo Izraela jest nielegalne i uzurpatorskie, gdyż to legalne, prawdziwe nastanie dopiero wówczas, kiedy nadejdzie Mesjasz.

Można wreszcie widzieć Jerozolimę na sposób polityczny, bo wszystko w niej polityczne: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, gdy miasto – daj Boże – będzie wreszcie wspólną stolicą Izraela i państwa palestyńskiego.

Ale nie bardzo w to wierzę, nie tylko dlatego, że jedni i drudzy nie umieją się dogadać, lecz ze względów praktycznych. No bo jak trwale podzielić miasto, które jest jednością, kto i gdzie ma dostarczać wodę, kto wywozić śmieci i dbać o czystość ulic, gdzie ustawić przejścia graniczne, czy miejska policja ma być wspólna, czy też mieć dwa różne (i niechętne sobie) dowództwa, co zrobić ze świętymi miejscami, odległymi od siebie o rzut beretem, które nijak nie mogą być eksterytorialne, a przecież jakoś są.



Umiem sobie wyobrazić, gdy w Jerozolimie, np. przy ulicy Króla Salomona, będą dwie ambasady: palestyńska w Izraelu i izraelska w Palestynie. Lecz nie umiem sobie wyobrazić, że ulicę Króla Salomona przetnie granica, bo ani myślę iść od Bramy Jafy do Bramy Damasceńskiej z paszportem w rękę. I zawsze miałem kłopot, by wyobrazić sobie, jak Jerozolima funkcjonowała do wojny sześciodniowej, gdy miasto dzieliła granica i zasieki z drutu kolczastego, a po obu stronach stały posterunki – izraelskie i jordańskie – gotowe wziąć się za łby.

A dwóch burmistrzów – żydowski i arabski – nie będzie rządzić tym miastem nigdy w życiu. Dlaczego? Bo nie.

XXX

Mozna wreszcie popatrzeć na Jerozolimę z okien tramwaju.

Żeby poprowadzić tory, na wiele lat rozgrzebano całe centrum miasta, z natury ciasne, zapchane i zatłoczone, z zaułkami bardziej niż z szerokimi alejami. Życie w środku Jerozolimy zmieniono w udrękę. A ile plotek krążyło wokół budowy linii tramwajowej, ile opowieści o łapówkach, korupcji, kopertach płaconych pod stołem.

Aż wreszcie tramwaje ruszyły. Srebrne, cichobieżne, o zgrabnej, bardzo nowoczesnej sylwetce. Jadą leciutkim wiaduktem koło dworca autobusowego, potem w dół ulicą Jafską, skręcają przy murach Starego Miasta w Króla Salomona, a dalej ku Bramie Damasceńskiej i dawnej granicy izraelsko-jordańskiej sprzed wojny 1967 r. Przez kilka ładnych miesięcy tramwaje widma. Bez pasażerów, choć zatrzymujące się na wszystkich pustych przystankach, z fotelami w foliowych pokrowcach, rozświetlone, rozdzwonione, tylko z motorniczym, jak w filmie z miasta duchów. Przyjezdni, których w Jerozolimie dostatek, rozdziawiają gęby ze zdumienia. Takiej linii tramwajowej nie ma nigdzie na świecie.

Magistrat jerozolimski tłumaczył, że tramwaje jeżdżą puste, bo mieszkańcy muszą przyzwyczać się do nowego środka lokomocji. Muszą nauczyć się uważać przy przechodzeniu przez tory, odwracać głowę w miejscach, gdzie kiedyś śmiało wchodzili na zatłoczone jezdnie. Muszą wreszcie zrozumieć, że nie każdy pojazd warczy jak samochód, że tramwaje jeżdżą cichutko, a jak ktoś zbyt zamyślony, rozmodlony, nawiedzony, nie usłyszy tramwaju i klops.

A i tak wnet gazety doniosły, że choć tramwajem nie jechał jeszcze żaden pasażer, na torach zginęło już kilku przechodniów. Puste jerozolimskie tramwaje stały się taką samą atrakcją miasta jak święte miejsca, rzymskie zabytki, budynek Knesetu czy hotel King David, który w latach 40., czyli pod brytyjskim panowaniem, wysadzili żydowscy konspiratorzy dowodzeni przez Menachema Begina.

Zdawało się, że kiedy do tramwaju wsiądzie pierwszy pasażer, czar linii pryśnie. Figa z makiem. Okazało się, że ich zaletą jest nie tylko piękna sylwetka, ale też fantastycznie wygodne fotele oraz to, że wsiada się do wagonu wprost z peronów bez konieczności zadzierania nogi na schodek. Pasażerowie przez dwa tygodnie jeździli za darmo, po to by się z jazdą tramwajem oswoić, co samo w sobie było przyjemne. A potem zaczęło się normalne kursowanie.

Tramwaje jerozolimskie to w dalszym ciągu tajemnica. Powód jest prosty – nie sposób nimi

zdażyć na czas, choć jeżdżą szybko i nie stoją w korkach. Dlaczego? Bilety można kupować w automatach, kosztują 6,60 szekla, lecz można za nie płacić tylko bilonem i konia z rzędem temu, kto od razu zrozumie instrukcję obsługi. A jakże – automat wyświetla instrukcję po hebrajsku, angielsku i arabsku, lecz pokręcone to, zagmatwane. Dlatego typowy jerozolimski przystanek wygląda tak: tramwaj podjeżdża i odjeżdża, a przed automatem stoi kolejka pasażerów usiłujących kupić bilet. Można wprawdzie próbować jechać za darmo, lecz ryzyko spotkania z kanarami sięga stu procent; przejechałem raz siedem przystanków i dwa razy sprawdzano mi bilet. Kontrolerzy wsiadają trójkami i mam wrażenie, że po prostu lubią jeździć tramwajami i dlatego ich pełno, lecz w przeciwieństwie do pasażerów wolno im wsiąść, kiedy chcą.

Na dodatek automaty są często zepsute. Przyczyny nie znam, choć zdaje mi się, że zbyt często dostają z piąchy, kiedy potencjalny pasażer nie może uporać się z instrukcją obsługi. Też to widziałem.

A i tak podróż jerozolimskim tramwajem jest niebywale przyjemna. Objężdża niemal połowę miasta, okna ogromne, dużo widać, sucho, gdy pada, chłodno podczas skwaru (patrz U). Drogo potwornie, lecz co dzisiaj w Jerozolimie jest tanie?

XXX

Prawda jest bowiem taka, że każdy ma swoją Jerozolimę. A moja wygląda tak.

W planie geograficznym moja Jerozolima to zaułek na plecach ulicy Jafskiej i Ben Jehuda, tam gdzie stoi synagoga i usadowiło się kilka barów. Lubię to miejsce, bo spokojne, choć w środku wielkiego, rozedrganego miasta. Zwłaszcza wieczorem w dzień powszedni, gdy w barach pusto, a kelner, na przekór frekwencji, zdejmuje pokrowiec z bilardowego stołu w starym Mike's Place.

I nagle, jak spod ziemi, przy stole wyrastają chasydzi (patrz C); ultraortodoksyjna Me'a Sze'arim jest odległa o siedem minut spokojnego spaceru. Patrzę na nich i wiem, że grzeszą. Więcej – oni wiedzą, że grzeszą, lecz przyszli tu z pragnieniem grzechu i już nie odpuszczają.

Ściągają więc czarne długie chałaty. Czarne kapelusze lądują w kącie. Mają na sobie wymięte przepecone koszule. Długie pejsy chowają w kołnierze, zakasują rękawy. Biorą w dłonie bilardowe kije. Niektórzy zamówią piwo. Niby ich kilku, lecz w barze ciągle pusto.

Gdzieś pod ścianą siedzą dwie wytatuowane dziewczyny. W piwnicy trwa próba rockowej gitary. Obce kobiety, gitara, piwo z Irlandii, bilardowe kije – wszystko to zabronione. Chasydzi udający świeckich grają i grają. Dziewczyny nie muszą nikogo udawać. Na dole, gdzie próba gitary, wszyscy mówią po angielsku, choć nie ma najmniejszej wątpliwości, że są Żydami. Tak będzie tu do późnej nocy.

Lubię dach domu sióstr elżbietanek; tzw. stary dom polski wewnątrz dzielnicy muzułmańskiej, za murami Starego Miasta. Na sznurach suszy się bielizna, a widok taki, że zapiera dech: meczety, wieże kościołów, złoto Al-Aksy, austriackie hospicjum, a nocą ponad wszystkim girlandy świateł, jak ostatnio na Gwiazdkę w polskich wioskach.

Lecz chyba ważniejsze od widoku jest to, co słyhać. W dzień to hałas rojnego targowiska

wychodzący poza Bramę Damasceńską, z ciuchami, butami, mięsem, warzywami, przyprawami, płytami, plastikiem, mydłem, powidłem. Pod wieczór – szcęk zatrzaszanych żelaznych bram, turkot wózków z wszelkim towarem i z butlami z gazem, pisk gumy trącej o wapienne chodniki, szelest mioteł zbierających całodzienny brud, nawoływanie muezina. Nocą – cisza niemal doskonała; tylko zza murów dobiega szmer wielkowiejskiej ulicy. Stare Miasto zasypia, choć nie śpi nigdy. Może więc tylko zatyka sobie usta, mimo że od czasu do czasu dobiegnie nas ludzki wrzask; na dachach starej Jerozolimy pokłócili się arabscy narkomani.

Lubię, choć nie bardzo wiem za co, plac wokół Knesetu. Pewnie dlatego, że w tym ciasnym mieście to chyba jedyna odkryta pustka. Na zboczu wzgórza, więc widać daleko, ponad szerokimi arteriami pełnymi samochodów, aż po białe mury Starówki.

XXX

W planie emocjonalnym i ludzkim moja Jerozolima to rozedrganie, wibracja, napięcie, gorąc, czyli wszystko to, co z miasta wyгнаło moich przyjaciół, bo już nie mogli wytrzymać. Zresztą gdybym miał mieszkać w Jerozolimie dłużej niż przez kilkanaście tygodni, zwariowałbym bez dwóch zdań, bo za dużo tu temperatury, emocji i niepotrzebnej złości ubranej w religijne prawdy, więc niezbywalne i nie do zastąpienia, jedynie słuszne, przedwieczne, prawdziwe. Albo w zaściankowy nacjonalizm definiujący się nie poprzez szacunek do własnego, lecz przez niechęć do obcych i innych. To, co w Jerozolimie kręci mnie przez jakiś czas, na dłuższą metę odebrałoby mi spokojny sen. Mimo że kocham to miasto i inaczej nie chce być.

Pewien mój przyjaciel zamieszkał w Jerozolimie ze 30 lat temu. Wyjechał stąd bez żalu, gdy w domu został z czasem jedynym niereligijnym lokatorem i już nie chciał awanturować się z sąsiadami, że wyrzucanie śmieci w piątkowe popołudnie to żadna praca.

Tak naprawdę w Jerozolimie ostał się tylko Uri. Pewnie dlatego, że w swoim antyreligijnym zapale jest tak nieprzejednany, iż nie umiałby żyć tam, gdzie nie musi się spierać niemal każdego dnia. Lecz przypadek Uriego jest wielce szczególny. Zresztą nie widziałem nigdzie poza Jerozolimą ludzi tak religijnych i tak niechętnych religii. Czasami mam wrażenie, że bez siebie nie mieliby racji bytu.

Jerozolimski Beitar, jeden z najstarszych i najbardziej utytułowanych klubów piłkarskich w Izraelu, nie zatrudniał nigdy żadnego Araba i nie zamierza tego zrobić, choćby w lidze izraelskiej mieli zbierać baty. Kibole Beitaru to nacjonalistyczna ekstrema, jakiej w Izraelu nigdzie indziej się nie znajdzie. Ale też podobnych zakapiorów szukać ze świecą w obozach palestyńskich uchodźców wojny o niepodległość Izraela 1948 r. (a bardziej ich potomków). Być może nawet w Gazie nie rozmawiałem z tak zaciętymi Arabami (patrz A).

Taka jest Jerozolima – cudna i pełna cudów, ale też przerażająca. Zwariować w Jerozolimie to żadna sztuka i nie chodzi mi tylko o syndrom jerozolimski, zdiagnozowaną i nieźle opisaną przez psychiatrów psychozę, która objawia się nagłą i nadmierną dbałością o czystość, potrzebą noszenia białych szat, a choremu każe identyfikować się z Jezusem, Dawidem, Mahometem, apostołami i wszystkimi świętymi. Zresztą psychoza mija bez żadnych lekarstw i terapii, gdy chory opuści święte miasto. A znak to oczywisty, iż w Jerozolimie dzieje się coś pozarozumowego, jest jakiś jerozolimski

klimat i jerozolimskie powietrze, może dźwięki, może zapachy, może kamienie, a może wszystko do kupy wzięte, że bardziej wrażliwe dusze wymiękają. Te niby-twarde i niewrażliwe zaś udają, że miasto ich nie rusza. Choć rusza – nie mam żadnych wątpliwości.

Gdy Tel Awiw (patrz T) staje się z dnia na dzień coraz bardziej przyjazny i otwarty, Jerozolima zamyka się i szuka nieprzyjaciół. W Tel Awiwie można się wyluzować, w Jerozolimie – za żadne skarby świata. Tel Awiw uwiedzie i zauroczy. Jerozolima też, a może jeszcze bardziej, lecz na końcu przygody okaże się, że ta piękna królewna to jednak straszliwa wiedźma. To miasto dla posłusznych i prawowiernych lub dla wiecznych buntowników. Inni niech zajeżdżają tu w gości.

Nie ma takiego drugiego miejsca na świecie.

## **Jidisze mame**

Przy tej piosence płakał najbardziej zatwardziały polski antysemita. Śpiewała ją Hanka Ordonówna; melodia to melancholijne tango, słowa ułożył Marian Hemar. Tytuł „Mein jidisze mame” – figura wieloznaczna, skłaniająca do namysłu, krytycznej refleksji, wywołująca wzruszenie i łzy, złość, potrzebę wizyty u psychoterapeuty. A znaczy tyle co „moja żydowska mama”. Jak „matka Polka”, tylko cieplej. Jidisze mame – takich matek nie ma w żadnym innym narodzie.

A więc jidisze mame, Róża Krantz – pisze Marian Hemar i śpiewa Ordonka – sprzedawała bób w dzielnicy żydowskiej; niech to będą Nalewki, krakowski Kazimierz albo jakiś zapomniany sztetl, Kałuszyn, Mińsk Mazowiecki, Drohobycz. Syn Róży – Icek, Icchak, pieszczotliwie zwany Icele – wyjechał do Ameryki i śle do mamy tęskne listy, że wróci za sześć dni; tyle trwa rejs przez Atlantyk. Dni zamieniają się w miesiące, miesiące w lata, a Róża Krantz, żydowska mama, ciągle sprzedaje bób, tęskni i z każdym listem od Icele biegnie do kum, chwając się synem.

Aż wreszcie Icele wsiada na parowiec „Lincoln”. Ma przy sobie pieniądze, by kupić sklep na rogu i ulżyć biednej matce. Nadchodzi dzień, gdy Róża ma zobaczyć syna. Lecz nagłówki gazet krzyczą od samego rana: „Lincoln zatonął!”.

Róża Krantz nie wierzy w katastrofę; syn nie mógłby zrobić czegoś takiego swojej mamie. Codziennie chodzi na dworzec, czeka na Icele. Nie handluje już bobem. Nikt nie wie, gdzie mieszka, kiedy i co je. Ani ile jeszcze życia przed Różą.

Jidisze mame – strażniczka domowego ogniska i żydowskiej tradycji, jidiszkajt, gwarantka tradycyjnej tożsamości. Silna, czuła, opiekuńcza (nadopiekuńcza), dominująca, religijna, choć nie zawsze, podziwiana, kochająca i bardzo kochana. Matkuje nie tylko dzieciom (zwłaszcza synom; dziewczynki wnet zostaną przecież jidisze mame), ale i mężowi ślęczącemu całe dni nad Torą. Jidisze mame gotuje i sprząta, ceruje, szyje, łąta. Handluje, zarabia, rodzi i wychowuje; praca w pełnym wymiarze godzin na kilku etatach. W diasporze najpewniej nie zna hebrajskiego, gdyż to język świętych ksiąg, męski, a rolą jidisze mame nie jest świętość i rozważanie starodawnych wersów, ale codzienność. Lecz z pewnością mówi językiem nieżydowskiego otoczenia sztetla, bo tylko ona – żeby utrzymać rodzinę – wychodzi na zewnątrz.

Tak było kiedyś. Dzisiaj jidisze mame to taka mama, że pozazdrościć. Może ciągle nadopiekuńcza (można sobie z tym poradzić), lecz przyzwalająca, rozumiejąca i wyrozumiała. Zrobi wszystko dla syna, ochroni ale też obsztorcuje. Opowiadał mi Etgar Keret (patrz K), wcale nie

maminsynek, o swojej mamie, pani Ornah (gdymieszkałajeszcze w Warszawie – adres najlepszy, róg Alej Jeruzolimskich i Nowego Światu, a potem najgorszy – getto, skąd uciekła – nosiła imię Felicja): – Mieszkaliśmy w Ramat Gan, pomiędzy strasznymi bandziorami. Był tam chłopak, postrach całej dzielnicy. Zresztą zabito go w więzieniu w jakiejś bójce. Idziemy kiedyś z mamą, a on okłada metalowym prętem mojego kolegę Drona. Nie bije, lecz wali tak, żeby zabić. Mama podbiega, łapie go za włosy i przedramię i mówi: „Ten, którego bijesz, to Dron, a ten tu to Etgar. Nie waz się ich nigdy tknąć”. On się śmieje i pyta: „Pójdiesz, taka czy owaka, na policję? Mogą mi skoczyć”. Mama przysuwa twarz do jego twarzy: „Nie, po prostu cię zabiję. Popatrz mi w oczy, zobaczysz, że nie kłamię”. A on skurczył się, uwiądl w jednej sekundzie... Gdy mnie potem spotykał, zawsze pytał: „Co słyhać u pani Keret? Czy nie trzeba jej gdzieś podwieźć, w czymś pomóc?”.

Albo: – Mój brat jest na froncie podczas pierwszej wojny libańskiej. Należy mu się przepustka, lecz go nie puszczają. Mama dzwoni do generała i żąda przepustki; to nie była fanaberia mamy, lecz regulamin. General mówi, że jest generałem i to on rozkazuje. A mama: „Dzisiaj jesteś generałem, ale jest przed tobą jakaś przyszłość. Nie igraj z nią, nie warto”. I brat przyjechał do domu.

Pani Ornah (Fela) – zważmy – jest delikatną damą, wzrostu raczej niewielkiego; delikatna, wątła, subtelna. Ale siła jidisze mame nie wynika ze wzrostu. Nic dziwnego, że Etgar opowiada: – Moja mama jest najlepsza. Z pewnością wie, że po niej jestem wrażliwy i egzaltowany, a nawet agresywny. Od mamy dostałem świadomość, że jeśli mam poczucie racji, to nie ma zła, które ją zwycięży. A jeśli nawet jest, to racja jest zawsze racją i trzeba jej bronić.

Lev, synek Etgara, jest taki sam jak babcia Fela. „Ma – mówią rodzice – posunięte do ekstremizmu poczucie sprawiedliwości”.

Taka mama, jak mama Etgara, zresztą każda jidisze mame, nazywa się w Izraelu „polska mama”. Ładnie, prawda?

## K

---

### Koszerność

Albo kaszrut – prawa diety – jest wyróżnikiem tradycyjnej żydowskiej kuchni (choć nie odnosi się tylko do jedzenia). Bardzo z grubsza oznacza to, co może znaleźć się w menu, jakich potraw nie wolno ze sobą łączyć, jak gotować, a czego nie wolno pod żadnym pozorem brać do ust.

Są więc potrawy koszerne, trefne i parwe, czyli obojętne. Zasady koszerności zapisano w Torze, Misznie i Talmudzie (patrz T). Podobno kiedyś nie było kłopotów z jej przestrzeganiem. Dzisiaj to już nie takie proste, a to dlatego, że w wielu artykułach spożywczych łączą się produkty z różnych krajów i różnego pochodzenia, byle niekoszerny dodatek może zepsuć całe danie.

Po pierwsze – nie wolno łączyć ze sobą potraw mlecznych i mięsnych, a posiłek mięsny winno oddzielać od mlecznego kilka godzin. W religijnych domach prowadzi się dwie kuchnie, odrębne dla obu rodzajów jedzenia; muszą być dwa komplety garnków, łyżek, noży i wszelakich mieszadeł.

Po wtóre – koszerne jest mięso tych zwierząt, które przeżuwają i mają podzielone kopyta, czyli można jeść jagnięcinę, wołowinę i dziczyznę, a nie można wieprzowiny, koniny i królika.

Niekoszerne są niektóre rodzaje tłuszczu i nerw kulszowy.

Koszerne ryby to takie, które mają widoczną i łatwo usuwalną łuskę: karp, szczupak, okoń, dorsz. Ale już węgorz i jesiotr są niekoszerne, podobnie jak wszystkie skorupiaki i głowonogi. Niekoszerne są również owady, wyłączając kilka gatunków szarańczy, lecz dzisiaj podobno nikt już nie wie, jaka to szarańcza.



*K jak Kipa – Pełny wybór na targu Mahane Jehuda w Jerozolimie*

Owoce (muszą pochodzić z drzew co najmniej trzyletnich) i warzywa w zasadzie są koszerne, koniecznie dokładnie umyte, by pozbyć się niekoszernych larw lub jaj owadzych. A jednak



kilkanaście lat temu między izraelskimi rabinami wybuchł spór o to, czy papryka importowana z Argentyny jest koszerna, czy nie (nie pamiętam, czy spór się zakończył, i nie mam pojęcia, na czym zasadzała się różnica stanowisk, mimo że starałem się dociec).

Wino jest koszerne tylko wtedy, gdy produkuje je i sprzedaje Żyd. Z piwem i whisky raczej nie ma problemu, z naciskiem na „raczej”.

Specjalne reguły koszerności obowiązują w święto Paschy upamiętniające ucieczkę Żydów z niewoli egipskiej. Podaje się wówczas specjalnie wypiekaną macę, w której nie może być zakwasu. Radykalnie religijne domy sprzątane są od piwnic po strychy, by wymieść najdrobniejsze okruszki zwykłego chleba. Mało religijni mieszkańcy Tel Awiwu (widziałem na własne oczy – patrz T) wystają w Paschę w kolejkach pod piekarniami i chrześcijańskimi sklepami z alkoholem w arabskiej Jafie (patrz Y), gdyż w Paschę koszerność traci również wódka i piwo.

Po trzecie – koszerne mięso musi pochodzić ze specjalnego uboju, shechita. Zwierzę zabijane jest ostrym nożem poprzez przecięcie gardła i aort. Może to zrobić tylko szochet, czyli wskazany przez rabina, specjalnie przyuczony rzeźnik, odmawiając właściwą modlitwę. Mięso jest dokładnie płukane i solone, gdyż spożywanie krwi – symbolu życia – jest surowo zabronione, co nie przeszkadzało chrześcijanom w rozpuszczaniu przez wieki barbarzyńskich plotek, że w macy znajduje się krew chrześcijańskich dzieci pozyskana w wyniku mordy rytualnego.



Koszerność bywa kłopotliwa. Znam rodziny, w których jedni przestrzegają kaszrutu, a inni nie, więc nie siadają do wspólnych posiłków. Religijni nie jedzą i nie piją w niereligijnych domach.

Z drugiej strony przestrzegający koszerności twierdzą, że to najzdrowsza kuchnia na świecie, oparta na szacunku dla człowieka i zabijanych zwierząt, którym zadaje się jak najmniej bólu.

## **Keret Etgar**

Najtrudniej pisać o przyjacielu, a Etgar to mój przyjaciel, by nie rzec: prawdziwy kumpel, mimo że dekadę młodszy. Urodził się w 1967 r. w Ramat Gan pod Tel Awiwem; mama to najbardziej polska Polka, w Izraelu nosi imię Ohran, ale gdy mieszkała w Warszawie, na rogu Nowego Światu i Alej Jerozolimskich, nazywała się po prostu Fela (patrz J). Polszczyzna pani Feli jest taka jak Słonimskiego i Tuwima, maniery przedwojenne, szyk i styl damy bez żadnych wątpliwości; delikatna, drobniutka i twarda jak stal.

Jej wojenne przygody mogłyby służyć za scenariusz filmów sensacyjnych z happy endem, lecz różną treścią, a wszystko dlatego, że pani Feli zależy, by podkreślać polskość. Nawet Etgar nie wie, czy jego dziadek ze strony mamy zginął, bijąc się z Niemcami w warszawskim getcie czy w Powstaniu Warszawskim; mama opowiadała i tak, i tak, a dziadkowy udział w walce po polskiej stronie traktowała jak swoistą nobilitację.

Nie ma na całym świecie drugiej takiej pani Feli. Zrobiła mi kilka razy tak cudne niespodzianki, że nie wiem co. Po polsku i w polskim stylu; rzecz wiadoma. Miałem kiedyś autorskie spotkanie w Tel Awiwie. Dla pani Feli było zarezerwowane miejsce w pierwszym rzędzie. Nie przyszła, akurat

zachorowała. Lecz powiedziała: – Kiedy zaczynałeś spotkanie, ja czytałam twoje pisanie. I czułam się tak, jakbym tam była. Wzruszyłem się do łez.

Pani Fela pamięta z przedwojennej Polski zapach poziomek. Ani razu nie udało mi się przywieźć do Izraela świeżych owoców, lecz konfitury poziomkowe sprawiły, że mam u pani Feli kredyt, zdaje się, nieograniczony. Tak samo jak śliwki marynowane, kurki w occie, powidła śliwkowe i takie najzwyczajniejsze przysmaki. Póki nie poznałem pani Feli, nie wiedziałem, że można aż tak bardzo tęsknić za Polską, choć ta Polska nie była ani nadzwyczajna, ani za bardzo miła. Ale we wspomnieniach jest jak poziomka: słoneczna, słodka, pyszna.

Polski patriotyzm pani Feli jest najwyższej próby i nie zelżał nawet wówczas, gdy jakiś pacan z polskiej ambasady pytał: „A po co pani polski paszport? A dlaczego nie ma pani choćby świadectwa chrztu (jakby Żydzi się chrzcili)? A kiedy pani uciekała z getta, trzeba było wziąć ze sobą jakieś dokumenty, co najmniej zdjęcia. Wiem – mówił urzędas – że wówczas było ciężko, lecz warto było myśleć”.

Pani Fela jest dzisiaj polską obywatelką. Polska może być z tego dumna.

XXX

Tata Etgara – Efraim – był też z przedwojennej Polski. Zmarł pod koniec marca 2012 r. Chorował na raka i było mu bardzo ciężko, lecz do wszystkich puszczał oko i powiadał, że pożyje jeszcze trochę. Nie udało się. On najpewniej o tym wiedział. Inni nie, bo pan Efraim wyznaczył sobie za zadanie opiekować się innymi, wspierać ich, pomagać, a nie martwić. Dzielny był ponad miarę. Jidisze tate, choć w Izraelu tak się nie mawia, a i w przedwojennej Polsce też niekoniecznie.

Czyli Etgar – wedle izraelskiej terminologii – jest Polakiem. Nie wiem, czy rozumie polski, i wcale się nie dziwię, że ma taką tajemnicę. Gdy rodzice kłócili się, omawiali ważne domowe sprawy niedostępne dla dzieci, wydawali werdykt w sprawie szkolnych wagarów albo innego wygłupu, wówczas naradzali się po polsku, w języku tajemnym, sekretnym, świszczącym (tak mówi Etgar, ale nie do końca mu wierzę, że polski dla niego tylko świszczy i nic nie znaczy, za często uśmiecha się z łagodną domyślnością, gdy słyszy polszczyznę).

Bo skąd by Etgar wiedział, co mówię do kelnerki w Warszawie albo w Krakowie, i dlaczego prosiłby, bym się nie awanturował, bo nie ma o co (wcale nie krzyczałem)?

XXX

Keret – niższy niż ja, kudłata głowa, zarost kilkudniowy, na szyi szalik. Wegetarianin radykalny, czym sprawia umiarkowane kłopoty, zwłaszcza w polskich restauracjach. Wino pije, a mnie zawsze obdarowuje butelką caberneta, o którym mówi, że to najbardziej syjonistyczne wino świata, choć pamiętam, że etykiety różnią się od siebie. Zresztą mówi, że jestem większym syjonistą niż on, a przecież nie jestem żadnym syjonistą; może znaczy to, że Etgar lubi, że ja lubię Izrael lub że Izrael wkurza mnie tam, gdzie i jego, choć jego mocniej.

Chodzi, szeroko stawiając stopy. Ręce w kieszeni. Czarne oczy, czarne włosy, które niedawno

zaczęły siwieć, co jakoś mnie wzrusza, bo zawsze miałem go za młodziaka. Gdyż taki jest: uśmiechnięty jak szczeniak i dobry dla świata po to, żeby świat był dobry dla niego. Ma wdrukowane poczucie bezwzględnej sprawiedliwości. Wścieka się – bywa – w obliczu spraw z pozoru mało ważnych, ale gdy głębiej pomyśleć, absolutnie podstawowych.

Mądry. Potrafi opisać swój kraj w kilku zdaniach i nigdy nie jest to banalna analiza. Np.: „W Izraelu ludzie myślą, że są w Europie, chodzą na europejskie opery i noszą europejskie ubrania, a za oknem wielbłądy chodzą po pustyni, tyle że oni ich nie widzą”. Albo: „Przywódcy Palestyńczyków mają mentalność pustynnych szejków. Premierzy Izraela – dyrektorów w Microsofcie. Jak mają się porozumieć?”.

Etgar jest żonaty z Shirą Geffen, aktorką, reżyserką i poetką, z rodziny – jak mówi się w Izraelu – arystokratycznej; to tak, jakby w USA wywodzić się z emigrantów, którzy przyплыnęli statkiem „Mayflower”, tylko fortuny nie takie same. Mają synka Leva; Etgar mówił w trakcie drugiej wojny libańskiej (patrz W), że uśmiech Leva to najskuteczniejsza broń antyrakietowa. Chciałby mieć jeszcze córeczkę, podobną do żony, mamy i siostry, wykształconej psycholożki, a dzisiaj ortodoksyjnej Żydówki (ma 11 dzieci, mieszka w jerozolimskiej Me’a Sze’arim, w domu mamy nic nie je, bo nie ma pewności, że to koszerne, za to kocha Etgara ponad wszystko i z wzajemnością). Etgar powiada, że dzięki temu, co opowiada mu siostra, pisze, jak pisze. I rzeczywiście, jego opowiadania mają sznyt chasydzkich mądrości; co z tego, że są jak najbardziej współczesne i bez Boga.

XXX

Kiedy zaczął pisać i pokazywał swoje wprawki z prośbą o ocenę, pewien asystent z uniwersytetu, uwielbiany przez studentów, mądry i z autorytetem, powiedział mu: – Jesteś bystry, zajmij się nauką, ale nie pisz, bo nie umiesz.

Spotkali się po kilku latach w telawiwskim centrum handlowym. Przypadkiem; asystent zobaczył Etgara i uciekł do sklepu z damską bielizną. Chował się między stanikami, ale musieli się w końcu zetknąć. Asystent powiedział: – Gdybyś mnie posłuchał... Głupio mi. Etgar: – Mówiłeś prawdę, ja nie posłuchałem, obaj możemy się dzisiaj śmiać.

XXX

Pierwszą książkę opublikował w 1992 r.; akurat była zima. Pewna dziennikarka z Jerozolimy (patrz J) umówiła się z nim na wywiad. Spotkali się w świętym mieście, pogadali i dziennikarka uznała, że z wywiadu nici. – Nie jesteś – mówiła – nikiem szczególnym. Ani gejem, ani wywrotowcem, tylko synem ocalonych z Zagłady, ale to też zwyczajne. Nie masz żadnej historii do opowiedzenia. Bye.

Było mu przykro. Stał przed księgarnią, gdzie na wystawie wyłożono stos jego tomiku opowiadań, ani większy, ani mniejszy od innych stosików, taki zwyczajny, pospolity. Pomyślał, że teraz powinno zdarzyć się coś niezwykłego, bo inaczej dół będzie nie do zniesienia.

I kiedy tak stał, patrząc na witrynę, zaczął padać śnieg; w Jerozolimie to rzadkie zjawisko, raz na kilka lat. Etgar nigdy wcześniej nie widział śniegu.

XXX

Że jest wspaniałym pisarzem – wie cały świat; powiedziała mi o tym (jakbym nie wiedział!) funkcjonariuszka straży granicznej na lotnisku Ben Guriona (patrz B) i sam Salman Rushdie, a Salman wie, co mówi, i nie jest skory do komplementów. Etgar jest zwięzły w słowach, ma specyficzne poczucie humoru, absurdalne i nostalgiczne, właśnie jak z opowieści chasydów. Język wziął z ulicy, prosty, brutalny, czasem wulgarny, lecz przede wszystkim chropawy, bo rozwijający się i nowy dla wszystkich; język, którego nikt dobrze nie zna, wyłączając Amosa Oza (patrz O). Umiał napisać opowiadanie o kocie Rabinie, akuratnie przejechanym przez motocykl, a cały Izrael, zwłaszcza ten młodszy, uznał, że to kapitalna metafora zabójstwa Icchaka Rabina (patrz R). Lub o chłopcu, który uniknął bęćków od chuliganów z podwórka, bo zaczął uciekać, gdy syreny zatrzymały cały Izrael na okoliczność Dnia Pamięci o Ofiarach Holocaustu (patrz S). O Pizzerii Kamikaze, gdzie rozrywają się palestyńscy samobójcy. O „Szlomo-homo-pizda-w-domu”, dzieciaku gnojonym przez świat.

Umie w gazetowej publicystyce postawić najważniejsze pytania. Przyrównał premiera Netanjahu do Ściany Płaczu; w jej szczeliny wtyka się wszelkie prośby, również te o sprawy beznadziejne. Dał premierowi list od Shiry, w którym prosiła o pokój. Opisał, jak tuż po zatrzymaniu przez izraelskich komandosów Flotyli Wolności (zginęło dziewięciu tureckich uczestników Flotyli, Izrael stracił jedyne islamskiego sojusznika) szukał kogokolwiek – z rządu, z armii i z opozycji – kto by mu wytłumaczył, dlaczego akcja była tak brutalna (i dlatego beznadziejnie przeciwnie skuteczna) oraz czemu nikt nic nie chce o niej opowiedzieć. Jakiś generał oznajmił Keretowi, że nie wie, bo był na ślubie córki. Jakiś polityk zajmujący się wojskiem z urzędu nic nie wiedział, bo – mówił – nie miesza się do takich spraw. Izrael zrywałby boki ze śmiechu, gdyby akurat w tym przypadku było się z czego śmiać.

Etgar nie tylko pisze, ale jeszcze zajmuje się filmem. Jego i Shiry „Meduzy” (patrz F) dostały nagrodę na festiwalu w Cannes za debiut fabularny; dowiedzieli się o tym na lotnisku, gdy wracali do Izraela, przekonani, że film jak film, pokazano go i zaraz zapomniano. Widziałem pierwszorzędną australijską animację opartą na jego tekstach.

XXX

Lev, synek Shiry i Etgara, ma najbardziej niebieskie oczy na świecie. Po obu babciach. Napotykanie panie zachwycają się tymi oczami, które w zestawieniu ze śniadą buzią i czarną jak węgiel czupryną robią niezwykle wrażenie. Lev, jak miał chyba z pięć lat, oznajmił ojcu: – Jeśli jeszcze raz jakaś pani powie, że mam ładne oczy, ugryzę.

Więc teraz Etgar uprzedza wszystkie panie, które wpatrują się w oczy Leva: – Nie mówcie mu o oczach, bo ugryzie.

I panie nie mówią.



Był Keret jeszcze niedawno tylko utalentowanym, nieposłusznym chłopaczkiem, chwytającym z wielkim powodzeniem za pióro. Stał się autorytetem, rozmawiają z nim najwięksi w Izraelu, zabiera głos w najpoważniejszych sprawach. Są również tacy, którzy zazdroszczą mu sukcesu; niekiedy przeczyta w recenzjach, że ostatnia książka jest tak dobra, że lepszej już nigdy nie napisze, szkoda, bo ma ciut powyżej czterdziestki, więc jak będzie dalej żyć w kompletnym wypaleniu? Tymczasem Etgar pisze lepiej i lepiej, choć mało, ciągle to opowiadanka na półtorej stroniczki, celne, dosadne, przewrotnie śmieszne i rozczulające.

Zachował język, który dał mu literacką pozycję, hebrajski z telawiwskiej ulicy lub targu, gdzie kupują nowi emigranci. Żadnej elegancji, jak u Amosa Oza, gdzie trzeba połamana składnia, skręcone, źle wymówione słowo, gdzie indziej bluzg. Język Oza pokazuje, jak szlachetną, piękną mową jest hebrajszczyzna (i tej umiejętności mu zazdroszczą). Pisanie Kereta to dowód, że w Izraelu niemal każdy jest skądś, przywiózł swój akcent, swoje słownictwo, mówi po hebrajsku jak przybysz i nigdy się tego nie wyzbędzie. Ten język żyje, poszerza się jak każdy slang lub kurczy, gubiąc słowa, które nagle stały się niemodne.

Namawiam go na większy kawałek, jakąś powieść na przykład. Mówi, że nie umie, lecz nie wierzę mu ani-ani.



Na dodatek jest dobrym kolegą, z którym można gadać bez końca, nie tylko o polityce (co bardzo lubi), Izraelu, filmie i literaturze. Słucha, podpowiada, nienachalnie sufluje, a przede wszystkim – jest uważny. Godzina z Etgarem to godzina dla jego rozmówcy, bez żadnego picu i pustych przebiegów. Miałem tych godzin sporo, kiedy otwierał się i opowiadał, a ja też opowiadałem, jak kumplowi właśnie. Szkoda, że rozmawiamy po angielsku. Lecz kiedy brakuje nam jakiegoś zwrotu, rozumiemy się. Etgar po prostu tak ma, że z nim warto pomilczeć. I jest to milczenie rozwijające.

## **Kahane Meir**

Rabin, ale wedle mnie z Bogiem nie miał ten człowiek nigdy nic wspólnego, za to z faszyzmem – jak najbardziej. Meir Kahane był niewątpliwie charyzmatyczny, a po ludzku – podobno – bardzo miły. Lekko łysiejący, na zdjęciach miał sympatyczną, łagodną twarz i zamyślane oczy, jak, nie przymierzając, Osama ben Laden.

Pochodził z nowojorskiego Brooklynu, gdzie założył Żydowską Ligę Samoobrony (w szczycie popularności liczyła kilkanaście tysięcy członków) walczącą z antysemityzmem (akurat w USA zjawiskiem rzadkim) oraz o prawa radzieckich Żydów do emigracji (patrz A). Skrajnie antykomunistyczny w poglądach, donosił do FBI na – tak, tak – antykomunistyczne organizacje. Postawił również tezę, że wszyscy Żydzi winni emigrować do Izraela; nawet w USA czeka ich – powiadał – „drugi Holocaust” (patrz S).

Gdy sam wyjechał do Izraela, założył partię Kach (znaczy to mniej więcej: Właściwa Droga), szowinistyczną, rasistowską, skrajnie prawicową, terrorystyczną, wzywającą do fizycznej agresji wobec Arabów (patrz A). Program: prawo państwowe Izraela winno ustępować przed prawem religijnym, należy wysiedlić Arabów (za wyjazd dobrowolny przewidywał rekompensatę, innych chciał wyrzucić na siłę) również z Terytoriów Okupowanych, rozszerzyć granice Izraela o kawał Libanu, Syrii, półwyspu Synaj, a na wschodzie oprzeć je o iracką rzekę Tygrys. Należy – mówił – zakazać mieszanych małżeństw oraz kontaktów seksualnych między Żydami i nie-Żydami (sam Kahane miał w USA romans z nieżydowską modelką; po rozstaniu popełniła samobójstwo) oraz znieść w Izraelu demokrację, gdyż oznacza równe prawa dla wszystkich, bez względu na pochodzenie i wyznanie.

Kilkukrotnie startował do Knesetu. Udało mu się dopiero w 1984 r., z poparciem ponad 25 tysięcy wyborców, głównie religijnych Żydów sefardyjskich. Był izolowany, przemawiał z reguły do pustej sali parlamentu; inni posłowie wychodzili. Nazywał ich hellenistami, jak zwano Żydów, którzy adaptowali grecką kulturę, gdy Palestyną władał Aleksander Macedoński.

Pomimo bojkotu w kolejnych wyborach partia Kach miała szansę – wedle sondaży – zostać trzecią siłą polityczną w Izraelu (dziesięć procent poparcia), choć najpewniej nie weszłaby do rządu. Nie udało się – wcześniej Kneset uchwalił prawo (a sąd najwyższy podtrzymał) o zakazie startu w wyborach organizacji rasistowskich; Kahane był pierwszym politykiem, któremu ze względu na szerzenie nienawiści etnicznej odmówiono części praw wyborczych.

W 1990 r. Kahane (miał 58 lat) został zastrzelony w Nowym Jorku przez egipskiego terrorystę Saida Nosaira.

Spadkobiercami Meira Kahane były dwie małe partie: Kach i Kahane Chai, której przewodził jego młodszy syn Benjamin. W 1994 r., po masakrze w hebrońskiej Grocie Patriarchów (patrz H) dokonanej przez zwolennika rabina Barucha Goldsteina, rząd Izraela ostatecznie je zdelegalizował. Amerykański Departament Stanu wpisał Kach i Kahane Chai na listę organizacji terrorystycznych, obok Hamasu.

Gdy w 2000 r. wybuchła intifada Al-Aksa (patrz I), na murach wielu miast pojawiły się napisy: „Kahane miał rację”. Osadnicy z podhebrońskiego osiedla Kiriat Arba nazwali jego imieniem miejski park (pochowano w nim Barucha Goldsteina). W Knesecie zasiada jeden poseł, który mówi, że poglądy rabina są dla niego inspirujące. Wielu Izraelczyków powiada, że to o jednego za dużo.

40 lat temu zaś dobrze o Meirze Kahane mówił Bob Dylan w wywiadzie dla „Time Magazine”: „Kahane to w porządku facet”. Ponoć Dylan wziął udział w kilku spotkaniach Żydowskiej Ligi Samoobrony, by „przekonać się, o co w tym chodzi”. Znaczy to tylko tyle, że niekiedy artyści, nawet wielcy, powinni trzymać się od polityki z daleka.

## **Kipa**

Nakrycie głowy religijnego Żyda, mała, płaska czapeczka, zwana też mycką. Bez kipy nie wolno wyjść na ulicę, a już z całą pewnością stanąć pod Ścianą Płaczu, wejść do synagogi lub na cmentarz.

Często jest czarna, uszyta z aksamitu; taka kipa jest najpopularniejsza wśród skromnie ubierających się chasydów, wyłączając uczniów Nachmana z Braławia, którzy – dla odmiany –



noszą kipy białe (patrz C). Są też kipy dziergane na szydełku, różnokolorowe, z różnym, geometrycznym wzorem, kipy z miętko wyprawionej skóry oraz jednorazowe kipy z papieru (te wręczane są turystom pod Ścianą Płaczu).

Kipę przypina się wsuwką do włosów, choć są i tacy, którzy po prostu kładą ją na szczyt głowy i ani myśli się zsunąć. Jak to możliwe? Nie wiem i nigdy się nie dowiem, mimo że chciałem.

Mam kipę wyjściową, w czarno-złoty wzorek, i kipę na szczęście, koloru turkusowego, ledwie większą niż pięciozłotówka; znalazłem ją pod synagogą w Tel Awiwie po wielkim wietrze. Prócz tego mam kipę znalezioną w osiedlu Newe Dekalim w Gazie (patrz N) podczas ewakuacji osadników i czarną kipę chasyda. Miałem jeszcze granatowo-niebieską, lecz gdzieś mi się zapodziała.

Najcudowniejszy sklep z kipami jest oczywiście w Jerozolimie (patrz J) przy ulicy Ben Jehuda (jeszcze niedawno mieścił się przy Jafskiej, trzy kroki od obecnej siedziby). Można w nim kupić kipy szyte ręcznie i maszynowo, jednokolorowe i barwne, małe, malutkie jak spodeczek lub większe, podobne do czapeczek nomadów ze środkowej Azji. Kipy z najdziwniejszymi wzorami, a więc: z symbolami koszykarskich drużyn NBA i piłkarskich klubów Europy, z czterolistną koniczyną, z liściem marihuany albo z Kubusiem Puchatkiem (może być podpisana po angielsku „Winnie the Pooh”, albo – jak na T-shirtach sprzedawanych w arabskich kramach Starego Miasta – „Winnie the Jew”. Wówczas Kubuś Żyd ma długie kręcone pejsy). To malutki sklep, sklepik właściwie, lecz można w nim spędzić długie kwadransy. I chyba nikt nie wychodzi z pustymi rękoma.

## L

---

### Likud

Opowiadano mi o tym, jak o zdrze i powodzie wstydu; sam tego nie widziałem, bo się skończyło, zanim trafiłem do Izraela. Lecz ponoć było tak, że w kraju, który za fundament uznał równość, z tą równością bywało kiepsko. Np. panie z aszkenazyjskich, europejskich domów siadywały nad filiżanką kawy w eleganckich lokalach Tel Awiwu lub Aszkelonu ubrane w modne garsonki i kapelusze, a w tym samym czasie sefardyjskie kobiety prały, gotowały, prasowały, sprzątały. Aszkenazyjscy panowie byli adwokatami, bankierami, inżynierami, a sefardycy – murarzami, tokarzami, sklepikarzami, zamiataczami ulic.

Ten podział przez wiele lat tkwił w języku, mimo że w realnym życiu skończył się definitywnie. O Żydach z Polski, Niemiec, Rosji mówiono „biali”. O tych z Maroka, Jemenu, Iraku, Algierii – „czarni”. Dzisiaj już nikt tak nie powie, bo polityczna poprawność i społecznych różnic między aszkenazyjczykami i sefardyczykami coraz mniej. Skończyło się w roku 1977, gdy Likud, prawicowa (niekiedy skrajnie) formacja wspierana przez sefardyczyków, wziął władzę. Syjonistyczna lewica – ugrupowania ojców założycieli Izraela – poległa z kretesem. Dla aszkenazyjskiego Izraela był to szok.

Nie byłoby Likudu, gdyby nie Włodzimierz Żabotyński (rocznik 1880), okularnik urodzony w Odessie. Pochodził z religijnej rodziny. Był nastolatkiem, gdy odszedł od wiary. Rychło przejawiał talenty publicystyczne i krasomówcze. Jeździł po Europie i świecie, był niezłym adwokatem, ale przede wszystkim ideologiem i organizatorem.



*L jak Likud – Benjamin Netanjahu, lider Likudu i premier Izraela, na plakatach z ostatniej kampanii wyborczej*

Tuż przed Wielkanocą w 1903 r. w mołdawskim Kiszyniowie lokalna gazeta oskarżyła Żydów o mord rytualny. Doszło do zamieszek, zginęło kilkadziesiąt osób, raniono około setki. Carska policja powstrzymała tłum dopiero po kilku dniach. Po kiszyniowskim pogromie Żabotyński przystąpił do ruchu syjonistycznego. Lecz wnet zaczął kwestionować jego równościowe, socjalistyczne zasady. Założył własny ruch syjonistów rewizjonistów.

Jeszcze w Rosji organizował żydowskie oddziały samoobrony. Gdy podczas pierwszej wojny światowej trafił do Egiptu, zaproponował Brytyjczykom stworzenie Legionu Żydowskiego. Walczył z armią turecką w okolicach Jerozolimy i w Dolinie Jordanu. Jego bohaterem i wzorem był Józef Piłsudski (w końcu lat 30. Rzeczpospolita sfinansowała szkolenie wojskowe samoobrony Żabotyńskiego – chadzali w brunatnych koszulach. Ponad 200 tysięcy ówczesnych złotych Żabotyński traktował jak pożyczkę, którą zwróci niepodległy Izrael).

Zwolennicy Żabotyńskiego mają go niemal za proroka. W drugiej połowie lat 30. ubiegłego stulecia ostrzegał, że Europę, a zwłaszcza Polskę, czekają fale ogromnych pogromów inspirowanych przez hitlerowskie Niemcy, które niechybnie wywołają wojnę. Jedyne ratunek to emigracja do Palestyny.

Przeciwnicy Żabotyńskiego powiadali, że był zafascynowany totalitaryzmem, np. pisał, że warunkiem koniecznym przetrwania żydowskiego narodu jest zachowanie czystości rasy. Podobno chwalił go sam Mussolini, nazywając „żydowskim faszystą”. Jego zwolennicy odpowiadają za czystki etniczne wśród Arabów podczas wojny o niepodległość w 1948 r. Do myśli Żabotyńskiego nawiązywali członkowie prawicowych skrajnie bojówek Irgun i Lehi. Przewodniczący Światowej Organizacji Syjonistycznej i pierwszy prezydent Izraela Chaim Weizmann mówił o rewizjonistach,

że to „dzieci igrające ze swastyką”. Włodzimierz Żabotyński zmarł w 1940 r. w Nowym Jorku. Pierwszy premier Izraela David Ben Gurion nie zgodził się na sprowadzenie jego zwłok do Jerozolimy: „Izrael nie potrzebuje martwych Żydów”. Na jego ponowny pochówek na Górze Herzla zezwolono dopiero w połowie lat 60.



I znów – nie byłoby Likudu bez Menachema Begina. Urodził się w 1913 r. w Brześciu nad Bugiem. Miał 16 lat, gdy wstąpił do Beitaru, młodzieżowej przybudówki ruchu Żabotyńskiego. Studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Kiedy wybuchła druga wojna światowa, Sowieci zamknęli go w wileńskim więzieniu Łukiszki, a potem skazali na osiem lat łagru.

Wyszedł z Rosji razem z armią Andersa. Dosłużył się sierżanta. Został w Palestynie, zwolniony z wojskowej przysięgi (większość Żydów, którzy dołączyli do podziemnego ruchu oporu przed powstaniem Izraela, dezercerowała za cichą zgodą polskich dowódców). Dowodził prawicową bojówką Irgun.

Przez rządzących Palestyną Brytyjczyków uznany za terrorystę. I wedle dzisiejszej miary był terrorystą. W 1946 r. Irgun wysadził jerozolimski hotel King David (ponad pół setki ofiar). Rok później na osobisty rozkaz Begina powieszono dwóch brytyjskich żołnierzy jako odwet za egzekucje członków Irgunu, co w Anglii wywołało antysemickie zamieszki. Irgun i jeszcze bardziej radykalne oddziały Lehi są odpowiedzialne za masakrę w arabskiej wiosce Deir Jassin (patrz D) kilka dni przed wybuchem wojny o niepodległość. David Ben Gurion (patrz B) nazwał wówczas Begina „Menachemem Hitlerem”.

Często odwoływał się do pamięci Holocaustu (patrz S), np. przy negocjacjach z zachodnimi Niemcami w sprawie reparacji lub eksportu izraelskiej broni do Republiki Federalnej, czemu się kategorycznie sprzeciwiał. Powoływał się wówczas – niczym naoczny świadek – na eksterminację swojej rodziny (Niemcy utopili w Bugu rodziców Begina), choć nie mógł tego widzieć, bo siedział w sowieckim więzieniu. Nie znosił, z wzajemnością, socjalizującej, aszkenazyjskiej, „białej” izraelskiej „arystokracji”. Dlatego był wiarygodny dla sefardyjczyków.

W relacjach izraelsko-arabskich i izraelsko-palestyńskich Begin był uznawany za jastrzębia. Gdy został premierem, popierał żydowskie osadnictwo na Zachodnim Brzegu. W 1980 r. ogłosił, że Jerozolima jest stolicą Izraela, a w arabskiej dzielnicy miasta nakazał budowę dzielnicy rządowej. Podczas jego rządów wybuchła pierwsza wojna libańska (patrz W), generał Ariel Szaron nie zapobiegł (być może celowo) masakrze podbejruckich obozów palestyńskich uchodźców Sabry i Szatili, a z pewnością oszukał Begina zakazującego mu szturm libańskiej stolicy (gdy Szaron meldował, że jest kilkanaście kilometrów od miasta, już siedział w Bejrucie). Oraz izraelskie lotnictwo zniszczyło iracki reaktor atomowy Osirak, niwecząc nuklearne pomysły Saddama Husajna.

To właśnie społeczne protesty po Sabrze i Szatili nadważyły pozycję Menachema Begina. W 1983 r. dobrowolnie odszedł z urzędu i niedługo później z polityki.

Ale też Menachem Begin jest pierwszym izraelskim laureatem Pokojowej Nagrody Nobla. Dostał ją w 1978 r. za pokój z Egiptem zawarty po wojnie Jom Kippur. Skutkiem był zwrot półwyspu Synaj i ewakuacja żydowskich osadników z osiedla Jamit, przedsmak tego, co za ponad 20 lat stanie się w Strefie Gazy. Za izraelsko-egipski pokój prezydent Egiptu Anwar Sadat zapłacił śmiercią w zamachu. Menachem Begin zmarł w 1992 r. Pokój i względny spokój na izraelsko-egipskiej granicy trwa do dzisiaj.

Zapewne to przypadek Menachema Beginia był tym momentem, od którego zaczęto w Izraelu sądzić, że pokój projektuje lewica, lecz prawica wprowadza go w życie (patrz P). Lewica ma wyobraźnię, by zobaczyć świat bez wojny, a prawica – autorytet wśród kochających siłę; jeśli się umawia na porozumienie, przekona najbardziej opornych.

Był nawet taki czas – trudno to dzisiaj sobie wyobrazić – gdy mówiono, że Icchak Rabin z lewicowej Partii Pracy zawarł porozumienie w Oslo (patrz O), ale Bibi Netanjahu z Likudu oddał Palestyńczykom Hebron (choć bardzo tego nie chciał), a Ariel Szaron – Gazę.

Zmieniło się; takie mam wrażenie. Dzisiaj nie ma kto wymyślić pokoju i tym bardziej nie ma nikogo, kto umiałby wprowadzić go w życie. Znikła izraelska lewica (przynajmniej na razie), zmieniła się prawica.

Zdaje mi się, że za sprawą Avigdora Liebermana, obecnie wicepremiera i ministra spraw zagranicznych.

### **Lieberman Avigdor**

Pochodzi z Mołdawii (rocznik 1958), studiował na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, był bramkarzem w dyskotecie. Bystry, zdolny, napisał kiedyś niezłą sztukę teatralną. Przewodzi Israel Beteinu, partii sowieckiej alii (patrz A).

To jedyna fala emigracji, z którą Izrael sobie nie poradził. Nie udało się zhebraizować radzieckich Żydów (wedle oficjalnych statystyk jedna trzecia emigrantów nie ma nic wspólnego z żydostwem). Za to „Rosjanom” (jak ich nazywają) udało się odmienić Izrael. Przywieźli ze sobą filharmoników, matematyków, fizyków, teatr, balet i wysoką sztukę. Ale też sowiecką ksenofobię, lęki przed obcymi i Innym, rasizm (w Aszdod, miasteczku pod Tel Awiwem, opowiadano mi o ulicznych bójkach – rosyjscy Żydzi na czarnoskórych Żydów z Etiopii), tęsknotę za silną władzą.

I, przynajmniej na razie, dawna reguła się skończyła. Izraelska lewica nie wymyśli nowych ram pokoju, bo jej nie ma i nie bardzo było (jest?) z kim po palestyńskiej stronie rozmawiać. Prawica zaś nie przyłoży do pokoju ręki. Avigdor Lieberman ogłosił kiedyś, że Izrael powinien zbombardować Tamę Asuańską w Egipcie. A przecież pokój z Egiptem (i z Jordanią, zawarty wiele lat później) to jedna z nielicznych stałych w izraelskiej polityce zagranicznej.

Rozmawiałem z nim raz. Wydał mi się człowiekiem tak pewnym siebie, jakby posiadał na

własność raczej bezwzględne. Nie udało się ta rozmowa, lecz nie dlatego, że patrzemy na świat zupełnie inaczej. Lieberman ma w sobie, a przynajmniej pokazuje to na zewnątrz, prawdę niepodzielną. Nie zna pojęcia „zdaje mi się”, nie używa słowa „ale”. Mówił swoje, ja – swoje. Brzmiało to tak jak niepoważna konwersacja przedszkolaków. A rozmawialiśmy o tym, czy Bliski Wschód ma szansę na chwilę spokoju.

## **Levin Hanoch**

Dramaturg, reżyser teatralny, poeta i pisarz (rocznik 1943, zmarł na raka w 1999 r.), po rodzicach Polak; wyjechali do Palestyny z Opoczna cztery lata przed wojną. Pisał dosadnym, soczystym językiem, nie stronił od przekleństw i wulgaryzmów. Tworzywem przedstawień Levina równie dobrze mógł być subtelny inteligent jak podstarzała kurwa.

Jego sztuki wystawiały najważniejsze teatry w Izraelu, popularny na scenach całego świata, lecz – to paradoks – za coś innego niż w ojczyźnie. W Polsce Levin znany jest jako autor komedii o zwykłych ludziach mocujących się życiem, które może być tragiczne, ale najczęściej nie jest zbyt poważne. Dla Izraelczyków był przede wszystkim autorem politycznym i filozofem dramatu.

Pierwsza sztuka (również dwie kolejne) – „Ja i ty, i następna wojna” – wystawiona została w 1968 r., po zwycięstwie w wojnie sześciodniowej (patrz W). Wówczas Izrael kąpał się w euforii – rozgromił Egipt, Jordanię, Syrię, Irak, odzyskał Ścianę Płaczu, zajął Zachodni Brzeg, więc nic i nikt w regionie (a może na świecie?; tak, pojawiały się podobne idiotyzmy) mu się nie oprze. Tymczasem Levin opowiadał, by nie zapominać, iż na frontach zginęło 700 Izraelczyków i kilkanaście tysięcy Arabów, a wojna (nawet obronna, słuszna, zwycięska) to zawsze amoralna rzeźnia, krew, rzygowiny, spodnie żołnierzy obeszczane ze śmiertelnego strachu. Zwycięscy generałowie nie są bogami, ale ludźmi, Izrael zaś to nie mocarstwo.

Niektórzy nie polubili go za takie spojrzenie na świat. Inni uznali, że jest jak drogowskaz. Gdy kilka lat później wybuchła wojna Jom Kippur, okazało się, że Izraelowi daleko do mocarstwa. Więc niektórzy nie lubili Levina jeszcze bardziej, a ci z drugiej strony barykadę uznali go niemal za proroka.

Dani Tracz, producent sztuki, lecz przede wszystkim przyjaciel Levina, opowiada: – Był człowiekiem uczciwym i po prostu dobrym. Nosił w sobie wewnętrzną szlachetność, był trochę podobny w tej prawości do Jacka Kuronia, mógł się mylić, ale nie mógł kłamać. W poglądach radykalnie lewicowy liberał, ale daleki od komunizmu. Nie znosił dogmatyków i partyjniactwa, nie podlizywał się nikomu, nawet publiczności. Dramaty Hanocha opowiadały o życiu, tragedii, śmierci, wierze, Bogu. Patrzył na świat własnymi oczyma, opisywał go w sposób naturalistyczny. Jego sukces komercyjny wynikał z tego, że był po prostu świetny.

Kiedyś nocą (był sierpień 1968 r.) Tracza obudził telefon: Levin mówił, że wojska Układu Warszawskiego napadły na Czechosłowację. Rano stanęli we trzech na centralnym placu Tel Awiwu, trzymali jakieś transparenty. Levinowi nie chodziło o to, by zbuntować ulicę. Musiał pokazać swój sprzeciw wobec niesprawiedliwości.

Gdy wybuchła pierwsza intifada (patrz I), organizował sceniczne demonstracje aktorów za porozumieniem z Palestyńczykami, choć Icchak Rabin (patrz R), późniejszy sygnatariusz porozumień z Oslo (patrz O) i laureat pokojowego Nobla, zachęcał w publicznych przemowach, by

rzucającym kamieniami Arabom łamać ręce i nogi.

– Hanoch po prostu miał poczucie prawdy i nigdy go nie ukrywał – opowiada Tracz. – Jego postawa moralna stała się wzorem dla wielu Izraelczyków.

XXX

Uwielbiał polskie brzmienia, te szeleszczenia i świsty. Szanował diasporę (patrz D), lubił ludzi, którzy są skądś. To dialog z Levinem, który zapamiętał Dani:

– Jest takie polskie słowo „przybyszco”?

– Nie.

– „Grzywdziel”, „przewdzier”?

– Nie.

– A „szczyzny”?

– Tak.

– Pięknie.

W sztukach Levina pojawiają się wymyślone miejscowości Flaczki, Palaczinki, Paluszki, Pupka, Brzozy, Szczoczy, Drupka. Ludzie nazywają się Jakiś, Pupcia, Chrupcia, Laczek Bobibczek, Pszoszycja, Kszekszepa, ale też Hela, Lola.

– Izrael miał diasporę za coś gorszego – opowiada Dani – a my, nowi przybysze, wstydziliśmy się, że nie jesteśmy sabrami, inaczej się ubieramy, mówimy z akcentem. Hanoch uważał, że diaspora wzbogaca, pokazuje pełnię żydowskiego życia. W latach 60. i 70. był w tym osamotniony. No i zobacz, znów okazał się prorokiem. Dziś wielu z nas tęskni za śladami diaspory, jak ja za polskimi Żydami, których mniej i mniej.



## Łojojoj

Nie ma takiej litery w hebrajskim, lecz w Izraelu klimat łojojoj, czyli biadolenia i narzekania, jest obecny definitywnie. Jeśli ktoś myśli, że narzekanie, utyskiwanie, biadolenie i w ogóle widzenie świata w barwach czarniejszych, niż są one w istocie, to specyfika Polaków, błędzi.

Izraelczycy narzekają pięknie, namiętnie, artystycznie i twórczo. To absolutnie znakomity splot jęków różnego rodzaju: tych żydowskich rodem z diaspory, złączonych z jękami izraelskich Arabów (patrz A), no i jęków izraelskich Żydów na dodatek.

Podlane to narzekaniem typowym dla krajów, skąd wywodzą się Izraelczycy. Mamy więc w izraelskim narzekaniu klimat a to polski, a to rosyjski, mamy odmianę jęków ogromną jak ukraiński step i narzekanie czysto sowieckie; epoka odeszła, lecz takie narzekanie zostało.

XXX

Żydzi więc narzekają na Arabów. Za to, że są; innego powodu nie trzeba, arabska obecność w Izraelu to praprzyczyna, matka wszelkiego biadolenia. Marzeniem, które nigdy się nie ziści, byłaby taka sytuacja: Żydzi budzą się pewnego razu, a Arabowie zniknęli. Rzecz to niewykonalna, lecz pomarzyć można. Nie wypada się – niestety, nie wszystkim – do takich marzeń przyznawać. Lecz tkwią one w żydowskim Izraelu jak drzazga w paluchu. I najpewniej nie istnieje taka możliwość, by owe marzenia wyrwać.

Narzekania związane z Arabami dzielą się na palestyńskie i izraelsko-arabskie. Palestyńskie są oczywiste. Trudno nie narzekać na sąsiada, z którym nie można się dogadać, który łapie się zbyt często terroryzmu i marzy, by Izraela nie było. Na dodatek sąsiada, którego się okupuje, co w wielu Izraelczykach budzi moralny sprzeciw, więc słusznie narzekają na okupację, gdyż dla Izraela nie ma nic bardziej demoralizującego.



Polityczny realizm nie ma tu nic do rzeczy. Islamistyczny Hamas mówi o konieczności zniknięcia Izraela otwarcie i głośno, wystrzeliwuje rakiety i stoi za większością zamachów terrorystycznych, więc narzekanie na Hamas jest absolutnie oczywiste. Świecki (podobno) i (podobno) umiarkowany Fatah stawia na negocjacje z państwem żydowskim, czego rezultatem ma być niepodległa Palestyna i, ufam, szczerze to nadzieje. Lecz czym innym jak nie wyrazem potrzeby całkowitego zniknięcia Żydów są plakaty, jakie oglądałem w szkołach na Terytoriach Okupowanych? Wyglądały jak telegram. Adresatem było miasto Hajfa, nadawcą – anonimowy palestyński uchodźca. Uchodźca zapewniał Hajfę, że wnet do niej powróci.

Za takie plakaty Żydzi mają prawo narzekać na Fatah, a nawet mogą się wściec. Fatah udaje, że nie rozumie, choć rozumie świetnie. Z narzekania na drobiazgi bierze się narzekanie na sprawy wielkie i istotne. Może dlatego porozumienia izraelsko-palestyńskiego jak nie było, tak nie ma i najpewniej długo nie będzie.



Izraelscy Arabowie narzekają na Żydów. Dlaczego? Bo są; gdyby Żydów nie było, na Bliskim Wschodzie – uważają – byłby raj. Biadolą na Izrael, że za mało w nim demokracji dla Arabów właśnie. Że Izrael jest niesprawiedliwy i szowinistyczny, nacjonalistycznie ciasny i rasistowski, co z pewnego punktu widzenia może być prawdą. Że zbyt mało daje arabskim miasteczkom i wsiom. Że Arabowie obywatele są dyskryminowani i odrzucani, spychani na margines, pomijani, często gęsto poza państwem, choć państwo to tworzą. Jest w tym wiele prawdy i wiele przesady.

Arabscy posłowie do Knesetu narzekali np. na to, że żydowscy posłowie do Knesetu wytykali im nielojalność i urągali grubymi słowami, gdy brali czynny udział we Flotyli Wolności, akcji propalestyńskich aktywistów mającej na celu przełamanie blokady Strefy Gazy. Fakt, niektórym arabskim posłom Kneset musiał przydzielić specjalną ochronę, bo inaczej w parlamencie mogło dojść do mordobicia. Ale faktem jest również, że arabscy posłowie uczestniczący we Flotyli wystąpili czynnie przeciwko państwu i społeczeństwu, które ofiarowało im zaszczyt bycia posłami. Nadto podali łapę oszołomom. Okazuje się, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Stara to prawidłowość, lecz w Izraelu nader aktualna i wciąż odnawiana.

Żydzi znów narzekają, że Arabowie narzekają, a nie mają powodów, bo w żadnym innym kraju, nawet od góry do dołu arabskim (Egipt, Liban, Arabia Saudyjska, Syria), Arabowie nie mają tak dobrze. Że nie płacą podatków i islamizują się na potęgę, zamiast asymilować. Albo komunizują, co akurat wychodzi z mody. Że niektórzy spośród izraelskich Arabów zasilają organizacje terrorystyczne. Że, koniec końców, Arabowie więcej żądają, niż dają dla wspólnego państwa, które jest naprawdę wspólne, lecz na szczególnych zasadach.

I tak dalej. Wzajemne narzekania nie mają końca.

Zarówno Żydzi, jak i Arabowie biadolą wspólnie nad kondycją świata. Dlatego że świat nie rozumie, co się rozgrywa na Bliskim Wschodzie. Żydzi narzekają głównie na Europę (w tym na europejskich Żydów, przede wszystkim tych związanych z lewicą). Na to, że nazbyt i bezkrytycznie popiera Arabów i Palestyńczyków, wybiera stronę w konflikcie, którego nie czuje i o którym nie ma pojęcia. Jest w tym poglądzie ziarno prawdy, podobnie jak w opinii, że w Europie odradza się dobrze znany antysemityzm, często gęsto ubrany w szatki antyizraelskości.

Arabowie biadolą zaś na Amerykę (patrz U). Na to, że bezkrytycznie (nieprawda) wspiera Izrael miliardami dolarów, a prezydenci USA ulegają żydowskiemu lobby, co niekiedy się zdarza, a niekiedy nie. Europa zdaniem Arabów jest nieco lepsza, choć Bogiem a prawdą mogłaby dla arabskiej sprawy zrobić o wiele więcej, np. ogłaszając bojkot Izraela, kraju (jak często mówią) apartheidu. Nie ma znaczenia, że obecne w Izraelu nierówności między Żydami a Arabami z apartheidem mają niewiele wspólnego.

Żydzi świeccy narzekają na Żydów religijnych, zwłaszcza ultraortodoksów (patrz C). Powodów jest wiele, szczególnie zaś takie: religijni biorą od państwa pomoc, wsparcie materialne, zasiłki. Z drugiej strony nie płacą podatków, nie służą w wojsku, niektórzy nie uznają nawet Państwa Izraela, gdyż – twierdzą – państwo żydowskie powstanie tylko wówczas, gdy nadejdzie Mesjasz, a to, co jest obecnie, to uzurpacja, bezbożność, erzac i hucpa (patrz H). Poznałem świeckich Żydów, którzy powiadają, że rola rabinów jest w Izraelu niemal tak wielka jak mułłów w krajach islamskich, co znaczy, że kraj zmierza prostą drogą w kierunku dyktatury i teokracji. Oraz że chasydzkie dwory, ultraortodoksyjne dzielnice, jak jerozolimska Me'a Sze'arim lub Bene Berak pod Tel Awiwem, to siedlisko ciemnoty, zacofania, brudu, nędzy na własną prośbę (w chasydzkich rodzinach pracują prawie wyłącznie kobiety, mężczyźni studiują religię), wyzysku kobiet i nadużyć seksualnych.

Ciekawe – nie spotkałem zbyt wielu izraelskich Arabów narzekających na izraelskich mułłów, z wyjątkiem kilku wolnomyślicieli, lecz ci – być może – narzekali z powodów osobistych, obłożeni fatwą, akurat w Izraelu mało skuteczną. Za to urągających mułłom Palestyńczyków – przeciwników Hamasu – poznałem całkiem sporo.

Dla równowagi – religijni Żydzi, zwłaszcza ultraortodoksi, narzekają na świeckich. Bo bezbożni, nie przestrzegają Prawa, tacy z nich Żydzi nie-Żydzi, niemowlęta – jak twierdzą – skradzione przez gojów. Gdy w 2010 r. izraelska marynarka zatrzymała Flotyllę Wolności, na ścianach domów w Me'a Sze'arim pojawiły się plakaty: „Syjoniści to nie Żydzi, tylko bandyci”, „Precz z Izraelem”. Gdy wiele lat temu w ulicznym zamieszaniu z policją zginął młody chasyd (wywrócił się i nieszczęśliwie uderzył głową w krawężnik), wystawiono mu tablicę – oskarżenie „syjonistycznego, faszystowskiego Państwa Izraela”. Zresztą napisów, że jakiś Szmul lub Dawid jest gorszy od Hitlera, w Me'a Sze'arim jest całkiem sporo i nie wiadomo, czy Szmul lub Dawid to chasydzi, czy może świeccy.

Przed wyborami przywódca skrajnie prawicowej, religijnej partii Szas Żydów sefardyjskich ogłaszają, że jeśli jakiś Żyd głosuje na Beteinu Israel, równie prawicową partię świeckich Żydów

rosyjskich, popełnia grzech śmiertelny. Dlatego że Beteinu Israel żąda wprowadzenia ślubów cywilnych (instytucji w Izraelu nieznannej, więc Żydzi pragnący zawrzeć związek cywilny biorą ślub na Cyprze, bo najbliżej) oraz tego, by supermarkety były otwarte w soboty, czyli namawia do występku przeciwko świętości szabat (patrz S). Ale też pojawiła się w Izraelu pewna partia (założona przez Żyda z Węgier i swego czasu całkiem wpływowa), która biadoląc nad żydowską ciemnotą, żądała oficjalnego zniesienia szabat i koszeru (patrz K). Natomiast pewien minister rodem z byłego imperium rzekł mi kiedyś po rosyjsku z moskiewskim akcentem: „Wiesz, co to Izrael? To »jewrejskij bardak« [żydowski burdel]. Tak się nie da. Nam potrzebny porządek”.

Jedna z najpiękniejszych ulicznych awantur, jaką kiedykolwiek oglądałem, wybuchła (trudno o lepsze słowo) między moim przyjacielem Urim a przypadkowym chasydem na drodze wyjazdowej z Jerozolimy. Było piątkowe przedpołudnie – czas, gdy Izraelczycy, zwłaszcza religijni, zmierzają do domów świętować szabat. Zatrzymaliśmy się na czerwonych światłach i wtedy ów chasyd podszedł do samochodu, pytając, gdzie jedziemy. Uri, bez żadnego wstępu, wydarł się na niego, bluzgając od nierobów, żebraków, wałkoni i darmozjadów. Chasyd odszczeknął się, że nie znosi gojów, zwłaszcza tych żydowskich, a kara boska spadnie na Uriego bez dwóch zdań. I wnet wrzeszczała na siebie cała ulica – z jednej strony kierowcy, przede wszystkim świeccy, z drugiej chasydzi w czarnych chałatach i wielkich kapeluszach.

XXX

Jedni i drudzy biadolą na żydowską głupotę. Dawid z Jerozolimy, chasyd i uliczny naciągacz (patrz C), opowiadał mi, że jeden głupi Żyd to nieszczęście, dwóch głupich – to dramat dla świata, a w Izraelu są tych głupich Żydów tysiące. Jego słowa – choć nigdy się nie widzieli – powtórzył pewien Chaim z Hajfy, prawnik. Szło mu o stosunek Izraela do Palestyńczyków, głupi i jego zdaniem samobójczy na długą metę.

W opinii Dawida i Chaima była nić wspólna – przekonanie, że wszyscy ludzie na świecie mogą być głupi, lecz nie Żydzi, zwłaszcza w Izraelu, gdyż na głupotę nie pozwala Żydom historia, teraźniejszość i przyszłość oraz geografia.

Symbolem żydowskiej głupoty bywa dla niektórych Mosad (patrz M), służba wywiadowcza uważana, poza Izraelem i nie bez racji, za najlepszą na świecie. Dla Żydów Mosad jest głupi, bo nic nie umie przewidzieć. Nie przewidział wybuchu pierwszej i drugiej intifady (patrz I). Nie zapobiegł ofiarom śmiertelnym na statkach Flotyli Wolności; izraelscy komandosi zabili w samoobronie dziewięciu tureckich aktywistów propalestyńskich. Nie umie zapobiec atakom raketowym ze Strefy Gazy. Co nie przeszkadza mu w tym, by wyciągać z budżetu miliony dolarów potrzebne np. na szkolnictwo (biadolenie nad stanem izraelskich szkół jest absolutnie nadzwyczajne).

Arabowie zaś, szczególnie świeccy, narzekają na Mosad – podobno emanację żydowskich talentów do knucia i konspiracji, która zawsze przynosi opłakane skutki. Mosad – opowiadał mi Said Kaszua – wykombinował, że najlepszą odpowiedzią i skuteczną tamą dla palestyńskiego nacjonalizmu będzie religia. Tak stworzył (z początku za własne pieniądze) Hamas, a w arabskich miasteczkach w Izraelu pojawili się brodaci mułlowie, religia, która wmaszerowała do niegdyś świeckich szkół, zmienia świeckie obyczaje. Efektem żydowskiej konspiracji kierowanej przez

Mosad jest islamizm, jeden z największych wrogów Izraela i wolnego świata. Z opinią Saída zgadza się wielu moich żydowskich przyjaciół.

XXX

Latem 2011 r. Izrael zaczął narzekać na ceny twarożku oraz wynajmu i kupna mieszkań. Na bulwarze Rothschilda w Tel Awiwie wyrosło namiotowe miasteczko biadolących. Wnet protest przerodził się w największe marsze uliczne, jakie kiedykolwiek widział Izrael; w niespełna ośmiomilionowym kraju protestowało kilkaset tysięcy obywateli. Demonstrowano w Tel Awiwie, Be'er Szewie, Jerozolimie, Hajfie, a nawet w małych miasteczkach na pustyni Negew. Marsze zjednoczyły starych i młodych, syjonistów i antysyjonistów, lewicę i prawicę, a nawet – choć w mniejszym wymiarze – Żydów i izraelskich Arabów.

Wnet się okazało, że twarożek to tylko pretekst. Demonstranci oficjalnie odżegnywali się od polityki, a jednak marsze były czysto polityczne. Protestowano przeciwko elicie politycznej i stanowi państwa, żądano lepszej edukacji, zabezpieczeń emerytalnych i poprawy służby zdrowia. Zasypania nierówności społecznych, sprawiedliwszego podziału dochodu narodowego, lepszej i efektywniejszej polityki zagranicznej, prawdziwego udziału w demokracji. Etgar Keret (patrz K) powiedział mi, że podczas marszów Izrael postawił na rewolucję moralną. Biadolenie i narzekanie zamieniło się w pozytywny (mimo że amorficzny i anarchizujący) ruch ludzi uśmiechniętych, na okoliczność protestu właśnie, który u podstaw miał marzenie o Izraelu szczęśliwym i sprawiedliwym, Izraelu dla Żydów i dla Arabów, o Izraelu jak z nadziei pierwszych syjonistów. Demonstracje sprawiły, że Izraelczycy stali się najzwyczajniej lepsi. Być może na chwilę, a może na długo. W tak biadolącym Izraelu chce się po prostu żyć i działać.

XXX

Przeciwieństwem biadolenia jest radość. Żyd zadowolony to szczęście stuprocentowe, zaraźliwe, szczęście tak pełne, jak pełna jest żydowska krzywda. Nie chodzi tu tylko o tańce chasydów przekonanych, że tak zbliżają się do Boga. Chodzi po prostu o szczęście.

Nie napiszę niczego więcej ponad to, co przed wielu laty, gdy Izrael był biedny, mniej podzielony wewnętrznie i tak samo otoczony arabskim morzem, pewien stary rumuński Żyd z miasta Aszdod miał do powiedzenia Amosowi Ozowi (patrz O) i co Oz zanotował w wielkiej, choć skromnej objętościowo książce „Na ziemi Izraela”.

„Widziałem Hitlera, widziałem Stalina, może pan za młody, widziałem bestialstwo gojów. Potem, już później, mieszkałem kilka lat w Paryżu; tam z pewnością nie jest raj: ludzie tam bardzo samotni. Zarabiają może na utrzymanie, ale to nie jest życie. Mam na myśli tamtejszych Żydów, ale też gojów. Tutaj jest takie sobie życie, średnie, ale naród jest zawsze razem. Nie myślę o polityce, kłótniach. Myślę o życiu. Żyje się tutaj cały czas razem; razem kłopoty, razem szczęście. Pamiętasz pan europejski konkurs piosenki? Wszyscy płakali ze szczęścia, kiedy Żydzi zwyciężyli gojów; sefardyjczycy, aszkenazyjczycy, religijni, Likud, kibucniki, wszyscy poczuli wspólnotę. Albo na przykład ci, co zginęli w wojnie w Galilei: też wszyscy nad nimi wspólnie płakali. Nie mówię...

oczywiście są nicponie, nawet oszuści, są niewykształceni, ale to mniejszość... Wiesz pan, co ja sądzę? Że każdy jest dobry. Begin jest dobry. Peres jest dobry. Rabin jest dobry. Oczywiście Jego Ekscelencja prezydent jest dobry... Wszyscy chcą, żeby było dobrze. Wszyscy oddają krajowi coś ze swojego życia. Powinni zyskać za to szacunek... Kłóć się? To się pogodzą. Co do mnie, ja jestem za każdym. Widziałem już na własne oczy, co mają goje, a co my. Państwo Izrael – wspaniała rzecz! Wielu gojów mówi nam nawet »Brawo«! Wiesz pan, o czym marzę? Powiem panu. Może jesteś pan za młody, ale i tak panu powiem. Moim marzeniem jest, zanim dokonam żywota, żeby dali mi w telewizji dwie minuty w piątkowy wieczór, kiedy wszyscy oglądają telewizję, a ja wtedy powiedziałbym młodym ludziom to, co każdy powinien tu powtarzać we dnie i w nocy, powinien dziękować Bogu za wszystko, co mamy w tym kraju: za wojsko, za ministrów w Knesecie, za linie El Al, nawet za podatek dochodowy, ulice, kibuce, za wszystko! Zapomnieli, jak było w tym kraju na początku? Niczego nie było! Piasek i wrogowie! Teraz, dzięki Bogu, mamy państwo, a każdy ma jedzenie, ubranie i wykształcenie... Może jeszcze za mało tego wykształcenia... Mamy nawet mnóstwo luksusów! A co mieliśmy w diasporze? Mieliśmy bubkes [w jidysz: wielkie nic], ot co! To ogromny sukces narodu żydowskiego, że tak wiele i tak szybko dokonał w tym kraju! Wbrew wszystkim cures [kłopoty]! Teraz tylko wszyscy Żydzi, którzy mieszkają w Ameryce, Francji, Rosji, nawet u Chomeiniego, powinni szybko tu wracać, wszyscy Żydzi powinni być u siebie w domu... Ale ta dzisiejsza młodzież widzi tylko dziury, nie widzi sera... Nie martw się pan!” (przeł. Monika Czerniewska).



Od tamtej rozmowy Oza z rumuńskim Żydem zmienił się i Izrael, i Izraelczycy. Ci, którzy widzą tylko dziury, rzekną, że na gorsze. Ci, którzy dostrzegają ser, powiedzą, że na lepsze. Łojojoj jednych i drugich niesie się nad Izraelem, pewnie głośniejsze niż kiedyś. A może zawsze jest tak, że aktualne narzekanie słyhać lepiej niż dawne biadolenia.

Ale można się również cieszyć w Izraelu. Po żydowsku, więc pięknie.

# M

---

## Masada

Twierdza na płaskowyżu położonym 400 metrów nad Morzem Martwym założona za czasów antycznych, romantyczny symbol żydowskości, męstwa i gotowości do poświęcenia życia, gdy idzie o godność, honor, dobrowolne wybranie śmierci po to, by przyszłe pokolenia miały w co wierzyć i skąd czerpać wzór.

Do ruin można się wdrapać – droga wiedzie wytartą w piargach ścieżką, wokół suchość doskonała, ani źdźbła trawy – chyba że mamy najkrótszy na świecie początek wiosny, gdyż na zboczach Masady jest tylko upalne lato, gorące lato i lato nie do zniesienia (patrz U). Poniżej – tafla



Morza Martwego, nieruchoma, choćby w górze wiatr urywał głowę, gładka i ciężka od soli (patrz D).

Można też wjechać kolejką. Warto, bo widok zapiera dech.

Początki Masady sięgają ostatnich dziesięcioleci przed naszą erą; chował się tam król Judei Herod umykający przed Partami. Zbudował mury, wieże obronne i zbiorniki na wodę. Wyposażył Masadę w magazyny zdolne przechowywać żywność, co czyniło zawieszoną w górach twierdzę miejscem nie do zdobycia.

Była Masada strażnicą rzymskich pograniczników. Podczas powstania żydowskiego zajęli ją zeloci; wojownicy nieustraszeni i religijnie fanatyczni, ich walka miała przyspieszyć nadejście Mesjasza, a poddanie się niewoli oznaczało zdradę Boga.

Twierdzę, jeden z ostatnich punktów żydowskiego oporu, szturmował Flawiusz Silwa, przewodząc kilkunastotysięcznym kohortom. Niewolnicy sypali ziemną skarpe, by rzymscy żołnierze mogli dostać się do murów. Masady bronił Eleazar ben Jair, ostatni przywódca żydowskiego zrywu. Uznał, że walka nie skończy się zwycięstwem. Triumf przyniesie tylko symbol.



*M jak Masada – Obok ruin żydowskiej twierdzy jest też klasztor*

Ponoć – wedle Józefa Flawiusza, historyka owego czasu – to Eleazar namówił obrońców Masady do krwawej samoofiary. Każdy z mężczyzn zabił swoją żonę i dzieci. Następnie dziesięciu wyznaczonych zelotów zabiło resztę wojowników. Około tysiąca mieszkańców skoczyło w okoliczne przepaście. Pozostawiono magazyny pełne jedzenia i zbiorniki wypełnione wodą, by Rzymianie wiedzieli, że nie zdobyli twierdzy pragnieniem i głodem. Ocalały tylko dwie kobiety i pięcioro dzieci schowani w podziemiach twierdzy. Cesarz Wespazjan ogłosił, że ziemia Żydów jest jego prywatnym lennem. Legenda obrońców Masady poszła w świat razem z żydowskimi uchodźcami wygnanymi z Palestyny.

Izrael odkurzył legendę Masady. W narodowej mitologii jej obrońcy stawiani są na równi z bohaterami Żydowskiej Organizacji Bojowej walczącymi w wileńskim, białostockim, a przede wszystkim warszawskim getcie. Symbolizuje heroiczny opór, walkę do końca, ostateczne poświęcenie, gdy sprawa jest świętsza niż życie, opór zakończony śmiercią oznacza zaś ocalenie. Izraelscy rekruci – 19-letni dziewczynki i chłopcy – składają w ruinach twierdzy przysięgę wojskową. Powtarzają słowa: „Masada nigdy już nie padnie”.

## **Moszaw Band**

Polecił mi je młody sprzedawca w sklepie z płytami przy głównej ulicy ultraortodoksyjnej dzielnicy Jerozolimy (patrz J) Me’a Sze’arim. W sklepie kręcili się chasydzi (patrz C), chłopak miał na głowie czarną kipe, mówił po angielsku jak rodowity Amerykanin i zapewniał, że muzyka Moszawów będzie się podobać. Miał rację, bo grają pięknie: trochę folku, trochę klezmerstwa, gitara jak z hard rocka, bębny tak samo, usłyszeć można falowanie z Jamajki.

Gdy próbuję słuchać Moszawów z moimi izraelskim przyjaciółmi, dostają gęsiej skórki. Nie wszyscy, ale całkiem sporo, a to ze zgrozy. Moszaw Band to dla nich goście ze znakiem zapytania, nawiedzeni, lecz inaczej niż rockmani.

Urodzili się w Izraelu; rodzice przyjechali z USA w czasie wojny Jom Kippur (patrz W), czyli w czasie patriotycznego wzmożenia. Autentycznego, gdyż – jak podczas każdej wojny – ważył się wówczas los żydowskiego państwa. Byli religijnymi syjonistami, ale też Amerykanami, więc przywieźli ze sobą płyty Boba Dylana, Van Morrisona, Neila Younga.

Kapela – bracia Jehuda, Josef i Meir Solomonowie plus sąsiedzi – zawiązała się w wiosce Meor Modi'im, moszawie, czyli swoistej spółdzielni rolnej położonej między Jerozolimą a Tel Awiwem. To osada muzyków za sprawą rabina Szlomo Carlebacha, który sam grywał z wielkim powodzeniem.

Carlebach należał do dworu Lubawiczów, ortodoksyjnej wspólnoty chasydów z okolic Smoleńska, dworu zamożnego, dynamicznie rozwijającego się i prowadzącego działalność misyjną. Chabad Lubawicz liczy ponad ćwierć miliona wyznawców, główną siedzibę ma w USA, utrzymuje synagogę przy Piątej Alei. Kiedyś nie uznawał Państwa Izraela, dzisiaj – wręcz przeciwnie.

Ostatni przywódca sekty, rabin Menachem Mendel Sznerson, w przeciwieństwie do swojego teścia, ojca teścia, dziadka itp., przed śmiercią nie wyznaczył następcy. Podobno ma powrócić. Jego zdjęcia – oblepiają mury izraelskich miast, kierowcy wkładają je za szyby publicznych autobusów niczym nasze święte obrazki, chasydzi rozdają je na ulicach jak ulotki reklamujące supermarkety – są wszędzie.

Rabin Carlebach był duchowym przewodnikiem Moszaw Band; bracia Solomonowie grają również jego muzykę, np. wspaniałą song „Higher and Higher”. Musiał być rabinem niezwykłym, słuchał rocka, rozmawiał z hipisami jak misjonarz szukający zbłąkanych owieczek. Mamy w Polsce zespoły grające tzw. chrześcijańskiego rocka, które przy okazji są nader patriotyczne. Moszaw to rock judaistyczny i narodowy.

XXX

Pierwszy raz wystąpili publicznie w 1996 r., w moim ulubionym jerozolimskim klubie Mike's Place. To miejsce tak amerykańskie jak amerykańska jadłodajnia w Teksasie i tak żydowskie jak wierząca Jerozolima. Słuchali ich studenci Uniwersytetu Hebrajskiego i religijnych jesziw, przede wszystkim przybysze z oceanu. Sukces stuprocentowy.

Nagrali kilka płyt, muzycznie znakomitych. Jeździli w trasy koncertowe, głównie po Izraelu i Stanach. Brali udział w największych imprezach muzycznych, które miały rozbudzić i pobudzić żydowskiego ducha, np. Israeli Block Party, Northern American Jewish Renewal. Wyglądają jak najprawdziwsi rockmani, ale noszą kipy. Muzyka Moszaw Band jest do przyjęcia zarówno przez religijnych Żydów, jak i przez syjonistów, pod warunkiem że z prawej strony.

Rozpadli się, lecz nie przez konflikty osobiste. Kapela w dalszym ciągu gra, tyle że w Los Angeles. W niepełnym składzie; ktoś został w Izraelu, ktoś inny poświęcił się studiom religijnym.

XXX

Niektórzy moi izraelscy znajomi mają z Moszaw Band kłopot. Wynika on z tekstów ich piosenek. Za dużo w nich – powiadają – syjonizmu i religii. A możliwe jest nawet, że poza tym nie ma nic innego.

Jedna z najpiękniejszych piosenek kapeli to „Eliyahu Hanavi”; muzyka folkowa, słowa zaczerpnięte z pieśni śpiewanej podczas Paschy. A idzie mniej więcej tak: „Eliasz – prorok, Eliasz – powracający przybysz, Eliasz – Galilejczyk, będzie z nami wnet, razem z Mesjaszem, Mesjaszem, synem Dawida”. Inne opowiadają o Izraelu, Ziemi Obiecanej, przynależnej Żydom z boskiego życzenia. Tytuły: „Nie poddawaj się”, „Wyżej i wyżej”, „Powróć znów”, takie niby-zwyczajne, ale w narodowym izraelskim kontekście już nie bardzo. Jedną z płyt grupa zadedykowała ofiarom arabskiego terroru.

Tak więc wielu moich przyjaciół nie słucha Moszawów z zasady i w imię własnych politycznych poglądów, podobnie jak kapel pokrewnych, np. Soulfarm z Nowego Jorku, bardziej znanej w Jerozolimie niż na Broadwayu. A mnie tam ich muzyka się podoba, tekstami zaś nie umiem zbyt wiele przejąć.

XXX

W sklepie w Me'a Sze'arim, gdzie płyty Moszawów sprzedawane są na pniu, za żadne pieniądze nie kupi się niczego, co wyszło spod ręki Balkan Beat Box, izraelskiej kapeli, którą z pewnością zna cały muzyczny świat. W Izraelu o niebo popularniejsi niż bracia Solomonowie, w USA i w Europie tak samo. W Polsce zagraли podczas Festiwalu Kultury Żydowskiej odbywającego się na krakowskim Kazimierzu. Mogliby zagrać na każdym innym z równym powodzeniem.

BBB to antyteza Moszawów. Kapela powstała w Nowym Jorku, założyli ją Ori Kaplan i Tamir Muskat, znani już z innych alternatywnych, folkowo-punkowych projektów, np. Gogol Bordello,

którym zachwyciła się Madonna. Chłopaki znali się od szczeniaka. Kaplan grał na klarncie muzykę klezmerską, Muskat walił w bębny w zespole punkowym. Zrazu czepiali się różnych muzycznych trendów. Wreszcie wymyślili własny.

Ich muzyka jest jak Izrael, ale ten otwarty, gotowy na spotkanie z innym – wrzący kociołek nut zaczerpniętych od kapel klezmerskich, z ukraińskich, mołdawskich przyśpiewek, ludowych dźwięków krajów Morza Śródziemnego i Bałkanów, z arabskiego zawodzenia; od czasu do czasu śpiewają po arabsku, podobno bez obcego akcentu. Inspirację czerpią z karaibskiego reggae, za muzyczne autorytety mają jazzowego saksofonistę Charliego Parkera, francuskiego Algierczyka Rachida Tahę śpiewającego zbuntowaną muzykę rai z muzułmańskich przedmieść Paryża i alterglobalistę Manu Chao. Dużo instrumentów dętych, białych głosów, perkusji. Eksperyment goni eksperyment, pojawia się wygłup, żart i arytmiczne nowatorstwo, a i tak muzyka BBB zmusza nogi do tańca. Śpiewają o pokoju, miłości, o tym, że ludzie są sobie równi, a polityka to suka, co zwłaszcza po arabsku w żydowskich ustach brzmi prowokacyjnie. Za to ich lubią. Shantel, producent płyt BBB, nagrał kiedyś piosenkę o tym, że wojna wszędzie, a to dlatego, że na świecie, więc i w Izraelu, za mało seksu. Patrząc na piękne dziewczyny, ubrane (rozebrane?) do granic nieprzyzwoitości, chodzące po telawiwskich bulwarach, na równie pięknych, czarnowłosych chłopaków, zawsze zdawało mi się, że nie trafił z diagnozą.

Moszaw Band bywa dostojny i z pewnością jest poważny. BBB to zabawa, braterstwo, wspólnota otwarta na każdego. Mam wszystkie płyty jednych i drugich.

## **Mosad**

Mosad to w pełnym brzmieniu Instytut Wywiadu i Zadań Specjalnych. W Izraelu szanowany umiarkowanie; często jest przedmiotem żartów (w typie PRL-owskich dowcipów o milicjantach), kpin oraz pretensji, słusznych i niesłusznych.

Gdy coś idzie pod górkę, dzieją się rzeczy nieprzewidziane, izraelska ulica pyta: „Za co biorą miliony dolarów ci goście z Mosadu?”. Tak np. pytano, kiedy żydowscy komandosi zatrzymali na otwartym morzu prohamasowską Flotyllę Wolności. Nie ma wątpliwości, że skutecznie – Flotylla nie dopłynęła do Gazy – tyle że w akcji zginęło dziewięciu tureckich aktywistów islamskich, a świat oburzył się na brutalność Izraela. Słusznie, choć prawda jest również taka, że jeśli ktoś atakuje komandosów łańcuchami i nożami, musi wiedzieć, że to nie przedszkolanki, lecz ludzie wyszkoleni w zabijaniu. Jakkolwiek by było, Mosad zebrał baty, bo nie poinformował (albo opinia publiczna nie wiedziała, a to już akurat nie wina Mosadu) o nożach i łańcuchach.

Tak więc w Izraelu z Mosadu się śmieją. Na świecie uważany jest za najskuteczniejszą służbę wywiadowczą i specjalną.

**XXX**

Instytut powołano już w 1949 r. Miał pozyskiwać wiadomości wojskowe i polityczne dotyczące głównie ościennych krajów arabskich. Szybko się okazało, że Mosad będzie wykorzystywany również do innych zadań specjalnych i będzie wspomagał się agentami szkolonymi w Izraelu, ale też – ochotnikami, członkami diaspory żydowskiej.

W 1960 r. Mosad porwał z Argentyny hitlerowskiego zbrodniarza wojennego, organizatora „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” (patrz S), Adolfa Eichmanna ukrywającego się pod nazwiskiem Ricardo Klement. Zrobiło to pięciu agentów przerzuconych do Buenos Aires. Eichmanna namierzono na podstawie informacji argentyńskich Żydów, w identyfikacji pomogły zdjęcia z obozów koncentracyjnych. Agenci uśpili Eichmanna, przebrali w mundur izraelskiego pilota i załadowali na pokład rejsowego samolotu El Al, którym wcześniej przyleciał do Argentyny izraelski polityk. Argentyna uznała akcję za naruszenie suwerenności. Oburzyła się Rada Bezpieczeństwa ONZ. Eichmann został skazany w Jerozolimie na karę śmierci.

Pięć lat później w Urugwaju Mosad zabił łotewskiego zbrodniarza i nazistowskiego kolaboranta Herbertsa Cukursa odpowiedzialnego za mordy w ryskim getcie. Przed wojną Cukurs był znanym lotnikiem sportowym.

U schyłku lat 60. Mosad przejął płynący z Antwerpii do Genui statek z tlenkiem uranu koniecznym do produkcji bomby atomowej. Operacja „Plumbat” była całkowicie sprzeczna z prawem międzynarodowym. Pozwoliła stać się Izraelowi nuklearną potęgą. Wyszła na jaw, gdy w Norwegii aresztowano jednego z agentów izraelskiej służby.

Mosad asystował przy potajemnej wywózce marokańskich Żydów do Izraela w drugiej połowie lat 60. Organizował operację „Mojżesz” – sekretną emigrację Żydów etiopskich w 1984 r. Wspomagał Żydów w byłym ZSRR. Odpowiadał za odbicie zakładników – pasażerów porwanego samolotu Air France – z ugandyjskiego lotniska Entebbe (patrz E).

W 1972 r. we Francji Mosad zastrzelił kilku palestyńskich działaczy. Np. dr Mahmud Hamszari był współodpowiedzialny za mord na izraelskich sportowcach podczas olimpiady w Monachium (operacja „Gniew boży” osobiście zatwierdzona przez premier Goldę Meir; z organizatorów zamachu dokonanego przez palestyńską organizację Czarny Wrzesień ocalał tylko Abu Daud; przeżył strzelaninę w hotelu Victoria w Warszawie). Siedem lat później agenci Mosadu zniszczyli w Tulonie elementy irackiego reaktora nuklearnego. Reszty dokonał rajd lotniczy na miejscowość Osirak w 1981 r., gdzie znajdował się reaktor jądrowy.

W Grecji zabito innego z przywódców Czarnego Września, Ziada Muchasiego. W Bejrucie Mosad zastrzelił Abu Jusufa i dwóch innych działaczy (agenci byli przebrani za kobiety), a kilka lat później – Alego Hassana Salameha, mózg organizacji, pomysłodawcę monachijskiego ataku. Na pogrzebie Salameha demonstracyjnie pojawił się Jaser Arafat.

W Tunisie Mosad zabił Abu Dżihada, szefa operacji wojskowych Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Na Malcie zaś – Fathiego Szikaki, lidera radykałów z Islamskiego Dżihadu.

Z rąk Mosadu ginęli działacze Hamasu i Hezbollahu, charyzmatyczni duchowni islamscy wzywający do świętej wojny, naukowcy pracujący nad irańskim programem jądrowym. W Belgii zginął kanadyjski inżynier Gerald Bull, specjalista od balistyki pracujący nad irackim superdziałem zdolnym do wystrzelania pocisków na tysiące kilometrów.

XXX

O tej części Mosadu – zwanej Kidon, czyli Bagnet – nie wiadomo nic lub prawie nic. Nikt się

nie przyzna, że takie coś istnieje. Nawet izraelska prasa, opisując Kidon, powołuje się tylko na doniesienia innych tytułów. Głębszych źródeł nie ma lub prawie nie ma.

Członkowie formacji wywodzą się wyłącznie z oficerów operacyjnych Mosadu, lecz z chwilą powołania z resztą służby nie mają nic wspólnego. Mają obóz szkoleniowy gdzieś na Negewie (patrz P), przechodzą bardzo specjalistyczny trening, łącznie z psychologicznym; każdy funkcjonariusz Mosadu może zawsze prosić o poradę psychologa, ale w Kidonie taka opieka jest obowiązkowa. Członkowie Kidonu podpisują bardzo krótkie kontrakty o pracę ze względu na napięcie i stres. Działają w kilkusobowych grupach. Jest ich raptem kilkudziesięciu, kobiety i mężczyźni. Niekiedy pracują jak zwyczajni agenci. Lecz każda akcja specjalna Kidonu musi mieć akceptację premiera. Media na świecie nazywają ich „komandem zabójców”.

Jeśli ginie gdzieś na świecie wróg Izraela, z automatu odpowiedzialny jest Kidon; tak informują gazety w Europie, USA i nawet Izraelu. W rzeczywistości – napisał Yossi Melman, dziennikarz śledczy niezależnego dziennika „Haarec” (tekst z 2010 r.) – „w ostatnich 14 latach Mosad próbował zabić lub zabił następujących ludzi: Fathiego Szikaki z Islamskiego Dżihadu, Chaleda Meszala z Hamasu i Imada Mugniję z libańskiego Hezbollahu”. Melman dodaje, że są najpewniej i takie zabójstwa, o których opinia publiczna nie ma do dzisiaj zielonego pojęcia.

\*\*\*

Wpadki Mosadu to ulubione tematy izraelskiej (i nie tylko) prasy. Nie ma się co dziwić; jeśli Mosad wpada, to tak, że błoto z kałuży ochlapie wszystkich. I nie chodzi tu o zawalenie akcji, jak warszawskiego zamachu na Abu Dauda. Wpadka Mosadu musi być spektakularna i po całości.

Np. przed rewolucją ajatollahów Mosad organizował i szkolił irańską policję polityczną SAVAK. Można zrozumieć, dlaczego Izrael szukał w szachu Rezie Pahlawim regionalnego sojusznika, lecz pomoc SAVAK-owi to jakby nasza pomoc enerdowskiej Stasi lub rumuńskiej Securitate.

W 1973 r. komando Kidonu zastrzeliło w Lillehammer marokańskiego kelnera Ahmeda Busziki, biorąc go omyłkowo za Alego Hassana Salameha z Czarnego Września (to inne komando niż sfilmowane przez Stevena Spielberga w filmie „Monachium”); jedna z agentek oponowała, twierdząc, że Marokańczyk nie jest ściganym Palestyńczykiem. Busziki wracał z kina w towarzystwie ciężarnej żony.

Dzień po zabójstwie norweska policja aresztowała dwóch zamachowców posługujących się sfałszowanymi kanadyjskimi paszportami, a chwilę później kolejnych. Szef komanda uciekł. Najpewniej agenci posypali się w śledztwie, gdyż efektem zamachu była całkowita reorganizacja europejskiej siatki Mosadu. Izrael nigdy nie przyznał się oficjalnie do zamordowania Marokańczyka. Wyplacił jego rodzinie prawie 700 tysięcy dolarów odszkodowania.

W 1997 r. zamachowiec samobójca zabił w Jerozolimie 16 przechodniów. Ówczesny premier Bibi Netanjahu autoryzował operację przeciwko Chaledowi Maszelowi z Hamasu ukrywającemu się w Jordanii. Maszel został skaleczony igłą z trucizną, Jordańczycy aresztowali dwóch agentów, a sześciu innych zmusili do ucieczki na teren izraelskiej ambasady w Ammanie. Zaproponowano wymianę – Jordania pozwoli agentom wyjechać, a w zamian za to izraelski lekarz przywiezie



odtrutkę na truciznę. Z izraelskich więzień zwolniono duchowego przywódcę Hamasu, szejka Ahmeda Jasina (zginął później, namierzony przez Mosad i zabity samonaprowadzającą się rakieta), i grupę palestyńskich działaczy islamistycznych. Premier Netanjahu poleciał do Jordanii osobiście przeproszać króla Husajna. Nie uzyskał audiencji.

XXX

Za bezpieczeństwo wewnętrzne w Izraelu (patrz B) odpowiada Szin Bet, zwany też Szabakiem. Jego funkcjonariusze mówią, że są jak niewidzialna tarcza. Za główne zadanie ma walkę z terroryzmem. Jest skuteczny – każdego roku udaremnia setki zamachów.

Funkcjonariusze Szabaku ochraniający ambasadę Izraela w Warszawie dostarczyli do Izraela kopię słynnego raportu Nikity Chruszczowa z 1956 r. dotyczącego stalinowskich zbrodni. Schwytali na gorącym uczynku Izraela Beera, bliskiego przyjaciela Davida Ben Guriona (patrz B), który okazał się radzieckim szpiegiem. Podrzucili Egiptowi fałszywe dokumenty dotyczące izraelskich planów wojskowych, co umożliwiło błyskawiczne zwycięstwo w wojnie sześciodniowej (patrz W).

Jahja Ajasz, największy ekspert Hamasu od materiałów wybuchowych, zginął w zamachu zorganizowanym przez Szabak; w jego telefonie komórkowym wybuchła bomba.

Ale też izraelskie media często oskarżają funkcjonariuszy Szabaku o łamanie demokratycznych standardów. Bywa, że służba przegrywa procesy przed izraelskimi sądami, a nawet sądem najwyższym, oskarżana o niedozwolone metody przesłuchań (tortury fizyczne i psychiczne) i składanie fałszywych zeznań. W połowie lat 80. funkcjonariuszy Szabaku oskarżono o zamordowanie bez sądu dwóch palestyńskich terrorystów odpowiedzialnych za porwanie autobusu.

Największa wpadka Szabaku to dopuszczenie do zabójstwa premiera Icchaka Rabina (patrz R) przez żydowskiego radykała Igala Amira. Agenci śledzili Amira, znali jego poglądy i plany, lecz uznali, że nie jest żadnym zagrożeniem. Postawa Szabaku wywołała wiele spekulacji i była podstawą do mniej lub bardziej wiarygodnych hipotez zabójstwa. Szef służby musiał zrezygnować.

W 2003 r., czyli podczas trwania drugiej intifady (patrz I), czterech szefów Szabaku podpisało wspólny list do izraelskiego rządu wzywający do zawarcia pokoju i podpisania porozumienia z Palestyńczykami.

XXX

Izrael lubi oskarżać funkcjonariuszy tajnych formacji o to, że po odejściu ze służby tworzą w kraju coś na kształt nieformalnej sieci, wspierają się, obsadzają kluczowe stanowiska w biznesie, działają w polityce. Zdarza się, że taka teza znajdzie uzasadnienie w rzeczywistości; były dyrektor Szabaku został szefem jakiegoś banku, wysoki rangą oficer – przewodniczącym rady miejskiej podjeruzolimskiego osiedla, inni bywali kandydatami na ministrów. Publiczność zaciera ręce, gdy od czasu do czasu na światło dzienne wychodzą wynurzenia tajnych agentów o tym, jak zostali zrekrutowani, co musieli robić itp., itd.

Zdaje mi się, że nie znam nikogo z Mosadu, Kidonu ani Szabaku (choć tych ostatnich wielokrotnie

widziałem w pracy, chroniących izraelskich polityków). I raczej nie żałuję. A jeśli znam, nie mam o tym pojęcia.

## **Golda Meir**

Właścicielka pierwszego paszportu wydanego przez Izrael; wyjechała do USA organizować poparcie podczas wojny o niepodległość. Jedyna kobieta, której podpis widnieje pod deklaracją niepodległości (wspominała, że płakała wówczas jak bóbr).

David Ben Gurion (patrz B) mówił, że Golda jest jedynym mężczyzną w jego gabinetach (zajmowała się pracą i sprawami zagranicznymi). Była pierwszą kobietą premierem. Jest bohaterką kilku filmów fabularnych.

Urodziła się w Kijowie w 1898 r. Pierwsze wspomnienie dzieciństwa – ojciec barykaduje drzwi do domu, bo ulicami przetacza się antyżydowski pogrom. Emigruje do USA, ucieka od rodziców przed aranżowanym małżeństwem. Z Ameryki jedzie do Palestyny (1921 r.), mieszka przez kilka lat w kibucu, działa w żydowskim ruchu związkowym, robi karierę w polityce.

Byłem dzieckiem, gdy Golda Meir przewodziła izraelskiemu rządowi. Działo się to w czasie mało sympatycznym, bo tuż po 1968 r., antysemitycznej awanturze w Polsce. Nie wiem skąd, lecz pamiętam jej karykatury. Portretowano ją jak paskudną, zawziętą Babę-Jagę, w sukienkach workach, z wielkim nosem i zwariowanym spojrzeniem. W jakimś sensie była wdzięcznym obiektem dla karykaturzystów, bo ubierała się fatalnie i poruszała (wiem z filmów archiwalnych) bez grama wdzięku. Ale to były – akurat też pamiętam, co bez trudu potwierdziłem w bibliotekach, bo papier jest cierpliwy, zachowa każdą podłość – po prostu paskudne, antysemityczne rysunki.

To Golda Meir podjęła decyzję, by komando Kidonu (patrz M) wyszukało palestyńskich terrorystów odpowiedzialnych za mord na izraelskich sportowcach podczas olimpiady w Monachium w 1972 r. Stało się to najpewniej podczas tzw. herbatki u cioci Goldy, gdy najważniejsi w Izraelu spotykali się z panią premier w jej domu: luźne koszule, swobodne pozy, luz, dym papierosów, Meir podaje herbatę i ciasteczka.

Odeszła z fotela premiera po wojnie Jom Kippur (patrz W). Nim wojna wybuchła, miała do wyboru dwa sprzeczne wyjścia: prewencyjnie zaatakować Egipt i Syrię, bo szykują awanturę w regionie, lub czekać, bo Arabowie nie wywołają zawieruchy, a w razie ataku ucierpi międzynarodowa opinia Izraela. Wybrała drugi wariant. Kilkadziesiąt godzin później sąsiedzi napadli Izrael.

Dlatego po dziś dzień mówią o niej różnie: ta aszkenazyjska arystokratka, zdeklarowana syjonistka, wyniosła i oschła (choć na herbatkach troskliwa i miła), była złym premierem i kiepskim strategiem, a może popełniła tylko jeden błąd w politycznym życiu i potrafiła wyciągnąć z tego wnioski.

Lecz co do jednej rzeczy Izrael jest zjednoczony jak w żadnej innej sprawie. Powiedzenie „buty Goldy” weszło do codziennego języka. Oznacza coś obciachowego, brzydkiego, niemodnego i pewnie już nikt nie pamięta, że Golda Meir po prostu musiała nosić niezgrabne buty ortopedyczne. Lecz bez dwóch zdań były one koszarne.

---

## Nir Oz

W tym kibucu przez ostatnie kilka lat nie zdarzył się spokojny tydzień. Nir Oz leży w takiej odległości od Gazy jak Pałac Kultury od Dworca Centralnego. Dlatego od momentu wywiezienia ze Strefy żydowskich osadników w 2005 r., a zwłaszcza od wtedy, gdy radykalny Hamas przejął tam władzę – rakiety lecą na kibuc niemal codziennie. Domowej produkcji, więc, szczęśliwie, niecelne.

Co nie zmienia postaci rzeczy, że żyć w Nir Oz trudno (bo trudno wychodzić w pole, zbierać rzodkiewkę, marchew albo fistaszki ze świadomością, że się jest na celowniku snajpera) i czasami trzeba uczestniczyć w pogrzebach. Nie przeczytacie o tym w żadnej światowej gazecie, bo gazety nie portretują nudnej codzienności (jaka to sensacja, że pies ugryzł kogoś na ulicy, a samolot szczęśliwie doleciał z miasta A do B?), a sklecane przez domorośłych majsterkowiczów śmierci kassamy lecą i lecą.

Podobno do wszystkiego można przywyknąć. Ale z całą pewnością zmienia to ogląd świata. Nir Oz jest dzisiaj inny, niż był.

\*\*\*

Kibuc jest pomysłem tak żydowskim jak mało co, choć postulat równości, porzucenia tradycyjnych ról, zarówno społecznych, jak i związanych z płcią, wspólnej własności; słowem – zachęta do życia w braterstwie (siostrzeństwie) i pełen egalitaryzm nie są niczym szczególnym. Lecz w przypadku Izraela było to marzenie i utopijnie socjalistyczne, i nacjonalistyczne, że w rolniczej wspólnocie ludzi równych i z takimi samymi prawami można odszukać szczęście. Akurat z tym różnie bywało.



*N jak Nowe Dekalim – Latem 2005 r. osiedla w Gazie wysiedlono, a buldożery rozjechały domy i zdesakralizowane synagogi. Dzisiaj nie ma po nich śladu*

Naczelną zasadą kibucu jest równość i demokracja pojmowana jako bezpośrednie uczestnictwo we wszystkich decyzjach. Kibuc idealny głosuje, co ma uprawiać i kto będzie się kształcić, kogo przyjąć w poczet mieszkańców, a komu odmówić. Z tak pojmowaną równością łatwo przegiąć, więc przegięcia zdarzały się często; co społeczność kibucu obchodziło, że Sara kłóci się z Jossim? A jednak obchodziło. Kibucowe dzieci wychowywano wspólnie, więc bywało, że pękały rodzinne więzy, bo nie da się mieć kilkudziesięciu mamus i tyluż tatusiów. Lecz nie jest tak, by ludzie wychowani w kibucach byli pokręceni ponad średnią.

Izraelska prawica sztychowała kibuców. Lecz gdy zjeżdżały zagraniczne delegacje, prawica wiozła je do kibuców właśnie i z dumą wypinała pierś: zobaczcie, jak umiemy okiełznać pustynię. Przez lata było tak, że ekonomicznie kibuce działały, a i ludzie nie chcieli (Wstydzili się słabości? Nie umieli? Nie wiedzieli, jak się odnajdą?) z nich uciekać. Nie aż tak dawno temu Izrael przeszedł reformy gospodarcze, niemal tak radykalne jak nasz plan Balcerowicza. Okazało się, że ekonomią nie rządzi wola większości, więc kibuce zaczęły padać. Dziś, jak po każdym wstrząsie, uspokoiło się, niektóre wspólnoty radzą sobie dobrze albo nawet lepiej, a inne ledwie dyszą. Ale o ekonomii kibuców już

nie decyduje więc mieszkańców, a zarząd kibucu nie wtyka nosa w domowe kłótnie Sary i Jossiego.

XXX

Pierwszy kibuc powstał w Deganji nad Jeziorem Galilejskim w 1910 r. Dzisiaj jest ich w Izraelu ponad 200. Świeckie i religijne, lewicowe i ciut na prawo, zajmujące się wyłącznie rolnictwem (dzisiaj nieopłacalne), ale też produkcją przemysłową, a nawet tańcem nowoczesnym, jak kibuc Ga'aton, kiedyś wspólnota chłopów, a dzisiaj przede wszystkim tancerzy, zrzeszona w Kibbutz Contemporary Dance Company, jednym z najlepszych zespołów baletowych świata; o stypendia i prawo tańca w Ga'aton zabiegają w Japonii, USA, Europie.

W Ga'aton nadal hoduje się kury, a jak wiatr wieje od fermy, to śmierdzi kurzą hodowlą, jak śmierdzieć musi. Tyle że czas i okoliczności tak się zmieniły, że kiedyś rolnicy pomagali tancerzom, a dzisiaj tancerze utrzymują rolników, i całkiem nieźle im to wychodzi.

XXX

Początek Nir Oz, jak każdego innego kibucu, to bezwodna pustynia opodal Gazy zasiedlona przez kilku marzycieli. Zaczynali od lichych baraków i jednego czajnika na wodę. Przychodzili do nich arabscy sąsiedzi i mówili z pobłażliwością (ale też troską) w głosie: „Odejdźcie, tu nie wytrzymają nawet skorpiony”.

Zostali. Dziś mają hektary nawodnionych pól, krowy, namioty, gdzie rosną zioła, a kiedy rolnictwo zaczęło kuleć, zbudowali fabrykę farb. Nir Oz wygląda jak skromna, lecz zasobna wioska: szeregi równych domków, ogródki z kwiatami, zarośnięte krzewami alejki, stołówka dostępna dla wszystkich, sklep, gdzie można kupować na kreskę, kawiarnia z ogromnym telewizorem, przedszkole, szkoła, przychodnia zdrowia, boisko do koszykówki, basen. Od czasu awantur z Hamasem między domkami wyrosły schrony, a szkołę i przedszkole przykryły grube betonowe dachy chroniące przed kassamami.

Po latach siermiężnego dostatku kibuc ledwie przedł. Aż zaskoczyła fabryka farb i udało się spłacić kredyty. Płody rolne sprzedają nawet do Hiszpanii, gdzie przecież też wszystko rośnie. Być może młode, drobne ziemniaki dostępne w środku zimy w polskich delikatesach wyrosły właśnie na polach kibucu. Nir Oz stoi ekonomicznie całkiem nieźle, lecz to już nie ten sam kibuc co kiedyś.

XXX

Pozmieniało się również w głowach kibucników. Tak przynajmniej twierdzi Alex Dancyg, dwukrotnie wybierany na sekretarza kibucu, przewodził radzie rozstrzygającej o tym, kto pójdzie na studia do Jerozolimy, czy jakaś nowa rodzina może zamieszkać w Nir Oz albo gdzie leży wina w małżeńskim sporze. To, co wspólne, szło przed prywatnym i intymnym, a może nawet prywatnego i intymnego po prostu nie było.

Znikła dawna wspólnota. Ludzie zaczęli żyć bardziej dla siebie niż dla kolektywu, gotują w

domach, zamiast jeść we wspólnej stołówce, nie chce im się pracować w dni wolne ani razem wychowywać dzieci, co kiedyś było normą. Młodzi wyjeżdżają, nowi nie chcą przychodzić. Był nawet taki czas, gdy przez wiele miesięcy nie udawało się wybrać sekretarza. Kibucnikom przestało się chcieć, choć pokonali ekonomiczny krach. Z utopijnej komuny zrobiła się mniej więcej zwyczajna wioska (otoczona metalowym płotem, z zaorany wokół pasem ziemi, ale to inna historia), choć nadal jeśli jakiś kibucnik pracuje poza wspólnotą, oddaje zarobki do wspólnej kasy i dostaje kieszonkowe, takie jak wszyscy. Albo gdy chce pojechać z Nir Oz do Tel Awiwu, musi zapisać się na przydział kibucowego samochodu; prywatna własność jest ciągle mocno ograniczona.

XXX

Alex inaczej patrzy na świat. Kiedyś kibucnicy z Nir Oz szli w pierwszym szeregu demonstracji za prawami Palestyńczyków, ujmowali się za Beduinami, sprzeciwiali okupacji Zachodniego Brzegu (patrz Z). Teraz zdaje się twardszy – wszystko przez te rakiety i nieustanne zaczepki z Gazy, groźne, bo przecież kibuc nie wywoła prywatnej wojny.

Pojechaliśmy kiedyś w pole, tam gdzie rosną fistaszki. Minęliśmy grób młodego żołnierza zastrzelonego przez strzelca wyborowego ze Strefy. Na polu stały wysokie betonowe płyty. Po co? – spytałem, a Alex na to, że taka płyta jest świetną ochroną przed kulami. Rzut beretem od fistaszków, po palestyńskiej stronie granicy, stoi szkoła, ulubiona kryjówka snajperów. Czy gazety o tym piszą, czy nie, ze szkoły strzelają. Dlatego Alex już nie wierzy, że z Palestyńczykami można się dogadać.

## **Newe Dekalim**

Gdy pierwszy raz odwiedziłem Nir Oz, pojechałem też kilka kilometrów dalej, do Newe Dekalim, żydowskiego osiedla w Gazie, jednego z grupy osad zwanej Gusz Katif. Czas był szczególny; właśnie zapowiedziano ewakuację osiedli, a przez Izrael przewalały się demonstracje zwolenników i przeciwników opuszczenia Strefy.

Newe Dekalim – niby zwyczajna wioska (a może malutkie miasteczko), niczym Nir Oz, lecz różna od kibucu jak noc i dzień. Kibucnicy nigdy nie lubili osadników, i z wzajemnością. Pierwsi mieli tych drugich za darmozjadów (niesłusznie), ludzi zajadłych (raczej tak) i sprawców kłopotów Izraela (słusznie). Drudzy tych pierwszych za bezbożników (i tak, i siak, ze wskazaniem na tak) oraz oszalałych komuchów (nieprawda). Latem 2005 r. osiedla w Gazie wysiedlono, a buldożery rozjechały domy i zdesakralizowane synagogi. Dzisiaj nie ma po nich ani śladu, jeśli nie liczyć wysadzanych palmami dróg biegnących znikąd donikąd po suchych, pustynnych wydmach.

XXX

Przyszło mi do głowy, że zarówno osiedla, jak i kibuce były (i są) swoistą demonstracją izraelskiej mocy. Kibuce pokazywały siłę drzemiącą w idei syjonistycznej. Nawet prawica niechętna wspólnotowym mrzonkom potrafiła chwalić się kibucami.

Osiedla zaś to witryna siły państwa: bogate, nienaturalnie zielone, w kwiatkach, obsadzone palmami. Powstawały za rządowe pieniądze, pierwsze po wojnie sześciodniowej. W 1967 r. Izrael



uznał, że jest regionalnym gigantem, a coś, co było kiedyś jordańskim Zachodnim Brzegiem lub egipską Gazą (nigdy za arabskiego panowania nie były to ziemie pod państwową jurysdykcją Palestyńczyków, ani Egipt, ani Jordania nie chciały palestyńskiej niepodległości), to jądro biblijnej Ziemi Obiecanej, kraj oddany Żydom przez Boga przed tysiącami lat, choć w jakimś sensie frontowy, bo otoczony palestyńskimi miastami i wsiami. Jechali tam ludzie zdeterminowani (narodowo lub religijnie) albo po prostu biedni, bo w powstających osiedlach było po prostu taniej. Od 1967 r. nie ma roku, by nie powstało jakieś nowe osiedle, choć wiele z nich jest nielegalnych również z izraelskiego punktu widzenia. Lecz zdaje się, że mleko zostało rozlane. Osadników nie jest wielu, lecz gardlują tak głośno, że potrafią zakrzyczeć rozsądek każdego izraelskiego rządu.

Do każdej cegły w murze każdego białego domu i do każdej roślinki zasadzonej w namiotach chroniących uprawy przed słońcem Izrael dopłacał kilka szekli. Otaczały je zasieki z drutu ostrego jak żyłki, wieże strażnicze, pilnowało wojsko. Za płotami miały palestyńskie rudery; nigdzie indziej bezpośrednie sąsiedztwo dostatku i nędzy nie wydawało mi się tak krzyczące, choć to nie tak, że bogactwo osadników wynikało z wyzysku Palestyńczyków, a bieda arabskich wsi zależała tylko od żydowskiego otoczenia.

Oglądałem ewakuację osadników z Gazy. Było mi smutno, gdyż to żadna frajda patrzeć na ludzi, których wojsko wywozi z ich własnych domów. Ale z drugiej strony czułem złość, bo pierwszy raz widziałem taki spektakl. Osadnicy barykadowali bramy do osiedli. Gdy wojsko wkraczało do środka, podpalali kontenery ze śmieciami, opony, pojemniki z benzyną. Do chłopców i dziewczyn w mundurach krzyczeli: „Gestapo, jesteście gorsi od hitlerowców, Arabów!“. Niektórzy przyszywali do ubrań żółte gwiazdy Dawida, jak w warszawskim getcie, potrafili nadużyć każdy symbol i wykorzystać każdą pamięć. Wszystko na oczach kamer; wszak było to przedstawienie dla mediów, bo przecież każdy wiedział, że premier Ariel Szaron ostatecznie przypieczętował los osiedli.

Wcześniej opowiadano mi, że osadnicy są fanatykami. Wierzyłem, lecz nie miałem pojęcia o poziomie tego fanatyzmu. Przekonały mnie ostatecznie te żółte gwiazdy i okrzyki. Nienawiść na pokaz zmieniająca się w nienawiść prawdziwą. Aż dziw, że podczas ewakuacji kilkunastu tysięcy osadników nikt nie został poważnie ranny.

Zamknięcie epoki osiedli Gusz Katif kosztowało Izrael ciężkie miliony dolarów. W 2005 r. połowa kraju była przeciwko ewakuacji, a druga popierała decyzję rządu. Mówiono, że jednostronny gest to zachęta dla pokojowych rozmów. Autonomia Palestyńska musi to docenić.

Dziś znakomita większość Izraelczyków uważa, że Ariel Szaron pomylił się; tak myśli np. Alex z Nir Oz, który za osadników nie dałby złamanej szekli. Ewakuacja miała przybliżyć pokój. Dzisiaj do pokoju jest dalej, niż kiedy w Nowe Dekalim rosły malutkie, słodkie pomidory, a Gaza stała się ostoją islamskiego fanatyzmu, korupcji, nędzy i terroru, także (a może przede wszystkim) wobec Palestyńczyków.

Ci zaś, którzy nie chcieli oddawać Gazy, uznali, że wylew krwi do mózgu, po którym Szaron zapadł w śpiączkę, to kara za grzech porzucenia ziemi ofiarowanej Żydom przez Boga.

Rolnictwo było dumą osadników. Podobno w szklarniach Gazy rosły najlepsze pomidory na świecie. I jeszcze kabaczki, ogórki, cukinia, papryka, aromatyczne zioła. Do każdego krzaczką doprowadzano rurkę, z której tryskała woda. Sucha pustynia zamieniła się w niewiarygodnie zielony, wielki ogród przykryty foliowym dachem.

Gdy osadnicy wyjechali z Gazy, miasteczka zostały zburzone, a Arabowie – bywało – niszczyli nawet żydowskie cmentarze. Lecz nikt nie tknął foliowych namiotów; jeszcze przez dwa lata zbierano w nich wspaniałe warzywa, tysiące ludzi miało pracę. Aż nastał czas krwawego przewrotu zorganizowanego przez Hamas w 2007 r., a chwilę później zmiana porządków. Fachowców od uprawy pustynnych piasków zastąpili brodaci fanatycy. W kilka miesięcy zniszczono wszystko; najpewniej niespecjalnie, lecz dlatego, że mułła zazwyczaj tak zna się na pomidorach jak rolnik na prowadzeniu modłów. Instalacje wodne rozkradziono lub zasypał je piasek. Tam gdzie jeszcze niedawno było zielono, stoją hektary pociętych i rdzewiejących metalowych słupków, na których rozpinano foliowe dachy. Nikt – opowiadano mi w Gazie – nie odpowiedział za to barbarzyństwo.

# O

---

## Oz Amos

Gdy Etgar Keret (patrz K) służył w wojsku i w koszarach nudził się jak mops, postanowił zostać pisarzem. Swoje pierwsze opowiadanie włożył do koperty, nakleił znaczek i wysłał na adres „Amos Oz, Arad”. Arad to żadna metropolia, co nie oznacza – myślał Keret – że listonosze muszą wiedzieć, gdzie Oz mieszka.

A jednak po kilku dniach Etgar dostał odpowiedź zachęcającą do pisania. Bo w Aradzie każdy wie, gdzie mieszka Oz. W Izraelu Amos cieszy się sławą, jak gdyby był rockmanem, a nie pisał powieści, eseje i reportaże, czasami boleśnie trudne do przyjęcia, bo prawdziwe jak rana. Nie oszczędza Oz Izraela. Mówi, że to dlatego, że – jak prawdziwy syjonista – kocha swój kraj. W miłości nie przeszkadzają mu więc pryszcze na twarzy ukochanej. Lecz ani myśli o nich milczeć.

Oz to genialny pisarz, ale i autorytet moralny dla wielu Izraelczyków, choć znam takich, jak np. profesor Szalom Lindenbaum, największy specjalista od Brunona Schulza, którzy pewnego dnia odesłali Ozowi książki jego autorstwa, gdyż uznali, że Oz zdradza Izrael. Lindenbaum to radykalna prawica, obraził się nawet na swojego dowódcę z Irgunu Menachema Begina (patrz L), a to za pokój z Egiptem. A szło profesorowi o opinię, którą Oz głosi od izraelskiego zwycięstwa w wojnie sześciodniowej: okupowany Zachodni Brzeg to skarbonka, oddamy zajętą ziemię, którą zapłacimy Palestyńczykom za prawdziwy pokój. Dziwne, że imię profesora oznacza właśnie pokój, ale Szalom, jak się zdaje, pokoju nie chce (patrz P). Nie on jeden, niestety.



*O jak Oz Amos – Jest jedynym człowiekiem, jakiego znam, o którym krąży opinia, że w swoim ojczystym języku mówi i pisze za dobrze*

XXX

Oz jest jedynym człowiekiem, jakiego znam, o którym krąży opinia, że w swoim ojczystym języku mówi i pisze za dobrze. Za ładnie, za barwnie, za plastycznie. Nowe słowa, które Oz dał hebrajszczyźnie, weszły w izraelską tkanę tak głęboko, że zapomniano, kto je stworzył.

Hebrajszczyzna Oza zachwyca tym bardziej, że Izrael – choć obfituje w pisarzy (z poetami ma kłopot, dlaczego – nie wiem), a książki sprzedają się w dziesiątkach tysięcy nakładu – mówi raczej prosto, a to z racji, że każdy jest jakoś skądś, ma swój akcent, wtrąca słowa ze starych języków, hebrajski Niemca jest inny niż hebrajski Polaka lub Somalijczyka. Ulica, również ta czytająca, mówi po swojemu, a „po swojemu” oznacza różnorodność i dowolność.

Tymczasem Oz głaszcze i pieści hebrajszczyznę, wygładza, poleruje. To nie ten sam język, którym zapisano święte księgi, bo nowoczesny, archaizmów w nim za grosz. Bawi się nią z niezwykłym szacunkiem, przyprawia neologizmami. Nic więc dziwnego, że mu zazdroszczą, a wielu twierdzi, że jego hebrajski jest aż nieprawdziwy (choć najprawdziwszy), takiego hebrajskiego po prostu nie ma.

To, że urodzony w 1939 r. pisarz nie ma do dzisiaj Literackiej Nagrody Nobla, dowodzi niekompetencji Akademii Szwedzkiej. Jego książki cieszą czytelników w 41 językach, w tym arabskim.

XXX

Pierwszy raz widziałem Amosa Oza w Miszkenocie, jerozolimskim ni to hotelu, ni domu pracy twórczej, gdzie święte miasto przyjmuje swoich największych gości. Z okien Miszkenotu widać białe mury Starego Miasta, a i wewnątrz pełno antycznych pamiątek. Panuje tam niezwykła wprost cisza, mimo że opodal przebiega ruchliwa ulica.

Byłem tuż po lekturze „Opowieści o miłości i mroku”. To książka monumentalna: rodzinna saga, gdzie nie brakuje dramatów (matka Oza popełniła samobójstwo), rozczarowań i nadziei, splątana z losami Palestyny sprzed istnienia żydowskiego państwa i Izraela. Dzieje rodziny Klausnerów, emigrantów z terenów dzisiejszej Litwy (ojciec Amosa studiował literaturę i historię na uniwersytecie w Wilnie) i Ukrainy (dziadek ze strony mamy miał w Równem młyn), prawicowych syjonistów zauroczonych Włodzimierzem Żabotyńskim i wykształconych Europejczyków we współczesnym tego słowa znaczeniu, to historia tak niemożliwa jak prawdziwa. Powinien ją przeczytać każdy zainteresowany historią Izraela oraz każdy, kto wymądrza się na temat Bliskiego Wschodu; więcej wówczas zrozumie. Również to, co w Izraelu oznaczają terminy „lewica” i „prawica”, i z czym się one wiążą. Sam Oz zamieszkał w lewicowym kibucu Hulda, gdy miał 12 lat (i mieszkał tam do 1986 r.), a choć się wyprowadził do pustynnego Aradu, lewicą pozostał.

Szedłem więc na pierwsze spotkanie z Ozem i wyobrażałem sobie, że człowiek, który stworzył dzieło ogromne (również dosłownie, bo „Opowieści...” to książka opasła, księga właściwie), sam musi być herosem. Tym bardziej ktoś, kto z taką odwagą potrafi stawiać opinii publicznej trudne, zasadnicze pytania. Nie gnie karku, chyba że przekonany argumentami. Wyznacza drogę, wskazuje nowe szlaki, bez trudności wyciąga rękę do wczorajszych wrogów, a dzisiejszym przyjaciołom wali prawdę prosto w oczy, choćby była niewygodna i przykra.

Zobaczyłem kruchego, delikatnego mężczyznę: włosy oprószone siwizną, głębokie, brązowe oczy, okulary zwisające na łańcuszku, spodnie z grubego sztruksu, zwyczajna koszula. Mówił powoli, krótkimi zdaniami, prawie szeptem, co z półmrokiem pokoju w Miszkenocie tworzyło atmosferę magicznie intymną. W jego pewności sądów było coś imponującego, jakaś twardość i zarazem przyjaźń, tolerancja dla innych: – Sytuacja Żydów i Palestyńczyków jest taka sama jak rozbitków, którzy po morskiej katastrofie uchwycili się jednego pnia. Jedni i drudzy mają prawo żądać i dostać miejsce dla siebie. Tak samo jak nie mają prawa, by spychać sąsiada w wodę.

Miałem wrażenie, że po godzinie naszej rozmowy był zmęczony, więc zdziwiłem się, gdy zobaczyłem go tego samego dnia na spotkaniu z czytelnikami. Wyglądał, jakby sala wypełniona po brzegi dodawała mu sił, czerpał z niej energię. Ludzie chłonęli każde jego słowo – tak było w Jerozolimie i w Warszawie, i pewnie tak jest w każdym innym miejscu świata.

XXX

Nie uważa, że akurat ta książka należy do najlepszych, jakie napisał. Myślę nawet, że zbytnio jej nie poważa; to raczej zwyczajnie protekcyjny stosunek pisarza do reportera (w drugą stronę też to działa), akurat w tym wypadku w jednej osobie. Książka, a właściwie książeczka, nazywa się „Na ziemi Izraela”. To zbiór relacji z wypraw w różne miejsca kraju zamieszczanych wcześniej w gazetach; opowiadają o Żydach i Arabach, o ludziach mądrych i głupich, pokazują ulice i skwery, redakcje, urzędy, ale też namiętności, pasje, uczucia. Książka przewodnik, choć powstała trzy

dekady temu; bez niej, jak bez „Opowieści...”, trudno pojąć, o co im tam chodzi.

Gdy jestem w Izraelu, jeżdżę z książeczką Oza, nawet jeśli akcja nie dzieje się w miejscach, które odwiedzam. I jest mi wszystko jedno, że nie spotkam tych samych ludzi, nie zobaczą tych samych pejzaży, a jeśli zajrzę tam, gdzie był Amos, wszystko będzie inne, bo czas płynie nieubłaganie, nawet w kraju, który rządzi się pamięcią spraw z dawnej przeszłości, lubi zaglądać w to, co było, i nie wybiega w przyszłość, rzecz nieokreśloną.

## Oslo

Norweska stolica nie była najlepszym miejscem dla negocjacji żydowsko-palestyńskich. W latach 70. Mosad (patrz M) zastrzelił tam przez pomyłkę arabskiego restauratora, upatrując w niewinnym człowieku ważnego członka organizacji terrorystycznej. Lecz wszystko zaczęło się daleko od Norwegii, w końcu ubiegłego stulecia. Historia dostała mocnego kopa.

Po pierwsze – rozpadł się Związek Radziecki, główny sponsor i ideologiczny, bo antyizraelski, patron Organizacji Wyzwolenia Palestyny i Jasera Arafata. Po wtóre – sama OWP znalazła się na indeksie również w krajach arabskich, gdyż podczas pierwszej wojny irackiej stanęła po stronie Saddama Husajna. Po trzecie – w 1991 r. w Madrycie rozpoczęła się bliskowschodnia konferencja pokojowa, gdzie oficjalnie (kara za wsparcie Iraku) nie było OWP. Po czwarte – wojna w Zatoce przstraszyła, przynajmniej psychologicznie, Izrael.

Skoro jedni i drudzy mieli jakoś w plecy, można było spróbować. W 1992 r. w Londynie doszło do sekretnego spotkania między Jossim Beilinem, izraelskim wiceministrem (wówczas) spraw zagranicznych, profesorem historii Jairem Hirschfeldem a Ahmedem Qurei, funkcjonariuszem OWP, oraz norweskim naukowcem Terje Rød-Larsenem. Wkrótce spotkania przeniosły się do Oslo; odbyło się ich 14. Za wszystko płacił rząd Norwegii, również za pobyt Izraelczyków i Palestyńczyków w tym samym miejscu oraz za śniadania, obiady i kolacje, które obie strony jadły przy jednym stole.

Po siedmiu miesiącach porozumienie podpisał minister spraw zagranicznych, późniejszy premier i prezydent Izraela Szymon Peres. Dokument zawieziono do USA, gdzie w obecności prezydenta Billa Clintona zgodzili się nań najważniejsi gracze; premier Icchak Rabin (patrz R) i Jaser Arafat.

XXX

Porozumienie z Oslo zakładało uznanie przez Izrael Organizacji Wyzwolenia Palestyny, a przez OWP istnienia Państwa Izraela, powołanie Autonomii Palestyńskiej (Hebron – patrz H – uzyskał status szczególny), wycofanie izraelskich wojsk z Terytoriów Okupowanych, zaprzestanie ataków na Izrael, a w finale – powstanie dwóch państw narodowych: Izraela w granicach sprzed wojny sześciodniowej i niepodległej Palestyny. Sygnatariusze obiecali sobie, że detale dogadają w trakcie procesu pokojowego i kolejnych spotkań.

Zdominowany przez lewicę Kneset poparł porozumienia 61 głosami (50 przeciw, ośmiu posłów nie było). W Palestynie za porozumieniem był Fatah Jasera Arafata. Przeciw – Hamas, Islamski Dżihad, Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny; żadna z organizacji nie uznała Izraela. Rabin, Peres

i Arafat dostali Pokojową Nagrodę Nobla.

Wnet okazało się, że detale – np. status Jerozolimy, żydowskie osiedla na Terytoriach Okupowanych, powrót uchodźców z 1948 r. – to problemy podstawowe. Obie strony oskarżały się o złą wolę: Izrael rozbudowywał osiedla, Arafat nie umiał powstrzymać antyizraelskiej przemocy. W 1995 r., dwa lata po Oslo, zastrzelono Icchaka Rabina. Pięć lat później Jaser Arafat odrzucił propozycje premiera Ehuda Baraka i wybuchła intifada Al-Aksa (patrz I).

XXX

Oslo miało kilka odsłon, kolejnych spotkań i związanych z tym nadziei. Wynikała z nich chwilowa cisza pacyfikująca konflikt i niewiele więcej. Dokładano kolejne akapity porozumień, umawiano się i jeszcze raz umawiano, słowa ulatywały nad izraelskimi (i palestyńskimi, może przede wszystkim) piaskami. Efektem Oslo było np. wycofanie osadników z Gazy w 2005 r. (patrz N). Dobra wola ubrana w polityczną pomyłkę zaskutkowała władztwem Hamasu, kilkunastoma tysiącami ataków rakietowych na Izrael i pacyfikacją Strefy, kiedy przelano morze krwi.

Dzisiaj zwrot „porozumienia z Oslo” jest powtarzany jak mantra przez obie strony, choć zdaje mi się, że w tym mantrowaniu nie ma już żadnej wiary. Porozumienia podpisano 20 lat temu. Wielu (coraz więcej) po obu stronach uważa, że był to wielki błąd.

XXX

A jednak Oslo sprawiło, że w Izraelu i na Terytoriach Okupowanych rozkwitła nadzieja. Po ujawnieniu porozumień zdawało się, że ulice Tel Awiwu i Ramallah śmieją się w tym samym rytmie. Był w tym śmiechu smutny realizm: pokój zakończy wojnę, lecz nie sprawi, że polubimy się wzajemnie. Będzie to pokój zimniejszy niż z Egiptem (np. od momentu podpisania traktatu Egipt nie zaprosił do siebie ani jednego izraelskiego pisarza) i z Jordanią, ale jednak pokój, co z tego, że kiepski.

Zabito Icchaka Rabina, lecz nawet ci bardziej przewidujący nie przewidzieli, że to koniec. Gdyż wydawało się – w Izraelu, na Terytoriach, ale też na całym świecie – że awantura wreszcie się skończy poprzez niechętne uznanie realiów. Figa z makiem.

Teraz – mam wrażenie, podparte badaniami opinii publicznej – rozczarowanie jest powszechniejszym uczuciem niż nadzieja. Izraelczycy w znakomitej większości (również ci ciągle gotowi na pokój) są przekonani, że Palestyńczycy kłamią. Palestyńczycy uważają podobnie. Izraelczycy szukają twardych przywódców, Palestyńczycy tak samo. Kto chce się liczyć w tamtym kawałku świata, musi mieć przede wszystkim jaja. Bywa, że jaja są w polityce obciążeniem nie do uniesienia.

Tymczasem pokój – opowiadał mi Etgar Keret – jest przywilejem słabych i bojących się, gdyż lękają się o swój los, więc są gotowi wiele poświęcić. Pokój (pozornie, wystarczy wspomnieć los prezydenta Egiptu Anwara Sadata i Rabina) jaj nie potrzebuje. Prawdziwym sojusznikiem pokoju jest strach (patrz P).



Amos Oz (patrz O) uważa, że skoro większość chce pokoju (ma rację, bo izraelska i palestyńska większość chce pokoju), pokój musi się ziścić. Nigdy nie mówił mi, że większość wierzy w pokój. Tam gdzie mieszka, moim zdaniem, wiara jest potrzebna bardziej niż chcenie. Wiary już nie ma. Choć, pamiętajmy, wiara w Ziemi Świętej wraca z dnia na dzień.

# P

---

## Pardes

Jedna z wielkich tajemnic żydowskiej mistyki, Ogród Zamknięty, ukryty skarb, bogactwo ducha, wiedza o tym, czego nie da się pojąć umysłem, po prostu Raj. Nadprzyrodzony sad pełen owoców granatu, smaku zamkniętego w małych, karminowych pestkach, otwierającego się dopiero wówczas, gdy drobiny złączą się w całość.

Pardes to tajemne przejście – opowiadała mi Inez, psychiatra z Jerozolimy, kobieta mądra, światowa; jej gabinet wygląda tak jak pokój z kozetką u nowojorskiego spadkobiercy Zygmunta Freuda portretowanego przez Woody’ego Allena, jest nawet figurka brzuchatego Buddy. Droga od pełnej jasności ku tajemnicy, czyli w kierunku przeciwnym niż ten, który wybiera większość ludzi.

Do Pardes weszło raptem czterech mędrców, nauczycieli, którzy tam okazali się ledwie uczniami.

Pierwszy zobaczył Ogród i wnet zmarł, bo nie uniósł widoku, ciężaru wiedzy podanej mu do zrozumienia i przede wszystkim do przeżycia.

Drugi oszalał, stał się meszuga, jakich pełno w Jerozolimie, nawet tej dzisiejszej. Możliwe też, że przeszedł na inną religię, co z punktu widzenia żydowskiej mistyki jest śmiercią, czarną, beznadziejną mogiłą, gorszą od wariactwa.

Trzeci patrzył, aż został porażony. Nie znamy detali zgubnego olśnienia, lecz wydaje się, że stał się kimś innym, przynajmniej we własnej głowie.

Tylko rabbi Akiba doświadczył tajemnicy. Wyszedł spokojnie; tak przynajmniej opowiadają ci, którzy wierzą w niepoznane. I zaraz stawiają pytanie: jak wielką pokorę miał w sobie Akiba, jak pięknie i skutecznie umiał się wewnętrznie zespolić, by zobaczyć Pardes, pobyc tam, poużywać nieziemskiej rozkoszy obcowania z niewiadomym i wrócić? Był zarazem mistrzem i uczniem. Umiał wskazywać i w tym samym momencie szukać. Umiał pytać, z odpowiedziami zwlekał, choć odpowiadał mądrze.



*P jak Palestyna – Ziemia, która przed wiekami wyprzedzała o kilka kroków resztę globu, dzisiaj jest o krok z tyłu, do tego przedzielona murem*

Tyle mogę powiedzieć o Pardes – za Inez, kobietą racjonalną, która nie wierzy w cuda i zjawiska nadprzyrodzone do tego stopnia, iż wie, że one istnieją.

XXX

Skoro jesteśmy w Ogrodzie, gdzie wiadome jest niewiadome, a mędracy zakładają szkolne fartuszki, należy się słowo o syndromie Jerozolimy – chorobie, podług psychiatrów biegłych w zawodzie zdiagnozowanej jako pospolita psychoza, a jednak tajemniczej. Możliwe, że w tej formie objawiają się różnorakie depresje – jedne z najpospolitszych chorób tego świata. Ale gdyby tak było, dotkniętych syndromem można by spotykać codziennie. Szczęśliwie nie jest to widok pospolity, mimo że nie rzadki.

Syndrom zasadza się na tym, że w świętym mieście człowiek czuje się tak, jakby dotknął nieba. Może więc być Mojżeszem, Jezusem, czyli młodym rewolucjonistą, rabbim Jozua, może być Dawidem, Salomonem, Eliaszem, Abrahamem. Zwariuje na chwilę, a kiedy odwiozą go poza rogatki Jerozolimy, wróci do siebie przepelniony wstydem, że coś go poniosło.

Są w Izraelu psychiatrzy, którzy na pacjentach owładniętych syndromem zrobili niekiepskie pieniądze.

Widziałem w Jerozolimie ludzi ubranych w zwiewne szaty zrobione z hotelowych prześcieradeł i głoszących Słowo. Pewnego razu widziałem też nagusa: faceta rozebranego do rosołu, który w Bramie Jafy obwieszczał przyszłość świata. Nieraz sam czułem dziwną energię miejsca, gdzie pewnie są wrota do Pardes, dla mnie akurat zatrzaśnięte na głucho. Dlatego wierzę w Ogród Zamknięty, nawet jeśli go nie ma.

## **Palestyna**

W syndromie Jerozolimy najpewniej nie ma nic niezwykłego, mimo że to niezwykle romantyczna choroba. Za to w Palestynie jest.

Zważmy – to miejsce dotknięte trzema wielkimi religiami, ze wspólnym pojęciem jednoosobowego Boga, wszechmocnego, niewidzialnego i nieprzedstawialnego. Czyli ziemia, gdzie coś stało się wcześniej niż gdzie indziej, głębiej, mocniej, w pół kroku przed innymi.

Potem zaś to miejsce niemal zapomniane. Odeszli Żydzi, Rzymianie, krzyżowcy, a i wyznawcy islamu mieli na uwadze piękniejsze, bardziej lubiane krainy.

I nagle sprawy przyspieszyły. Wymyślono państwo żydowskie, więc wnet wymyślono arabską palestyńską państwowość. (Nigdy i pod żadnym pozorem Egipt i Jordania, władające palestyńską ziemią, nie proponowały miejscowym stworzenie własnego, odrębnego państwa. Zgodził się na to, choć mało konsekwentnie, dopiero Izrael). Ukonstytuował się nowy naród – Izraelczycy – a chwilę potem powstał arabski naród palestyński, inny od Jordańczyków, Syryjczyków, Egipcjan. A nawet dwa arabskie narody, bo izraelscy Arabowie (patrz A) też są czymś odrębnym. Palestyński nacjonalizm jest kopią syjonizmu. Rabini w Izraelu kopią (może bezwiednie, acz skutecznie) palestyńskich mułłów. I tak dalej.

Ziemia, która przed wiekami wyprzedzała o kilka kroków resztę globu, dzisiaj jest o krok z tyłu, od dziesięcioleci kopiuje samą siebie, a z tego kopiowania i wynikającej z niego nieumiejętności rozmowy zbyt często spływa krwią.

A cały świat daje się na to nabierać (np. zamachy w Izraelu to ułamek zamachów w Iraku od czasów amerykańskiej interwencji, ofiary obu intifad to kilka dni walk w byle afrykańskiej wojnie, opresja Palestyńczyków ma się nijak do opresji Syryjczyków, Jemeńczyków, zadawanej przez Syryjczyków, Jemeńczyków itp.) i głośno krzyczy, jakie to ważne, choć nie ma tam ani ropy naftowej, ani diamentowych złóż, nie ma w zasadzie nic prócz pustyń i piasku. Oraz ludzkich wyobrażeń, do kogo ten piasek należy; kto, kiedy i którądy, jak, dlaczego, po co. Prawdziwe przejście od jasności ku tajemnicy. Pardes na odwyrtekę, z którego nie wyszedłby bez uszczerbku na rozumie nawet rabbi Akiba.

## **Pustynia**

A może izraelskie pustynie to właśnie ten rajski cud, Pardes. Okazuje się, że można na piasku zrobić wszystko. Np. ośrodek atomowy, jak w Dimonie, co akurat nie jest niczym dziwnym, bo takie rzeczy stawia się w miejscach ustronnych i niechętnych ludziom. Lub bazy wojskowe oraz więzienia, jak to pod Be'er Szewą, gdzie siedzi zabójca Icchaka Rabina (patrz R). Ale też kwitnące gospodarstwa rolne na pustyni Negew, choć wodę trzeba ciągnąć aż spod Tel Awiwu (patrz T).

Poznałem Izraelczyków, którzy opowiadali mi, że ogrody na pustyni to grzech. Nie byli zbyt wierzący, lecz uważali, że skoro Najwyższy zaprojektował ten świat tak, jak zaprojektował (może nie najlepiej, ale jednak), nie trzeba się mieszać. Używali przy tym zupełnie świeckich pojęć, np. „zaburzony ekosystem”. Mieli poczucie, że pustynia powinna być pustynią, piasek piaskiem, a ogród na Negewie winien pojawić się wtedy, gdy spadnie rzęsisty deszcz.

I mają rację, bo zamiana pustyń w rolnicze zagłębienie z pewnością zmienia coś nieodwracalnie. Lecz rację mają również np. izraelscy winiarze, którzy twierdzą, że jedne z najlepszych izraelskich winogron rosną właśnie w pustynnych piaskach, pod warunkiem że dostarczy się tam wodę.

Zresztą gdyby nie ludzka praca, cały Izrael byłby pustynią.

A i tak widok kwitnących piasków, raptem kilkanaście dni w roku, należy do tych cudów świata, które trzeba obejrzeć. Jak śnieg w Jerozolimie, rzadki i przez to magicznie piękny. Gdy kwitnie pustynia, jedzie tam prawie cały Izrael. Ludzie wysiadają z samochodów i ślepią przed siebie, zachwyceni i milczący.

Kolor żółty wówczas zanika, na piasku robi się czerwono-zielono – niebiesko-biały dywan. Żółto też jest, lecz mam wrażenie, że na tę barwę nikt nie zwraca uwagi. Miną dwa tygodnie i na pustyni nie będzie innego koloru.

## **Pokój**

Pokój Izraelsko-palestyński to coś, o czym wszyscy tu mówią. Amos Oz (patrz O) twierdzi nawet, że jeszcze doczeka czasów, gdy przy jednej ulicy w Jerozolimie (patrz J), ale po dwóch stronach granicy, będą dwie ambasady: izraelska i palestyńska. I ja też tak myślałem przez wiele lat, gdyż zdawało mi się, że akurat tam stan wojny jest kompletnie irracjonalny, a do porozumienia wystarczy dobra wola.

Wierzę, jak powiada Tom Segev (zresztą nie tylko on), izraelski pisarz i historyk, że mieszkańcy Izraela chcą pokoju. Dodałbym do tego większość Palestyńczyków, wyłączając wierchuszkę Hamasu i innych islamistycznych organizacji bojówkarskich. Skoro nie chcą uznać prawa Izraela do istnienia, znaczy to, że pokoju nie chcą.

Lecz rzecz zasadza się nie tylko na chceniu, ale również na wierze. Można chcieć pokoju i weń nie wierzyć, co dzisiaj jest udziałem większości. Zdaje mi się również, że w pokój bardziej wierzą Palestyńczycy niż Izraelczycy. Wiara zasadniczo zmienia bliskowschodnią chemię.

Izraelczycy chcą pokoju, ale nie wierzą w pokój, gdyż nie mają pojęcia, co się stanie, kiedy traktat na najwyższym szczeblu ewentualnie zostanie podpisany. Jak podzielią się z Palestyńczykami wodą (patrz W)? Gdzie (skoro nie na Terytoriach) będą składować śmieci? Czy będą się czuć bezpiecznie, jeśli stracą (jeśli stracą?) kontrolę nad granicą z Jordanią (dzisiaj tak, bo monarchowie Jordanii prowadzą przewidywalną politykę, ale jutro? Arabskie rewolucje zmiatały silniejszych przywódców)? Co zrobić z żydowskimi osiedlami na Zachodnim Brzegu, skoro niektóre z nich są wielkie jak miasta? Jak zarządzać wspólnie Jerozolimą, jednym organizmem miejskim? Czy pozwolić na łączność Zachodniego Brzegu z Gazą poprzez eksterytorialną autostradę? I tak dalej. Wszak do pokoju nie doprowadziła ani lewica, ani prawica, ani świeccy, ani religijni. Gdyż, być może, to sprawa nie do załatwienia.

Lecz najważniejsze pytania brzmią: Czy pokój dopuści jedność Izraela? Czy jego skutkiem nie będzie wojna domowa – cicha i zimna lub otwarta? Może terror palestyński zastąpi wewnątrzizraelski terror żydowski (kto się śmieje, niech wspomni los Icchaka Rabina – patrz R)? A może arabscy i perscy sąsiedzi poczują, że skoro Izrael dogadał się z Autonomią, jest tak słaby, że trzeba go uszczypnąć?

Nie ja wymyśliłem te pytania, lecz Izraelczycy, z którymi rozmawiałem. Niektórzy dodawali, że jeszcze kilkanaście lat temu takie pytania nie przychodziły im do głowy. Może więc Izrael i

Palestyńczycy przepalili swój gwiazdny czas? A może nigdy go nie było?

# R

---

## Rabin Icchak

Dziesięć lat po śmierci – zginął w listopadzie 1995 r. – w plebiscycie zorganizowanym przez izraelski portal Ynet został uznany za największego Izraelczyka. Imieniem Icchaka Rabina nazwany jest główny plac w Tel Awiwie, ma swoje ulice nie tylko w państwie żydowskim, lecz na całym świecie. Są instytuty naukowe imienia Rabina, szkoły, a nawet synagogi. Poświęcono mu rockowe piosenki i protest songi, nowelki i opowiadania.

Opowiadał mi Marwan, Palestyńczyk z Gazy, że kiedy radio podało informację, że żydowski fanatyk zastrzelił Rabina, poczuł, iż wraz ze śmiercią izraelskiego premiera odchodzi w niebyt nadzieja na pokój (patrz P). I podobno był to nastrój wśród Palestyńczyków dość powszechny.

A przecież Marwan nie miał szczególnych powodów, by go lubić. Odwrotnie – miał dobre powody, by go nienawidzić. W czasie pierwszej intifady (patrz I) Rabin wsławił się przemówieniem, że Palestyńczykom należy łamać kości. Nim został politykiem syjonistycznej lewicy, a lata później odebrał Pokojową Nagrodę Nobla za porozumienia w Oslo (patrz O), razem z Szymonem Peresem i Jaserem Arafatem, był generałem. To Icchak Rabin, podczas wojny o niepodległość młody dowódca, brutalnie wygnał Arabów z Lod i Ramli, wygrał wojnę sześciodniową w 1967 r. i zdobył dla Izraela Jerozolimę wraz z najświętszym miejscem judaizmu – Ścianą Płaczu (patrz W).

Ale też Rabin podczas ceremonii wręczenia Nagrody Nobla powiedział, że wojskowe cmentarze i cmentarze ofiar wojen rozrzucone po całym świecie są cichym testamentem klęski tych przywódców narodowych, którzy konflikty, nawet zwycięskie, stawiają ponad zgodę. Dostrzegł prawdę tak oczywistą, że aż znikającą z pola widzenia – że ani Arabowie nie wyrzucą Żydów z Bliskiego Wschodu, ani Żydzi nie przegnają Arabów, ceną za trwały pokój zaś będzie państwo palestyńskie. Uznał – a za nim inni wybitni Izraelczycy, np. Ariel Szaron, nieprzejednany wróg Palestyńczyków – że okupacja nie jest dobra dla Izraela.



*R jak Ryba świętego Piotra – Żyje tylko w Jeziorze Galilejskim, wygląda paskudnie, za to smakuje wybornie, a kosztuje... Lepiej nie mówić*

**XXX**

Urodził się w marcu 1922 r. w Jerozolimie (patrz J); rodzice przyjechali do Palestyny z dzisiejszej Ukrainy i Białorusi. Rósł w Tel Awiwie, ukończył wedle syjonistycznego etosu szkołę rolniczą. Miał 19 lat, gdy wstąpił do Palmachu, podziemnych oddziałów szturmowych tworzącej się żydowskiej armii. W 1941 r. walczył w Libanie w ramach akcji „Eksporter”; Anglicy obawiali się, że jeśli niemieckie wojska okupujące północną Afrykę połączą się z libańskimi i syryjskimi oddziałami francuskiego reżimu Vichy, stracą pozycję i głos na Bliskim Wschodzie (w Palestynie panowała wówczas psychoza, że po niemieckich zwycięstwach dojdzie tam do drugiego Holocaustu – patrz S). Lecz gdy sytuacja na froncie afrykańskim się uspokoiła, Palmach znalazł się na celowniku Brytyjczyków. Rabin jest ważną figurą żydowskiego podziemia. Dowodzi oswojeniem nielegalnych żydowskich imigrantów z brytyjskiego ośrodka internowania Atlit i wywiezieniem ich do Palestyny; uwolniono 208 zatrzymanych. Aresztowany przez Anglików (operacja nazywała się „Czarny szabat”, przeprowadzono ją w piątek) spędził w więzieniu pięć miesięcy. Gdy wyszedł, awansował do grona najwyższych oficerów żydowskiego wojska.

W wojnie o niepodległość 1948 r. walczył o Jerozolimę, odpowiadał za ochronę transportów zaopatrujących obleżone żydowskie dzielnice świętego miasta, odbił pobliski kibuc Ramat Rachel, bił się z Egipcjanami na pustyni Negew. Ale też pacyfikował żydowskich bojowników z prawicowych oddziałów Irgunu dowodzonych przez późniejszego premiera i również laureata pokojowego Nobla (za pokój z Egiptem) Menachema Begina (patrz L).

O akcji przeciwko arabskim cywilom w Ramli i Lod Rabin napisał: „Nie chcieli odejść dobrowolnie. Nie było innego sposobu jak ostrzegawcze strzały, by zmusić ich do 20-kilometrowego marszu”. Izraelska cenzura usunęła ten fragment ze wspomnień generała. Ukazał się w USA. W Ramli i Lod mieszkało 70 i 50 tysięcy Arabów. Nie został prawie nikt.

W 1964 r. Rabin zostaje szefem sztabu Sił Obronnych Izraela. Trzy lata później jako pierwszy izraelski generał staje pod Ścianą Płaczu. W euforii wywołanej zwycięstwem nad koalicją państw



arabskich zostaje narodowym bohaterem.

Niewiele później zaczyna przygodę z polityką. Jest ambasadorem w Stanach Zjednoczonych, posłem do Knesetu, ministrem pracy, a wreszcie pierwszy raz premierem. Nawiązuje pokojowe rozmowy z Egiptem; pierwszy krok do układu pokojowego z 1979 r.

Gdy Menachem Begin ostatecznie dogaduje się z prezydentem Egiptu Anwarem Sadatem (zastrzelony przez oficerów z Bractwa Muzułmańskiego; taką cenę płaci się na Bliskim Wschodzie za marzenia o arabsko-żydowskim pokoju), Icchak Rabin jest w opozycji. Przegrał wybory i nie pomogła mu efektowna operacja na lotnisku Entebbe w Ugandzie (patrz E).

XXX

Podczas pierwszej intifady po raz drugi zostaje premierem. Wnet świat i Izrael przetrzą oczy ze zdumienia – Izraelczycy i Palestyńczycy prowadzą tajne negocjacje w norweskim Oslo (patrz O). Podczas historycznego uścisku dłoni z Jaserem Arafatem mówi do palestyńskiego przywódcy: „My, którzy walczyliśmy przeciw wam, Palestyńczykom, mówimy wam dzisiaj, głośno i czystym głosem: dość krwi i łez, dosyć tego”.

Rabin nazywa przeciwników układów z Palestyńczykami „hucpiarzami” (patrz H). Ma w Izraelu silną opozycję. Wielu ma go znów za narodowego bohatera, wielu, głównie z prawicy – za zdrajcę, który oddaje Arabom Judeę i Samarię, ziemie biblijnego Izraela.

XXX

4 listopada 1995 r. po południu Icchak Rabin przemawia w Tel Awiwie na placu Królów Izraela do tłumu zwolenników porozumień z Oslo. Gdy po wiecu idzie schodami z tarasu przed telawiwskim magistratem w stronę samochodu, padają trzy strzały; dwie kule trafiają premiera, jedna – jego ochroniarza. Po 40 minutach reanimacji Rabin umiera na stole operacyjnym. Izrael jest w szoku.

Zabójcą okazał się Igal Amir, radykalnie prawicowy, religijnie ortodoksyjny Żyd. Choć wokół morderstwa narosło wiele teorii spiskowych, żadna nie znalazła do dzisiaj potwierdzenia. Amir został skazany na dożywocie; odsiada wyrok w więzieniu na Negewie pod Be'er Szewą. Icchak Rabin stał się narodową ikoną, symbolem izraelskiego ruchu pokojowego. W pogrzebie uczestniczyli najważniejsi politycy świata; Bill Clinton zegnał Rabina po hebrajsku słowami „Szalom, Haver” – „Pokój z tobą, przyjacielu”. Pochowano go na Wzgórzu Teodora Herzla, a 4 listopada jest oficjalnym dniem jego pamięci.

XXX

O Icchaku Rabinie opowiadał mi prof. Efraim Inbar z religijnego i prawicowego uniwersytetu Bar-Ilan (absolwentem uniwersytetu był Igal Amir), były spadochroniarz (stąd może jego koszarowe niekiedy poczucie humoru), autor książki o generale. Choć politycznie nie zgadzał się z Rabinem,

nie krył podziwu dla jego umiejętności wojskowych i dowódczych. Oslo – uważa prof. Inbar – to był błąd; Izrael nie powinien zgadzać się na powstanie Autonomii Palestyńskiej, geograficznego przyczółka dla terrorystów. Błędem są rozmowy obiecujące Palestyńczykom zwrot Zachodniego Brzegu (patrz Z), choćby tak newralgicznych miejsc jak osiedle Barkan, skąd widać Tel Awiw, Hajfę, Aszkelon, czyli ziemię, gdzie mieszka ponad połowa Izraelczyków. Kto włada przełęczami wokół Barkanu, rządzi Izraelem, więc nie mogą to być Palestyńczycy. Na dodatek Inbar mieszka na osiedlu na Terytoriach i tak po ludzku nie wyobraża sobie, że jakiś państwowy dekret, nawet najwyższej rangi, odbierze mu dom.

Zdaniem Inbara Rabin mylił się w diagnozach. Dlaczego więc profesor głosował na niego? Nie wiem, mimo że pytałem. Nadto mówił o Rabinie (a znał go nie najgorzej), że to piniacz i pedant, choleryk i perfekcjonista, charakter trudny, nie do polubienia. W tym wszystkim Rabin wahał się, zastanawiał nad każdą decyzją, dzielił włos na czworo, zanim cokolwiek postanowił, szukał porady. Inbar nigdy nie odkrył, kto miał decydujący wpływ na Rabina (w otoczeniu premiera ludzie często się wymieniali), ale to, że ktoś miał, przyjmuje bez wątpliwości.

I tu profesor natknął się na kolejną zagwozdkę. Jeśli Rabin był chwiejny, jakim cudem tak zgrabnie i skutecznie dowodził? Skoro namyślał się nad każdym postanowieniem, co wyglądało jak unikanie czytelności decyzji, dlaczego w sprawach palestyńskich od pewnego momentu był tak całkowicie jednoznaczny? Pytałem Efraima Inbara, czy doszedł prawdy. Odrzekł, że czasem myśli, że tak, a czasem, że nie.

## **Ryba świętego Piotra**

Żyje tylko w Jeziorze Galilejskim (znanym też jako jezioro Genezaret), wygląda paskudnie, za to smakuje wybornie, a kosztuje... Lepiej nie mówić. Rybę podają chyba wszystkie restauracje nad jeziorem, każde menu szczyści się rybą i każdy Izraelczyk, który wywodzi się z okolic jeziora, powie, że nikt tak nie przyrządza ryby jak jego mama lub babcia.

Po arabsku (co przejął hebrajski) ryba św. Piotra nazywa się „musht”, czyli grzebień. A to ze względu na charakterystyczne płetwy. Ma w okolicach skrzeli dwie ciemne, okrągłe plamy. Wieść niesie, że gdy św. Piotrowi – w końcu rybakowi po profesji – taka paskuda zaplątała się w sieci, złapał ją pod skrzelami i odrzucił ze wstrętem. A ponieważ oprócz rybaczenia Piotr zajmował się też węglarstwem, miał wiecznie utyłane palce, więc zostawił rybie czarne plamy. Istnieje też wersja dla ryby przychylniejsza: gdy Piotr wyplątał obrzydliwca z sieci, okazało się, że ryba trzyma w pyszczku srebrną monetę, w sam raz na zaległy podatek. Jakkolwiek by było, ryba św. Piotra jest genialna; coś à la turbot, lecz chudsza, fląderka bez zapachu tranu, delikatna, bielutka. Ze schłodzonym chardonnay (może być riesling albo lokalne szczepy) z pobliskich winnic wzgórz Golan (patrz G) smakuje wybornie. Choć pełnej frajdy z ryby, wina i kolacji nad brzegiem Genezaretu mieć nie można, gdyż oglądanie Jeziora Galilejskiego napawa smutkiem.

XXX

Myślę, że właśnie nad Genezaretem (bardziej niż na Negewie lub w Dolinie Jordanu, gdzie ziemia jest suchsza niż pieprz) widać, czym dla Izraela jest woda (patrz W). To po powierzchni Jeziora Galilejskiego spacerował Chrystus. Genezaret jest największym zbiornikiem wody pitnej w

regionie. A tej ponoć ubywa; wojna o wodę będzie jeszcze straszniejsza niż ta o ziemię.

Czy na pewno ubywa? Zależy, jak patrzeć. Jedni powiedzą, że nie: pod pustynią płyną potężne ciekły, ciągle zasobne, a tylko dostęp do wody jest nierówny, więcej przypada Żydom, o wiele mniej Palestyńczykom. A ponieważ ludzie bez względu na narodowość potrzebują mniej więcej tyle samo wody, rodzą się z tego problemy, choćby taki, że w nadmorskiej Gazie wodę słodką zatrują ścieki lub wdzierająca się woda słona, niszcząca tę dobrą.

Z drugiej strony w Izraelu nie padało solidnie od kilku lat. To zaś oznacza, że Genezaret latem intensywnie paruje, a zimą nie uzupełnia zasobów. I to widać gołym okiem. W skromnych marinach nad brzegiem jeziora schną kamienie, które kiedyś leżały na dnie. Lustro Jeziora Galilejskiego obniżyło się przez te lata o kilka metrów; ktoś powie, że pięć, kto inny, że nawet siedem. Łódki, które już nie pływają, stoją w porcikach oparte o suche dno. Niegdyś knajpki podające rybę św. Piotra stały nad samym brzegiem, a dzisiaj od jeziora oddziela je las wyschniętych trzciny. Nikt nie jest z tego zadowolony i nie tylko dlatego, że odsłonięty muł śmierdzi upiornie.

\*\*\*

Podobno w ostatnich kilkunastu miesiącach poprawiło się, bo wreszcie spadł prawdziwy deszcz. Zdaje mi się, że właśnie ten pierwszy deszcz od lat widziałem w Jerozolimie. Wiało, było zimno jak diabli, co lutowego wieczoru w świętym mieście jest czymś zupełnie normalnym. I nagle lunęło, ale tak, że ściana wody nie pozwalała dostrzec drugiej strony ulicy. Wnet z chodników zniknęli przechodnie, przestały jeździć samochody, Jerozolima wymarła skryta w kaskadach ulewy, ulicami zaczęły płynąć wartkie potoki, niebo rozdarły błyskawice. Wyglądało to dość apokaliptycznie, gdyby nie radość wszystkich, na których się wówczas natknąłem. W moim hotelu portierzy rozmawiali tylko o tym, że wreszcie pada. Tego wieczoru nikt nie przyszedł tu na kolację, a i tak wszyscy w hotelu byli zadowoleni.

S

---

## Szohah

Albo Zagłada, Holocaust (to ostatnie słowo znaczyło kiedyś ofiarę całopalną, ale zapewne już nikt na świecie nie używa go w takim kontekście). Zbrodnia bez precedensu (choć już wcześniej świat poznał ludobójstwo), zaplanowana w Niemczech i rozpisana na role, wymagała zaangażowania rasistowskich ideologów, politycznych planistów, strategów od transportu, inżynierów i wynalazców, budowlańców, chemików, lekarzy, wojska, żandarmerii, policji, jednostek specjalnych. Ostateczny wykwit antysemityzmu. Przemysłowe wymordowanie przez niemieckich nazistów (przy wsparciu podwykonawców – faszystów i antysemitów innych narodowości) sześciu milionów europejskich Żydów. Niemcy nazwali proces likwidacji całego narodu „ostatecznym

rozwiązaniem kwestii żydowskiej”.

Dla polskich Żydów Zagłada oznaczała koniec świata. „Nie masz, już nie masz w Polsce żydowskich miasteczek... Znikły resztki ostatnie, żydowskie łachmany, krew piaskiem przysypano...” – pisał Antoni Słonimski.

Niektórzy myślą, iż Izrael jest rekompensatą dla Żydów za Zagładę złożoną w darze (słusznym lub niesłusznym) przez międzynarodową społeczność. Nieprawda; Izrael powstałby tak czy siak, struktury administracji były gotowe przed decyzją Organizacji Narodów Zjednoczonych z 1948 r., a świeżo powstałe państwo obroniło niepodległość w wojnie (patrz W), która na pozór nie dawała mu żadnych szans.

Lecz gdyby nie Zagłada, Izrael byłby zupełnie inny i inni byłiby Izraelczycy. Do dzisiaj nie ma dnia, by w mediach nie pojawiło się jakieś odniesienie do Szoah. Naznaczenie Zagładą wisi nad Izraelem bez przerwy, lepi tożsamość Izraelczyków, dyktuje polityczne decyzje.



*S jak Szabat – Zaczyna się w piątek o zmroku i kończy w sobotę, gdy zachodzi słońce*

Po kolei: żydowscy pionierzy w Palestynie bardziej mieli na uwadze pomyślność swojego osadnictwa niż to, że w Europie płoną krematoria. A z drugiej strony ich najbliżsi ginęli w obozach zagłady, więc siłą rzeczy pojawiało się pytanie „dlaczego?” i towarzyszące mu doskwierające poczucie winy. Izraelczyk miał być nowym człowiekiem, dzielnym, bitnym, umiejącym dochodzić swego, więc Żyd z diaspory pędzony do Trebłinki jawił się zaprzeczeniem sabry. Ale przecież tak pędzono braci, matki i ojców. Gdyby Żydzi byli syjonistami i wyjechali – myślano (i mówiono) w Palestynie – ofiar nie byłoby aż tyle. To oczywiście historia kontrfaktyczna, podobnie jak wyobrażanie sobie, że kilkaset tysięcy pionierów mogło zapobiec Zagładzie, co nie znaczy, że nie mogli inaczej patrzeć na Szoah.

Gdy do Izraela zaczęli docierać pierwsi ocaleni, nikt nie chciał słuchać ich opowieści, ale też oni sami opowiadali powściągliwie, bo słowa nie mogły oddać koszmaru Szoah. Bohaterami stali się powstańcy warszawskiego getta, wpisani w izraelską mitologię, ale ci z transportów do gazu – już

niekoniecznie. Odmieniło się wraz z procesem Adolfa Eichmanna w 1960 r., głównego księgowego Zagłady. Zaczęto mówić i słuchać. Pojawiło się kilka narracji.

Jedna – powiada Tom Segev, autor „Siódmego miliona”, książki o Zagładzie i Izraelu – łądowała baterie patriotyczne. Holocaust był wedle tej narracji czymś jedynym, wyjątkowym, również przez to, że dotknął Żydów prześladowanych przez wieki za żydostwo i nic więcej. Tak opowiadał o Szoah Eli Wiesel, laureat Nobla i ocalały z kacetów.

Druga – wątlejsza – uznawała, że Zagłada to doświadczenie ogólnoludzkie, a płynie z niej lekcja o tym, czym jest uniwersalne zło. To mówił Szymon Wiesenthal, słynny łowca nazistów; nie widział różnicy między zamordowanym w Auschwitz dzieckiem żydowskim a dzieckiem romskim lub polskim.

Narracja patriotyczna buduje poczucie izraelskiej wyjątkowości, ale też skrajny nacjonalizm. Po to – mówi wielu – izraelska młodzież jeździ na wycieczki do Polski tuż przed wojną, żeby wiele więcej nie trzeba było jej tłumaczyć, gdy włoży mundury. W praniu – szczęśliwie – wychodzi to różnie.

Humanistyczna opowieść o Zagładzie ma na uwadze kondycję człowieka; maczeta w Rwandzie i kula w Bośni to inna wersja komory gazowej.

Jedna i druga jest prawdziwa.

XXX

Zagłada jest zbyt często traktowana jako narzędzie do rozstrzygnięcia współczesnych sporów i nieważne, czy stoi za tym szlachetność, czy może ciasny egoizm. Gdy w Izraelu podnoszą się głosy antyimigranckie (takie same jak w Europie), odpowiedź brzmi: – Jako potomek ocalonych nie mogę być przeciwko uchodźcom z Sudanu.

Kiedy opowiada się o arabskich przywódcach (bywają paskudni) lub irańskich planach nuklearnych (niebezpieczne dla świata, nie tylko dla Izraela), Hitler i Zagłada bywają naczelnymi argumentami; do Hitlera porównuje się prezydenta Iranu, a kiedyś Jasera Arafata lub Gamala Abdela Nassera, nie mówiąc o liderach Hamasu.

Każda izraelska wojna (patrz W) toczyła się w cieniu przekonania: walczymy, żeby nie było drugiego Holocaustu. Ten strach może być irracjonalny, lecz ma realne podstawy – kto mówi, że Izrael nie ma prawa do istnienia, przywołuje Birkenau.

Ortodoksyjni Żydzi z Me'a Sze'arim protestują przeciwko Izraelowi, mając na rękawach żółte gwiazdy Dawida. Izraelska lewica mówi o osadnikach z Zachodniego Brzegu, że wobec Palestyńczyków zachowują się tak, jakby nie wiedzieli, czym był Holocaust.

I tak dalej.

XXX

Spadkobiercami Zagłady czują się wszyscy Izraelczycy, nawet potomkowie emigrantów z Maroka czy Afganistanu. To siła edukacji i propagandy, historycznej prawdy, ale też wewnętrzziraelskich napięć. Mam znajomego, 40-letniego sefardyjczyka, który zrobił karierę w państwowej administracji. Gdy przyjechał do Warszawy, nie umiał zasnąć w hotelu stojącym na ziemi dawnej dzielnicy żydowskiej. Z pamięci recytował liczbę Żydów wywiezionych do kacetów z Salonik, Paryża, Budapesztu. Nauczył się tego – opowiadał – bo nie chciał być gorszy od Żydów z Europy, z Holocaustem wpisanym w biografię dziadków.

Więcej – poznałem izraelskich Arabów (patrz A), dla których Zagłada jest niemal osobistym doświadczeniem; wiedzą o niej więcej niż niejeden izraelski Żyd. Ale i takich, którzy twierdzą, że pieców nigdy nie było. Dowiedzieli się o tym w szkołach, od wykształconych w Izraelu arabskich nauczycieli opłacanych – a jakże – przez izraelskie państwo. Mam wrażenie, że to najbardziej niegodziwy sposób prezentowania własnych krzywd, co do których nie mam wątpliwości.

XXX

Gdy w Dzień Pamięci o Ofiarach Holocaustu w Izraelu wyją syreny, na kilka minut zamiera wszelki ruch. Stają przechodnie, zatrzymują się samochody, nikt nie pracuje, nie podnosi do ust filiżanki z kawą. Zdaje mi się, że tak powinno być wszędzie na świecie. Zagłada zdarzyła się nam wszystkim, Żydom i nie-Żydom, w Europie, w Ameryce i na Antarktydzie, choć Żydom o niebo więcej, mocniej, bardziej, bo doświadczyli jej Żydzi i nikt więcej.

Chciałbym też, żeby były w Polsce żydowskie miasteczka. Nie będzie.

XXX

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że izraelski program atomowy to w jakimś sensie również skutek lęku wywodzącego się z Zagłady; rozmawiano o nim już rok po powstaniu państwa. Żaden z izraelskich rządów – niezależnie, czy lewicowy, czy prawicowy – nigdy nie zrezygnuje z bomby atomowej. Ale też żaden nie przyznał się do posiadania bomby. Ośrodek nuklearny Dimona położony na pustyni Negew i wszystko, co się w nim dzieje, to jeden z najbardziej strzeżonych izraelskich sekretów.

W drugiej połowie lat 50. rząd premiera Davida Ben Guriona kupił we Francji reaktor, oficjalnie używany do celów pozawojkowych (w 1960 r. sfotografował go amerykański samolot szpiegowski). W 1965 r. w USA zawieruszyło się gdzieś kilkadziesiąt kilogramów uranu. Kilka lat później płynący z Antwerpii do Genui niemiecki statek z ładunkiem tlenku uranu zaginął gdzieś na Morzu Śródziemnym. Gdy odnaleziono go w Turcji, ładownie były puste. Obie akcje przypisywano Mosadowi (patrz M) lub Lakam – specjalnej służbie zabezpieczającej izraelski program nuklearny.

W 1986 r. w londyńskim „Sunday Times” ukazał się wywiad z Mordechajem Vanunu, technikiem pracującym w Dimonie. Rozmowa potwierdziła spekulacje, że Izrael dysponuje bronią jądrową; podobno ma nawet pół tysiąca głowic różnej wielkości. Vanunu został zwabiony do Rzymu, porwany przez Mosad i sekretnie przewieziony do Izraela. Skazano go na 18 lat więzienia. Zwolniony warunkowo w 2004 r.



## Szabat

Zaczyna się w piątek o zmroku i kończy w sobotę, gdy zachodzi słońce. Co znaczy, że jest ruchomy, zależy od szerokości geograficznej i od pory roku. W Jerozolimie (patrz J) nadejście szabatu obwieszcza syreny. Miasto jest wówczas prawie całkowicie wymarłe. Nie kursuje komunikacja (wyjątkiem są arabskie taksówki i busy), zamknięte są restauracje, wyłączając podmiejskie, oczywiście arabskie.

Szabat w Jerozolimie to również godziny zmagania Żydów religijnych z niereligijnymi (patrz C). Moi znajomi niemal każdego piątkowego wieczoru wysyłali nieletnie dzieci do kina, by w ten sposób złamać ścisłe reguły. Wytrwali przez kilka lat. Dziś mieszkają pod Tel Awiwem (patrz T) i choć niekiedy żałują widoku z okien jerozolimskiego mieszkania (niemal na wyciągnięcie dłoni mury Starego Miasta i Kopuła Skały), są raczej zadowoleni. Powiadają, że w dzisiejszej Jerozolimie nie da się normalnie (to znaczy: po europejsku) żyć.

Jeden z podstawowych konfliktów między Israel Beteinu, partią rosyjskich imigrantów, a religijnymi ortodoksami z Szas, ugrupowania sefardyjskich Żydów (przy takiej samej niechęci do demokratycznych reguł), dotyczy świeckości Izraela. A więc zasad szabatu. Rosjanie chcą np., by supermarkety były otwarte w sobotnie przedpołudnia. Ortodoksi nigdy się na to nie zgodzą. Podczas ostatnich wyborów do Knesetu rabini Szasu uznali, że każdy, kto głosuje na „bezbożny Israel Beteinu”, popełnia śmiertelny grzech.

Lecz przede wszystkim szabat to czas święty, radosny. Każda szabatowa kolacja przy dwóch świecach zapalonych przez gospodynię jest posiłkiem uroczystym. Należy cieszyć się przebywaniem z bliskimi, śpiewem, rozmową, modlitwą, rozważaniem wersetów Tory. Warto odwiedzić synagogę. Zalecane jest poświęcenie szabatowej nocy na małżeński seks.

Nie wolno pracować zarobkowo, krzesać ognia (a dzisiaj włączać elektryczności), sprzątać. Nie wolno namawiać nie-Żydów, by wykonywali te czynności. Nie wolno podróżować na znaczne odległości. W izraelskich hotelach są specjalne szabatowe windy; zatrzymują się automatycznie na każdym piętrze.

Reguły szabatu należy, a nawet trzeba złamać tylko wówczas, gdy zagrożone jest życie ludzkie.

Judaizm uczy, że nie ma nic bardziej świętego niż właśnie życie, droższe ponad wszelkie zasady. Niektórzy z wiernych przenieśli tę świętość na ziemię. Stąd również zawziętość konfliktu z Palestyńczykami; świętości się nie oddaje.

Zresztą niektórzy Arabowie mają tak samo.



Byłem na wielu szabatowych kolacjach, w religijnych i niereligijnych domach. Były tak różne, jak różni są Izraelczycy. W domach religijnych kolację poprzedzała szabatowa modlitwa kidusz. W niereligijnych nawet nie zapalano świec, a na stole stawały niekoszerne krewetki i wino bez certyfikatu rabina. Jednak i tu, i tam panowała jakaś niezwykła atmosfera, serdeczność i radość, że można, nic konkretnego nie robiąc, tak miło przepuszczać czas przez palce.

Lubię w piątkowe przedpołudnia wałęsać się po Jerozolimie. Lubię przyglądać się ludziom jeszcze zabieganym, ale pewnym, że wnet nastanie godzina wyciszenia. Często słyszę wówczas od obcych (nawet na zatłoczonym targowisku Mahane Jehuda, gdzie pośpiech, wrzask, kłótnie o ceny, smakowite oliwki, pyszny kuskus, tandetne ciuchy i wino po promocyjnych cenach) „Szabat szalom”, pozdrowienie wypowiedziane tylko w święto.

## **Szalom**

Samo „szalom” to żydowskie „dzień dobry”. Oznacza „pokój tobie”, co w Izraelu brzmi szczególnie, jak pozdrowienie i życzenie.

„Szalom” to również imię męskie, nie tak częste jak Aron, Dawid czy Beni. Poznałem raptem dwóch Szalomów. Jeden urodził się w Polsce, był znawcą literatury, człowiekiem świeckim do bólu, znakomitym kucharzem i najradykalniejszym prawicowym syjonistą, jakiego spotkałem. Nie znosił lewicy, Palestyńczyków i Arabów en bloc. Podczas wojny o niepodległość walczył w Irgunie, skrajnych bojówkach odpowiedzialnych m.in. za masakrę arabskiej wioski Deir Jassin (patrz D) i wysadzenie jerozolimskiego hotelu King David. Kiedy jego wojenny dowódca Menachem Begin podpisał traktat z Egiptem, Szalom odesłał mu wszystkie frontowe odznaki. W pokój nie wierzył; imię wyjątkowo do niego nie pasowało.

Drugi Szalom zaś urodził się w Rosji. Jest ortodoksyjnym rabinem sekty Lubawiczów o władniętym pasją odnajdywania żydowskich korzeni (jeśli takie korzenie znajdzie, nawet wymyślone) i nawracania na judaizm każdego, kogo spotka. Niekiedy bywa to nieznośne, lecz rabin Szalom nawraca z takim wdziękiem i z wdziękiem wynajduje prawdziwych (lub domniemyanych) żydowskich przodków, że od razu wybacza mu się tę słabość. Ma w sobie namiętność wiary, lecz brak mu fanatyzmu. Myślę, że jest po prostu dobrym człowiekiem, a łatwiej mu z tym, bo siedzi między gojami, więc siłę czerpie z siebie, a nie z poczucia przynależenia do większości.

## **Szowrim Sztika**

To organizacja byłych żołnierzy frontowych (słowo „kombatant” jest tu chyba nie na miejscu, bo chłopaki mają po 30 lat z hakiem), nazwa tłumaczy się: Przełamać Ciszę.

Twórca organizacji Jehuda Szaul – wielki jak niedźwiedź, w czarnej kapie, z czarną brodą z pojedynczymi nitkami siwizny – nigdy nie powie, że pokój jest jego celem. Założył Szowrim Sztika po to, by Izrael zobaczył i wiedział. Cisza – mówi – jest największym nieprzyjacielem prawdy. Cisza panuje na cmentarzu, otacza więzienne kazamaty i skrywa czyny niegodziwe, haniebne. Dotyka każdy kraj będący w stanie wojny, każdego okupanta i okupowanego, słowem – dręczy tych, którzy trzymają karabin i w każdej chwili wolno im go użyć.

Mógłby Jehuda zajmować się ciszą palestyńską (istnieje taka cisza i ma się całkiem dobrze) lub ciszą w każdym innym miejscu świata. Lecz uważa siebie za izraelskiego patriotę i dlatego izraelska cisza jest tym, co go naprawdę obchodzi. Lepszy Izrael – powiada – wart jest prawdy.

XXX

Służyli w Hebronie podczas drugiej intifady (patrz I), w jednym oddziale elitarniej jednostki Nahal. Trzej kumple z wojska – Jehuda, Awiszaj, Noam – którzy w tym samym momencie dostrzegli, że świat poza wojskiem nie rozumie ich uczuć, wspomnień, opowieści. Druga intifada to było piekło: pięć lat nocnych strzelanin, samobójczych zamachów, pacyfikacji. Straszne rzeczy działy się w Dżaeninie, Nabulusie, Ramallah, Gazie, na ulicach Tel Awiwu i Jerozolimy. Ale Hebron (patrz H) to był ostatni krąg, ten, gdzie nie zsyła się nawet najgorszych potępieńców.

Szkopuł w tym, że tak naprawdę Izrael nie wiedział, jak wygląda służba w Hebronie. Albo wiedział, lecz nie miał zamiaru przetrwać tej wiedzy, wolał ciszę i święty spokój, bo po co się frustrować. Dlatego w 2004 r. Jehuda, Awiszaj i Noam postanowili przywieźć Hebron do Tel Awiwu. Urządzili w telawiwskim Yad Eliahu Institute wystawę amatorskich fotografii zrobionych podczas służby. Nic drastycznego, żadnej krwi, urwanych kończyn, trupów. Za to okupacyjna codzienność (fotografia wojskowego checkpointu), nudna (fotografia palestyńskiego dziecka zrobiona przez celownika karabinu), wyjątkowo parszywa, przerażająca zwyczajnością zła jak najstraszniejszy horror. Wystawa wstrząsnęła radosnym Tel Awiwem; zobaczyło ją kilka tysięcy ludzi.

Ważne było i to, że zdjęcia oglądali młodzi, którzy w czasie drugiej intifady służyli w Ramallah lub w Dżaeninie. Łapali Jehudę za rękaw i mówili: – Mam takie same zdjęcia. Chcę o tym opowiadać.

XXX

Fotografie i zbieranie wojenno-okupacyjnych opowieści to podstawa działalności Szowrim Sztika. Każda opowieść musi być potwierdzona przez świadków. Najczęściej to relacje anonimowe; trudno przyznać się pod nazwiskiem do popełnionych niegodziwości, a jeszcze trudniej wejść w starcie z mitem izraelskiej armii. Nie pomagają zapewnienia Jehudy, że mundur i karabin odmieniają każdego człowieka, niech to będzie Arab, Żyd, Chińczyk.

Tak czy siak, Szowrim Sztika dysponuje kilkuset relacjami z frontu. Nie są przyjemne dla izraelskiej armii, lecz mają walor prawdy, bo lepszy Izrael – już wiecie – wart jest tej ceny.

XXX

Szczególnie drastyczne są relacje żołnerek. Pewnie dlatego, że w moim staroświeckim oglądzie świata kobieta może być dyrektorem, prezydentem, premierem i naczelnym architektem, lecz nie powinna być żołnierzem. Zarejestrowała je na taśmie filmowej moja znajoma Tamar Yarom. W filmie pt. „A jeśli się uśmiecham” (patrz F).

XXX

Karabin w dłoniach psuje i rozbustwia. Jehuda jest uczciwy, więc nie ukrywa własnych doświadczeń z Hebronu. Pacyfikował arabskie domy na chybił trafił. Strzelał na oślep, pociski mogły zabić bezbronnych. Wiedział o kradzieżach i nie poinformował przełożonych. Bawił się wojną, mimo że wojna to nie zabawka. Dlatego ma pełne prawo zbierać opowieści innych żołnierzy o zabawie wojną. Krytycy Jehudy zaś (a takich wielu) powinni się zamknąć, bo prawdy krytykować nie wypada; jest, jaka jest.

Gdy Szowrim Sztika naciśnie na bardzo wrażliwy punkt, awanturują się politycy. Tak było podczas operacji „Płynny ołów”, rewanżu za rakiety lecące na Izrael ze Strefy Gazy. Żaden kraj nie pozwoli, by jego terytorium było celem systematycznego ostrzału. Lecz nie powinien reagować w sposób przesadny, gdy oznacza to niepotrzebną krew, śmierć i zniszczenie.

Jehuda zebrał relacje z Gazy. Wyszło, że wielu żołnierzy naruszało elementarne reguły wojny. Na raporty Szowrim Sztika wrzasnęli generałowie, odezwał się sam premier. Przez parę dni byli zdrajcami, póki okazało się, że mówią prawdę. Dano im spokój.

XXX

Byłem z Jehudą w Hebronie. Wcześniej widziałem to miasto wiele razy, z żydowskiej i palestyńskiej perspektywy. Lecz nigdy moja wycieczka nie była aż tak bolesna i dosłowna.

Jehuda wie (i o tym opowiada), co robił, gdy w Hebronie był żołnierzem brygady Nahal. Nie jest w mieście anonimowy. Arabowie mają do niego lekki dystans. Żydowscy osadnicy nienawidzą go, mają za zdrajcę, mimo że bronił ich przed palestyńskimi snajperami. Jakiś palant zatrzymał się przy nas zdezelowanym autem i nauragał mu od szmoków – chujów. Jehuda wzruszył ramionami.

Spieszyliśmy się, by wrócić do domów na szabatową kolację; Jehuda jest religijny, jeden z nielicznych wierzących w Szowrim Sztika. Gdy staliśmy na schodach Groty Patriarchów, powiedział, że dalej nie pójdzie. Widziałem, jak mu przykro, ale nie chciał prowokować osadników modlących się w przedświąteczny poranek. Tak – zdaje mi się – wygląda bohaterstwo: odmówić sobie prawa do modlitwy, gdyż Boga można spotkać wszędzie, a prawda, za którą dostaje się po głowie, jest po prostu ważniejsza.

T

---

## Tora

Nie ma nic świętszego niż objawione Słowo. A właściwie pięć tekstów – Księga Rodzaju, Wyjścia, Kapłańska, Liczb, Powtórzonego Prawa – podyktowanych Mojżeszowi w drodze z Egiptu do Ziemi Obiecanej. To pierwsze pięć ksiąg Biblii. Tora obwieszcza ludowi wybranemu o Przymierzu z Bogiem. Wiele więcej powiedzieć się nie da. Może jeszcze, że Tora po hebrajsku oznacza „wskazówkę”, „pouczenie”, „ojcowską naukę”.

Tora to w zasadzie nie księga, lecz zwoje; powinny być wykonane z pergaminu najlepszej jakości. Nawija się je na dwa wałki, zwane ejc chaim, często bogato zdobione, ze szlachetnego drewna. Spoczywa w aron ha-kodesz, specjalnej szafie przykrywanej aksamitną, haftowaną zasłoną – parochet, ubiera się ją w specjalną koszulkę, nakrywa srebrną koroną. Czyta się Torę w porządku rocznym, najczęściej w synagodze, na specjalnym podwyższeniu zwanym bimą. Bima może wyglądać jak namiot, altana, może być przykryta daszkiem lub odgradzona od sali synagogi ażurową kratą. Zwoje Tory spoczywają wówczas na stole; niektóre egzemplarze są tak ciężkie, że trudno byłoby je utrzymać.

Żal, lecz aron ha-kodesz z reguły wygląda jak przyciężka szafa lakierowana na wysoki połysk. Najładniejszą widziałem w synagodze reformowanej w Chicago. Wyglądała jak ręcznie malowana skrzynia postawiona na sztorc, kolorowa, radosna. Chciałbym ją mieć.

Kiedy w Jerozolimie leje, nie wolno wnosić zwojów Tory z grot przy Ścianie Płaczu. Informują o tym specjalne wywieszki wypisane wielkimi literami w kilku najbardziej popularnych językach. Nie ma w zakazie żadnych ukrytych znaczeń religijnych. Deszcz po prostu niszczy zwoje.



*T jak Talmud – Studiowanie Talmudu jest jak medytacja. Zdaje mi się, że z tego powodu uczniowie jesziw, zwłaszcza chasydzi, mają szkliste, niewidzące oczy*

## Talmud

Czyli objaśnienie Tory, zrazu ustne, później w formie listów, od wieków spisane podług dwóch tradycji – jerozolimskiej i babilońskiej. Tłumaczy, jak przestrzegać Słowa i Prawa, gdy Rzymianie wygnali Żydów z Ziemi Izraela, więc niektórych zaleceń nie można było ściśle wypełnić. To księga, do której od dwóch tysięcy lat odwołują się rabini. Doradza, poucza, skłania do namysłu i wielu interpretacji. Nie ma jednej wykładni Talmudu. Bywają takie, które mogą się wzajemnie wykluczać.

Talmud składa się z Miszny i Gemary. Miszna to odpowiedzi praktyczne na wyzwania stawiane przez Torę. Zawiera ponad 250 zakazów i ponad 360 nakazów. Gemara to szczegółowy komentarz precyzujący, jak rozumieć Słowo Boże. Nad Miszną i Gemarą biedzą się po dzień dzisiejszy uczniowie jesziw, młodziaki i wiekowi starcy.

Studiowanie Talmudu jest jak medytacja. Zdaje mi się, że z tego powodu uczniowie jesziw, zwłaszcza chasydzi, mają szkliste, niewidzące oczy, są zgięci w znak zapytania, patrzą na świat, jakby brodzili w chmurach. I co się dziwić, jeśli 20-letni chłopak spogląda na wers rozbierany na drobne od dwóch tysięcy lat. Już ma odpowiedź, a ta nagle umyka, już wie, a przekonuje się, że nie wie nic. Ślęczy nad Talmudem dekadę, dwie, trzy. Włosy mu posiwiały, zgubił wzrok, kark zgiął się ku ziemi. I znowu – niby już wie, by za chwilę przekonać się, że nie wie.

Za nienawiścią do Żydów wygnanych z Palestyny szła w Europę nienawiść do Talmudu. Cesarz Justynian Wielki zakazał jego czytania. W Hiszpanii przed wypędzeniem Żydów przez Izabelę Katolicką cenzurowano jego fragmenty uznane za antychrześcijańskie. Wielu papieży kazało palić Talmud na stosach. Zniknął z watykańskiego indeksu ksiąg zakazanych dopiero – nie uwierzycie – w latach 60. ubiegłego wieku.

## **Tola'at Sfarim**

W wolnym tłumaczeniu na polski Tola'at Sfarim znaczy „mól książkowy”, choć w Izraelu książki zjada nie mól, tylko robał, taki sam, jak czasami siedzi w jabłku. To moja ulubiona księgarnia w Tel Awiwie, usytuowana przy placu Królów Izraela przemianowanym na plac Icchaka Rabina. Ciasna niczym dziupla, bo stoją w niej stoliki, można wypić kawę, zjeść ciastko prawie domowe; wiosną kawa i słodkości przenoszą się do ogródka. Miejsce kultowe, zna je każdy miłośnik książek, a tych w Izraelu tylu co Izraelczyków.

W Tola'at pierwszy raz rozmawiałem z Israelem Segalem. Wysoki, tak go pamiętam, suchy, z kilkudniowym zarostem. Obcy ludzie kłaniali mu się, bo Israel był znanym dziennikarzem telewizyjnym i pisarzem, dla wielu autorytetem. Trudny w obsłudze. Palił marlboro – jeden papieros na trzy machy – trawę, lubił whisky, za szybko jeździł samochodem. W ogóle żył tak mocno, dosłownie, gęsto, jak zwykli ludzie nie umieją żyć. Aż umarł na nieznaną chorobę. Kiedy się o tym dowiedziałem, pomyślałem, że Israel nażył się po prostu i powiedział Bogu, w którego nie wierzył: „Mam już dość, spróbuję czegoś innego”.

\*\*\*

Israel urodził się w Jerozolimie, w religijnej rodzinie osiadłej w Ziemi Świętej ze 200 lat temu. Ukochany syn, najzdolniejszy i najbardziej obiecujący. Mama Israela, ortodoksyjna Żydówka (patrz C i J), popełniła grzech szczególny – kochała książki, więc tą miłością zaraziła syna.

Segal studiował w jesziwie Poniewież, to taki Harward, Oxford, Sorbona albo Yale. Należał do najlepszych studentów, miał zostać wybitnym rabinem. Pewnego razu trafił do biblioteki (wiedział, że grzeszy, czytając dziwne książki, więc chodził tam chyłkiem), a stara bibliotekarka dała mu książkę Karola Darwina „O pochodzeniu gatunków”. Na zdjęciu Darwin wyglądał jak najdostojniejszy rebe. Wiara, dzięki której Israel fruwał nad chodnikami Jerozolimy, zaczęła się chwiać.

Aż w końcu dorwał się do pism Fryderyka Nietzschego. Przeczytał w nich zdanie: „Bóg nie żyje”. Zemdlał, a kiedy wrócił do przytomności, zdjął czarny kapelusz i kipę. Nie wrócił do jesziwy, rodzina – tak bywa w przypadku apostatów – wyrzekła się go i oficjalnie uznała, że zmarł;



urządzono nawet stypę.

Israel odszedł od religii. Miał 19 lat. Po świeckiej stronie Izraela nie znał nikogo. Sypiał w autobusach odpoczywających na przystankach końcowych, dojadał resztki w knajpach. Mówił wykwintnym hebrajskim, jak z pobożnych pism, lecz nie rozumiał języka, którym mówi ulica. Ludzie mieli go za meszuga – wariata; chasydzki kaftan, lecz odkryta głowa, brudny, śmierdzący, z rozbieganym wzrokiem. Z niebytu wyciągnęła go służba wojskowa; nie musiał służyć, bo ortodoksyjni Żydzi nie muszą, ale poszedł na ochotnika.

Brat Israela rabin Dan Segal, wpływowy tak jak kilku ministrów pospołu, nie pozwolił mu uczestniczyć w pogrzebie ojca. Dla ortodoksyjnych Żydów z Me'a Sze'arim Israel przestał istnieć. Zbiesił się dopiero wtedy, gdy umarła matka. Olał zakazy, poszedł do kostnicy i na pogrzeb. Miał – mówił – w sobie taką moc, że nie zatrzymałaby go żadna armia.

O tym wszystkim napisał książkę.

Niekiedy dostawał anonimowe kartki od młodych chasydów: „Przeczytałem, co mam robić?”. Czasem ten i ów próbował skłonić go do powrotu do wiary, nawet tylko na pozór. Nie wrócił, bo nie chciał być hipokrytą. Wybrał wolność, która w tym miejscu duszy, gdzie mieszka dobrowolna wiara, stworzyła pustkę. Gdy wierzył – opowiadał mi w Tola'at Sfarim – wszystko ze wszystkim zgadzało się w najlepszym porządku, a on sam lewitował nad chodnikami Jerozolimy jak upalony haszem. Skończyło się, zaczął chodzić. Chodzenie bywa o wiele trudniejsze.

XXX

Zostawił po sobie plik zapisanych kartek; leżą w szufladzie u naszego wspólnego przyjaciela Leona Sfarda. Jest tam historia aż tak niezwykła, że być może mogła się wydarzyć.

Idzie to tak: pewien Izraelczyk dręczony brakiem kasy uznał, że znalazł sposób, jak zarobić pieniądze. Dadzą mu je w formie odszkodowania Niemcy, a konkretnie jeden koncern chemiczny zatrudniający w czasie drugiej wojny światowej żydowskich niewolników. Wytatuował więc sobie obozowy numer. Naczytał się literatury o Holocauście, rozmawiał z ocalonymi, szukał relacji, wbijał w głowę detale. Chodził na spotkania grup terapeutycznych, spowiadał psychoanalitykom, poddawał się sugestiom najlepszych psychologów. Aż w końcu stał się ocaleńcem, przeżywał w snach obozowe koszmary, chował po szafkach zeszcłe kawałki chleba, bał się mundurów i wrzasków, nienawidził psów, szczególnie owczarków niemieckich. Zamienił swoje życie w poobozowy koszmar. Specjaliści od traum i ludzkiej duszy uznali, że nie rokuje, by uzdrowić go z lęków i fobii, których nabawił się w kacecie, gdzie przecież nigdy nie był.

Założył sprawę sądową niemieckiej firmie; a ta najęła, ma się rozumieć, izraelskich adwokatów z pierwszej prawniczej ligi. Czekał na ogłoszenie wyroku – nie było wątpliwości, że wygra. Na ostatnim posiedzeniu sądu prawnicy wnieśli o powołanie nowego świadka. Na salę wszedł Żyd; specjalnie przyjechał do Izraela aż z Argentyny czy innej Brazylii. Miał na przedramieniu taki sam obozowy numer. Kurtyna.

Israel nie powiedział chyba nikomu, jak dalej potoczyły się losy jego bohatera oszusta. Nie wyjaśnił, czy wszystko zmyślił, a może naprawdę wysłuchał takiego człowieka. Odszedł. Książka

czeka na wydawcę. Tyle że Leon nie wie, czy Israel chciał ją wydać.

## Tel Awiw

W Tel Awiwie jest jeszcze wiele miejsc, do których ciągnę jak do Tola'at Sfarim. Np. do Michaela na rogu Dizengoffa i Żabotyńskiego, żeby spotkać się z Etgarem Keretem. Z Ifat umawiałem się w starym porcie albo na bulwarze Rothschilda, niedaleko jej domu. Z Joramem w polskim Szczupaku. Z Tamar i Szlomim – w Mike's Place, gdzie ciągle stoi puszka, do której goście wrzucają po kilka szekli, datek na wsparcie ofiar samobójczego zamachu bombowego z 2003 r. A gdy się z Mike's Place dobrze wychylić, można zobaczyć beton zrujnowanej dyskoteki Delfinarium, kiedyś modnej wśród młodych Rosjan i świeżych emigrantów. Stoi przed nim tablica z nazwiskami 21 osób. Zginęły na początku drugiej intifady, w 2001 r.

Lubię nadmorski Hayarkon. Lubię ulicę Ben Jehuda (kiedyś nazywali ją Jeke Strasse, od domów zbudowanych w stylu Bauhausu – swoją drogą to największe skupisko modernistycznych budynków na świecie, wpisane w 2003 r. przez UNESCO na Listę Dziedzictwa Ludzkości – przez emigrantów z Niemiec, jeke właśnie). Lubię dzielnicę jemeńską, ciągle pełną baraków i bud; burzą je właśnie, by stawiać drapacze chmur. Dobrze mi na telawijskim suku, gdzie panującym językiem jest rosyjski. Podoba mi się na Allenby, choć ten lepszy Tel Awiw tam nie chadza. Lubię plaże, mimo że tłoczne.

Nie podoba mi się za to nowy budynek izraelskiego teatru narodowego Habima, ale chyba w Tel Awiwie nikomu on się nie podoba. No i wysokościewce, których będzie więcej i więcej.

Za to tutejsi taksówkarze, w przeciwieństwie do jerozolimskich, nie oszukują albo robią to o wiele dyskretniej.

Tel Awiw założono w 1909 r. na ziemi kupionej od Arabów. Nazwa miasta wygrała w konkursie; oznacza Wzgórze Wiosny. Rozwijał się błyskawicznie, planowo, wedle wcześniej narysowanych założeń i wnet przerósł pobliską, starożytną Jafę (patrz Y), z której tureckie władze Palestyny wysiedliły Żydów. W 1925 r. burmistrz Meir Dizengoff uznał, że Tel Awiw będzie ogrodem, i tak jest po dziś dzień. Podczas drugiej wojny światowej był celem włoskich nalotów lotniczych.

Nawet Izraelczycy powiadają, że gdy jadą do Tel Awiwu z Jerozolimy albo z Be'er Szewy, jadą za granicę. To miasto ma specyficzną atmosferę, jest łagodne i miękkie, lecz nie można powiedzieć, że zabrano mu charakter. Całkiem niedawno uznano, że Tel Awiw należy do sześciu najbardziej rozrywkowych, sympatycznych, bezpiecznych miast świata; przestępczość na ulicach jest bliska zera, agresja nie istnieje. Pełna zgoda, choć spacerując zielonymi bulwarami, nie sposób nie zauważyć białych, betonowych obelisków (czasem przysiadają na nich zmęczone dzieci) wystawionych ku pamięci ofiar samobójczych zamachów (patrz I). Ale w tym mieście nie czuć strachu, a raczej nieustanną zabawę – knajpy otwarte do białego rana (w tych najlepszych trzeba rezerwować stolik nawet w poniedziałkowy wieczór), dobre wino, gwarne ulice. Klimat bywa okropny, latem za gorąco i zbyt wilgotno, lecz z biedą można przeżyć. Dużo psów, lecz ulice czyste.

Jerozolima (patrz J) jest rozedrgana, ludzie lubią tam dochodzić swoich bezwzględnych racji. Be'er Szewa – wyschnięta (patrz U), otoczona beduińskimi biedawioskami, co przygnębia bardzo. Hajfa nie przypadła mi do gustu. A w Tel Awiwie w jednym domu mieszka para gejów (gejowskie portale na całym świecie oznajmiają, że to miasto najbardziej im życzliwe) i wielodzietna, ortodoksyjna rodzina. Nie muszą się od razu kochać. Ale znoszą swoją obecność z sympatią, nie

wchodzą sobie w drogę. Coś jednak jest w telawijskim powietrzu, że ludzie tu łagodniejsi. W całej aglomeracji będzie ich milion z hakiem.

# U

---

## Upał

Izraelski upał niejedno ma imię. Odmian upałów jest tyle, że trudno je wyliczyć.

Jest więc upał z Tel Awiwu (patrz T) i Jafy (patrz Y), tak samo dotkliwy dla Żydów i Arabów, dla przyjezdnych i tubylców. Zaczyna się wczesną wiosną, a kończy późną jesienią, gdy ściany białych domów na Ben Jehuda, Nordau, Dizengoff zaczynają powolutku oddawać ciepło nagromadzone w letnie dni. Wtedy w Tel Awiwie zaczyna być naprawdę miło, jeśli nasze samopoczucie zależy od pogody. Lato to koszmar, a pytanie brzmi: jak ludzie mogą żyć w takim koszmarze i na dodatek wyglądać na zadowolonych?

Telawijski upał jest podstępny, bezwzględny i wszechobecny. Nie ma przed nim ucieczki, chyba że w chłodne, szczelnie zamknięte wnętrza, gdzie szumi klimatyzacja, albo do samochodu, choć wcześniej trzeba przeżyć tortury, bo jak usiąść na rozpalonym siedzeniu, jak wytrzymać pierwsze chwile w kabinie rozgrzanej jak piec hutniczy? To upał opity wilgocią jak gąbka i dlatego bezlitosny, wchodzący w każdy zakamarek, zaułek, bramę i podwórko; mokra sauna zafundowana przez przyrodę wszystkim naraz i każdemu z osobna, nawet jeśli do sauny nie chce. Telawijskie ulice są zielone i zadrzewione, a więc pełne cienia, półmroku, zachęcające do włóczęgi. Tyle że cień nic nie pomaga, upał dopada również pod drzewami.

Upałowi nie poradzi nawet noc. Słońce zaszło (dzieje się to błyskawicznie: jest i nagle go nie ma), ale grzeją mury. Może być jedenasta lub trzecia nad ranem, a gorąc taki sam.



*U jak Upał – Beduini z pustyni Negew – słyszę – to jeden z największych problemów Izraela. Nieprawda – mówią inni. To jeden z największych wyrzutów sumienia*

Upał sprawia, że Tel Awiw żyje nocą, bo kiedyś przecież żyć musi. Bary i knajpy otwarte, niektóre sklepy również, na ulicach tłum. Tłum telawiwski jest z musu (ale też ochotnie) barwnie rozneglizowany: szorty i klapki, kuse spódniczki i topy kończące się ledwie pod biustem, nagie ramiona, gołe brzuchy, pępki na wierzchu (ach, te smukłe, wysokie, czarnoskóre dziewczyny z Etiopii), tatuaże. Garnitur, marynarka to w Tel Awiwie wyrafinowane samobójstwo; zresztą koszula, może być bardzo przewiewna, to również niemal śmierć. Wystarczy przejść kilkaset metrów, by wyglądała jak świeżo wyjęta z pralki, mokra od potu, lepka i słona. Żołnierze – ci dopiero mają tu kiepsko; w Tel Awiwie mundur jest gorszy od koszuli.

Przed upałem Tel Awiw ucieka nad morze. Nic w tym oryginalnego; ostatnia deska ratunku nigdy nie jest oryginalna. Plaże ciągną się przez całą długość miasta: żółte, z miękkim piaskiem, szerokie. Przy nadmorskim bulwarze Hayarkon, po lewej stronie, idąc w kierunku Jafy, tuż za strefą wielkich hoteli, jest fontanna. Niestety, dookoła nie ma barów, tylko sklepiki otwarte długo w noc, co jakoś ratuje sytuację. Przychodziłem tam późnym wieczorem zmęczony całodziennym upałem. Można było wytrzymać.

Warto też wiać przed gorącem do portu, który już dawno nie jest portem, ale siedliskiem pubów, klubów i eleganckich butików. Byłem tam raz na śniadaniu z Ifat, sefardijką z Iranu; mówiła, że lubi telawiwskie gorąco, zwłaszcza w porcie, gdzie chłodzi morską bryza. Piliśmy białe wino, choć pora niestosowna, zmieszane z sokiem z czarnej porzeczki. Wyszliśmy może do

jedenastej przed południem. Za gorąco, choć o niebo lepiej niż w mieście.

XXX

Jest też upał z Be'er Szewy, miasta na pustyni Negew (patrz P). Temperatura wyższa niż w Tel Awiwie, lecz łatwiej ją znieść, gdyż wokół piasek i stuprocentowa suchość, a często i wiatr, jak zmieszany z piaskiem gorący powiew znad rozżarzonego ogniska.

Chodziłem po Be'er Szewie z prof. Rijadem Agbarią, farmakologiem światowej sławy, jedynym arabskim dziekanem na tamtejszym uniwersytecie Ben Guriona. Ulice wyludnione, jakby Be'er Szewa była kompletnie wymarła, nad chodnikami wiruje pustynny kurz. Profesor, podobnie jak Ifat z Tel Awiwu, mówił, że lubi upał, tym razem be'erszewski. Lecz wnet zaproponował, byśmy się jednak gdzieś schowali. Wybraliśmy samochód i wycieczkę pod miasto.

Pojechaliśmy więc do Ofran, profesorskiego osiedla pod Be'er Szewą: domy za ciężkie miliony szekli, wymuskane trawniki, kwitnące kolorowo krzewy, rabaty pełne kwiatów, a nad tym wszystkim szum wody ciekącej z rur i rureczek, tryskającej ze spryskiwaczy, zraszaczy, małych deszczowni, a nawet kapiącej – co za marnotrawstwo – z niedokręconych hydrantów (patrz W). W Ofran woda łagodzi upał, a trawa odmienia żółty, zakurzony krajobraz pustyni. W Ofran da się żyć, nawet jeśli temperatura przekroczy 40 stopni. Cień drzew rosnących w Ofran to cień prawdziwy, dający wytchnienie. W Ofran można leżeć na trawniku pod rozłożystym platanem i mieć upał w głębokim poważaniu.

Wszystko to sztuczne, stworzone przez człowieka. Bez wątpienia powód do dumy, bo nie jest łatwo zabrać pustyni kilka hektarów, gdzie piasek i skały, by w kilka lat zamienić to w kwitnące ogrody. Ale też do zażenowania; wnet pojedziemy do Telszewy, marniejszego brata Ofran; osiedla powstały mniej więcej w tym samym czasie, lecz dla kogo innego.

XXX

W Telszewie mieszkają Beduini osiedleni tam przymusem oraz podstępem obiecującym lepsze życie. W latach 60. uznano, że pustynni nomadowie powinni porzucić stada kóz i wielbłądów, a w miejsce wędrowki wieść życie osiadłe, w specjalnie dla nich pobudowanych miasteczkach, takich jak Telszewa; przyznajmy, że wcale nie gorszych od osiedli dla nowych żydowskich imigrantów. Mosze Dajan nazywał ten projekt prawdziwą rewolucją – zamienić wędrowców w nowy proletariat albo w prawdziwych rolników to wyzwanie na miarę izraelskich aspiracji.

Zakazano więc wędrowek, liczne rodziny wprowadziły się do betonowych klocków z małutkimi oknami, jakby ludziom nawykłym do pustynnych przestrzeni okna nie były potrzebne. Beduini siedli przed telewizorami, a tradycyjne noże noszone przy pasach zamienili na kapcie. Nowe ulice w Telszewie miały jeszcze równą nawierzchnię. Zdawało się, że kilkadziesiąt tysięcy izraelskich Beduinów doszło wreszcie do cywilizacji. Nie przejmowano się zbyt, że stracili ziemię, do której nie mieli spisanych tytułów własności (przeszła na własność państwa). Zyskali za to – zapewniano – szanse na rozwój.

Miało więc być lepiej, a wyszło gorzej. Nomadom dopadły choroby cywilizacji: nadciśnienie, otyłość, cukrzyca, nowotwory. W miasteczkach takich jak Telszewa pojawiły się narkotyki. Okazało się wnet, że w betonowych klockach nie starczy miejsca dla wszystkich, więc na piaszczystych podwórkach wyrosły namioty. A może Beduini po prostu nie chcieli mieszkać w domach?

Zresztą betonowe są tu stragany na miejskim targu. Betonowe są słupki, na których wisi podarta siatka, otaczają samochodowe szroty. Z betonowych bloczków zrobiono miejski śmietnik. Nie ma takiej możliwości, by ktokolwiek był szczęśliwy, żyjąc w otoczeniu betonu.

O ulice nikt nie dbał, więc szybko zmieniły się w dziurawe, wyboiste trakty. Dzieci rodziło się prawie tyle co w ultraortodoksyjnych rodzinach żydowskich, więc szkoły okazały się za małe; dziś wiele dzieci z Telszewy uczy się w blaszanych barakach. Śmiertelność niemowląt wśród Beduinów jest najwyższa w całym Izraelu. Nie zmieniły się klanowe obyczaje, więc ze świecą szukać tu wykształconych kobiet. Mężczyzn zresztą też. Rak piersi zbiera śmiertelne żniwo; beduińskiej kobiety nie dotknie lekarz mężczyzna, a niekiedy – bywa – również lekarka, która nie jest Beduiną. Lekarek Beduinek nie ma.

Rośnie za to przestępczość. Beduińskie gangi narkotykowe dotarły nawet do Jafy (patrz Y), co pokazano na filmie „Ajami” (patrz F). Klanowe sądy rozsądzają spory, nie oglądając się na prawo.

Połowa Beduinów mieszka w osiedlach takich jak Telszewa. Druga połowa – w nieuznawanych wioskach, czyli skleconych z blachy i folii siedliskach, których nie ma na oficjalnych mapach, bo nikt nie wyraził zgody na ich pobudowanie. W nieuznawanych wioskach nie ma dróg, poczty, telefonów, adresów, co znaczy, że jeśli ktoś zachoruje, pogotowie nie wie, gdzie ma dojechać. Nie ma szkół, sklepów, nikt nie zbiera śmieci. Nieuznawana wioska może w każdej chwili zostać zburzona i często tak się dzieje, mimo protestów izraelskich organizacji praw człowieka. Nędza w nieuznawanych wioskach, mimo licznych stad kóz wałęsających się wokół, wygląda tak jak najbiedniejsze miejsca Afryki.

Beduini – usłyszę – to jeden z największych problemów Izraela. Nieprawda – powiedzą inni. To jeden z największych wyrzutów sumienia. A przecież coś im się należy. Po pierwsze, są pełnoprawnymi obywatelami. Po wtóre, to najlepsi zwiadowcy w izraelskiej armii (patrz I).

Beduiński wyrzut sumienia nie ma nic wspólnego z wyschniętym upałem Be'er Szewy i Negewu.

XXX

Jest też upał jerozolimski (patrz J). Umie być równie dokuczliwy jak ten suchy z Be'er Szewy, choć z racji na wysokość położenia temperatura nie skacze tak wysoko. Upiorny w środku dnia, duszny na Starym Mieście i wietrzny w okolicach Knesetu, gdzie przestrzeń otwarta, skora do przeciągów. Pod wieczór jerozolimski gorąc umiera, by nad ranem zostać wyparty przez górską rzeźkość; nie od rzeczy jest w Jerozolimie cienki sweter.

Zdaje mi się, że najdotkliwszy jerozolimski upał jest w okolicach bram do Starego Miasta: Jafskiej, Nowej i Damasceńskiej. Brama Jafy to początek drogi większości turystów. Idzie się ku niej od ulicy Króla Salomona, lekko w dół, po białych, wapiennych płytach, wzdłuż białych murów, gdzie tylko rachityczne palemki, więc cienia za grosz. Po prawej ręce jest ruchliwa czteropasmowa

jezdnią, w znacznej części ukryta w tunelu, ale i tak upał miesza się ze spalinami i rykiem samochodowych silników.

Brama Nowa jest przy Króla Salomona. Wąska, wciśnięta w mury, choć ulica tu dość szeroka, w asyście okazałych trawników i torów tramwajowych.

Za to wejście w Bramę Damasceńską to kamienna niecka. Tam, jakby nie wiało w mieście, powietrze zastyga, więc upał podwójnie nieznośny. Najgoręcej jest w piątkowe ranki, gdy Bramą Damasceńską arabski tłum idzie ku Meczetowi Al-Aksa. Bywa, że w Izraelu dzieje się jakieś zamieszanie (lub groźba zamieszania, ryzyko dla bezpieczeństwa – patrz B), sprawia, że wojsko i policja grodzą szlak, a na chodnikach wokół bramy rozsiada się arabski tłum. Przeważnie młodzi mężczyźni, gdyż głównie to im nie wolno wejść za staromiejskie mury. Upalnie jest wówczas nawet zimą, gdy zdarza się, że w Jerozolimie pada śnieg. Ale to już zupełnie inna historia.

XXX

Nadto jerozolimski upał na zapach. Gdyż Jerozolima to wielki targ, na Starym Mieście, ale też przy ulicy Jafskiej i Nablus Road. Zapach nasila się pod wieczór, gdy stragany zamykają żelazne wrota, a po zaułkach zaczynają chodzić czyściciele ulic. To zapach gnijących liści winogron, szalwii, mięty, zetlałych strączków okry, gnijących bakłażanów i pomidorów, sprzedawanych z płacht rozłożonych wprost na chodnikach. Zaduch rozgrzanego mięsa dobiegający z baranich i wołowych jatek, tłuszczu, kebabów, których nie udało się sprzedać, przypraw z każdego zakątka świata i gazu ulatniającego się z przerdzewiałych butli. Zapach kurzu, gorących kamieni i potu tysięcy ludzi, którzy przez cały dzień chodzili tymi zaułkami. Kadzidel z chrześcijańskich świątyń. I haszyszu, który ómia arabscy (ale też żydowscy) narkomani; zapach zabronionego przez Koran alkoholu czuć na kilometr, dym z fajeczki zaś rozwieje się w powietrzu.

XXX

Pojechałem pewnej wiosny w Dolinę Jordanu. Akurat nie po upał, lecz doświadczyłem czegoś, co jest poza zmysłami. W Jerozolimie panował chłód, w Tel Awiwie było przyjemnie ciepło, w Be'er Szewie podobnie, a tam rozgrzane piekło – wiosna, a już pod 40 stopni, bo w Dolinie Jordanu tak jest. Spotkałem Szulamit, Żydówkę przybyłą z USA, która w tym krajobrazie złożonym z piasku, skał, niegościnnych gór i sztucznych oaz znalazła swoje miejsce. Powiedziała, że prawdziwy upał nadejdzie za kilka tygodni; 50 stopni w cieniu to norma, ale – zapewniała – można się przyzwyczać.

A więc Jordan, opisywany przez najstarsze święte księgi (dlatego w wyobraźni jawi się jako rzeka ogromna i potężna), to ledwie szersza struga, przy której mazowiecka Pilica wygląda jak Amazonka. Z jednej strony – Terytoria Okupowane, z drugiej – królestwo Jordanii. Wilgoci z rzeki starcza raptem na kilkusetmetrowy pas; dalej rozciąga się najdoskonalsza pustynia (patrz P). A jednak – jeśli wierzyć księgom – od tysięcy lat mieszkali tam ludzie. Hodowali zwierzęta i uprawiali ziemię. Nie mieli klimatyzowanych domów, by schronić się przed słońcem.

To, co żydowscy osadnicy doby Izraela zrobili z Doliną Jordanu, jest niesamowite. Do wojny sześciodniowej 1967 r. (patrz W) nie było tu nic prócz wyschniętych parowów, jaszczurek, gazeli i



ruin zamków krzyżowców. Osadnicy odczytali dosłownie zapewnienia płynące z najstarszych przekazów, że jednak kiedyś nad Jordanem mieszkali Żydzi. Posadzili wszelkie warzywa (w styczniu i lutym niemal każda zjadana w Europie młoda marchewka urosła nad Jordanem) i zboże, palmy daktylowe, a nawet bawełnę, która potrzebuje hektolitrów wody, towaru najbardziej deficytowego. Planują uprawy na dziesiątki lat w przód.

Problem w tym, że chyba są nie u siebie, choć sobie zawdzięczają to, co mają. I uważają, że jednak są u siebie. Bo kto stawiał domy, kto orze pola, kto w końcu patroluje jedyną drogę wzdłuż Jordanu, nie po to, by łapać przekraczających dozwoloną prędkość, lecz odnaleźć zepsute samochody; niesprawne auto pośrodku pustyni, gdzie temperatura przekracza 50 stopni, to dla pechowego kierowcy wyrok.

Wedle traktatów pokojowych z Oslo (patrz O) między Izraelem a Palestyńczykami Dolina Jordanu to część przyszłej niepodległej Palestyny. Ale osadnicy ani myślą się wynosić. Mają za sobą – uważają – zapisy w tysiącletnich tekstach (w czasach Abrahama rosły tu palmy daktylowe, choć archeolodzy nie umieją tego potwierdzić), bieżącą politykę i własną zawziętość, a może wytrwałość. A także bezpieczeństwo Izraela, które wymaga, jak się zdaje, by Dolina Jordanu została żydowska.

Jeśli nie – drżycie narody. Niech no zmieni się władza w Jordanii, króla Abdullaha II zastąpi ktoś bardziej czupurny, a wówczas naturalna granica, jaką jest rzeka, zamieni się pod władzą Palestyńczyków w otwarty trakt: przejdą nim partyzanci i terroryści, przejdą czołgi, Izrael odsłoni miękkie podbrzusze. Kłopot w tym, że bez Doliny Jordanu niepodległa Palestyna będzie tylko jeszcze węższą kreseczką na mapie, niż byłaby z doliną. Świat tak ma, że kreseczki nie bywają niepodległe.

## Uzi

Kultowy (jeśli narzędzie do zadawania śmierci można tak określić) pistolet maszynowy na wyposażeniu izraelskiej armii (patrz I); dla niepodległości – akurat Izraela – broń szczególna.

Zaprojektował go w 1951 r. inżynier Uziel Gal. Strzela nabojami 9 mm, takimi jak parabellum, ogniem ciągłym lub pojedynczym. Można uzi zanurzyć w wodzie, utyłać błotem i zasypać piaskiem, można używać go jak młotek, a potem wyciągnąć, otrzepać i pistolet wciąż strzela. Lekki, poręczny, taka zabaweczka do zabijania. Gdyby inżynier Gal wymyślił np. wirującego bąka pierwszej jakości albo narożną szafkę większą od rogu, w którym stoi, świat by się nad nim nie pochylił.

Od czasu wynalazku Gala pistolet uzi był wielokrotnie modyfikowany. Licencję na jego produkcję sprzedano m.in. do Belgii. Jest na wyposażeniu sił specjalnych wielu krajów świata. W swojej kategorii uchodzi za cacko, podobnie jak rosyjski kałasznikow. Być może to jeden z najbardziej pożądanych pistoletów maszynowych na świecie. Ponieważ wiele prawdy jest w przysłowiu, że „człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”, warto dodać, że z uzi strzelają z wielką przyjemnością również terroryści, arabscy, lecz nie tylko.

Nie podoba mi się uzi, bo generalnie nie lubię takich zabawek.

Największy, najwierniejszy, niekiedy najbardziej bezmyślny sojusznik Izraela. Wedle każdego antysemity opanowany przez żydowskie lobby, bo – wiadomo – Żydzi to kasa, kasa to wpływy, wpływy to tajemne związki, a tajemne związki to masoni, którzy najpewniej zżydzieli lub są Żydami. Kółko zamknięte.

Prawda jest tylko taka, że w USA żyje bardzo liczna żydowska diaspora, od Woody’ego Allena, neurastenicznego inteligenta z Nowego Jorku, po ortodoksów z sekty Lubawiczów, zresztą też z NYC. No i Żydzi, akurat z Polski, założyli Hollywood. Podobno nadal są tam najważniejsi, choć Robert De Niro albo Meryl Streep z Żydami nie mają nic wspólnego.

Na czym więc polega ta żydowska wpływowość? Po pierwsze, głosują w każdym wyborach, liczniej niż inne mniejszości. Po wtóre, uczą się, uczą i uczą. Dzięki udziałowi w wyborach i uczeniu się urosli w oczach antysemitów do rangi podziemnej mafii. Interesujące, że w USA prawie nikt tak nie myśli, bo tam antysemitów szukać ze świecą. Ale wszystko to wiedzą ci, którzy Ameryki – bywa – nie widzieli na oczy. Takie postrzeganie świata jest, niestety, chorobą nieuleczalną.

Skoro Żydzi uczą się, to obejmują stanowiska. Opowiadał mi pewien wysoko postawiony człowiek w jednej z kilku organizacji amerykańskich Żydów, na czym ta wpływowość polega. – Żydem – mówił – jest naczelny wpływowego pisma reprezentującego poglądy Republikanów. Żydem jest również naczelny głównego pisma Demokratów. Różnią się jak pięść i nos, dzieli ich wszystko prócz pochodzenia. Raz w Ameryce górą są Republikanie, raz Demokraci. Dla antysemity to wszystko jedno, bo i tu, i tu są Żydzi, więc Żydzi rządzą.

Izrael bardzo liczy na USA. Niechętni Izraelowi powiadają, że to zakotwiczony amerykański lotniskowiec na Bliskim Wschodzie, choć niekiedy polityka Izraela wścieka USA i vice versa.

I – jak wszędzie na świecie – USA jawią się w Izraelu niczym raj oraz miejsce wszelkich możliwości. Jeśli Izraelczycy chcą emigrować, to głównie do USA.

Lecz jest w izraelskim stosunku do USA nutka ironii. To np. napis na koszulce: „USA don’t worry, Israel is behind you” umieszczony pod rysunkiem myśliwca F-16. Takie koszulki można kupić wszędzie, lecz przede wszystkim w arabskich sklepikach na izraelskich targowiskach.

# W

---

## Wojna

Stan w Izraelu permanentny, od pierwszej chwili powstania państwa. Niekiedy jest zimna, często – gorąca. Zawsze paskudna. Można z nią żyć, jakoś się przyzwyczaić. Choć uwiera.

– Idę do sklepu, na kawę, na spacer i nie mogę ciągle myśleć, że obok mnie rozerwie się samobójca albo wybuchnie rakietka – opowiadał mi Etgar Keret (patrz K).

Ale myśli. Gdy urodził się Lev – syn Shiry i Etgara – dostałem jego zdjęcie: beztrosko uśmiechnięty niemowlak z wielkimi na pół twarzy, jasnoniebieskimi oczyma, pamiętce po polskich

babciach. Podpis brzmiał: „Najlepsza broń antyrakietowa”. O mój Boże.

XXX

Było tych wojen dość. Za dużo na 60 lat istnienia państwa. Każda z wojen miała specyficzny rys, była jakoś niepowtarzalna, rodziła zupełnie inne społeczne doznania.

W 1948 r. stał się cud. Izraelczycy, wbrew logice i prawom rządzącym wojnami, wygrali z koalicją państw arabskich, które postanowiły pokazać światu, kto na Bliskim Wschodzie rozdaje karty. Ten cud nie miał prawa się zdarzyć. Niespełna milionowe państewko chłopów pionierów, zasilone ocalonymi z Zagłady, bez regularnej armii i dojrzałych struktur, które kilkadziesiąt godzin wcześniej zadeklarowało niepodległość, zaatakowali sąsiedzi, liczniejsi, silniejsi, ukradkiem i niekonsekwentnie wspierani przez Brytyjczyków (np. Legion Arabski). Arabowie przegrali, choć na żydowskim zwycięstwie kładzie się cieniem Deir Jassin (patrz D), arabska wioska pod Jerozolimą spacyfikowana przez prawicowe bojówki Irgunu i Lehi.



*W jak Woda – Ta dostarczana rurociągami w najdalsze zakątki pustyni zmienia suche piaski w zielone ogrody*

Druga wojna to zwykła awantura, choć Izrael miał niezłe powody, by się w nią zaangażować (1956 r.). Lata wcześniej Egipt zablokował Kanał Sueski dla izraelskich statków. A jakby było mało – nie pozwalał na żeglugę żydowskim jednostkom w Zatoce Akaba.

Kiedy Gamal Abdel Nasser znacjonalizował kanał, odezwali się Francuzi i Brytyjczycy. Postulat zgłoszony w zaciszu gabinetów: trzeba Arabom odebrać kanał. Żydzi ze swoimi dobrymi powodami byli kapitalnym usprawiedliwieniem.

I znów – Żydzi wygrali, bo weszli (i wyszli) do Gazy i na Synaj, ale pomysł spalił na panewce.

Trzecia wojna to wojna sześciodniowa (1967 r.). Cud jeszcze większy niż wojna o niepodległość. Nie minął tydzień, a okazało się, że Izrael rozbił arabskie armie Egiptu, Jordanii, Syrii, Libanu. W kraju wybuchła euforia. Niektórzy ortodoksyjni rabini (patrz C), którzy wcześniej głosili, że żydowskie państwo powstanie tylko z przybyciem Mesjasza, umyślili, że żołnierze to „osiołki Boga”,

odzyskali Ścianę Płaczu, biblijną Judeę i Samarię, bo tak chciał Pan, by przybliżyć swoje królestwo. Judea i Samaria to Zachodni Brzeg, czyli miejsce, gdzie kiedyś Palestyńczycy stworzą swoje niepodległe państwo. Jeśli komukolwiek uda się tam wywojować pokój.

Niektórzy, np. Amos Oz (patrz O), wówczas czołgista, powiadali, że zdobycze wojny sześciodniowej to skarbonka: zapłacimy z niej za pokój. Większość uwierzyła, że niespełna tydzień walk wskazuje, iż Izrael to potęga. Być może radość wzięła się stąd, że takiego militarnego sukcesu Izraelczycy nigdy nie przeżyli.

Niedługo później jest wojna Jom Kippur (1974 r.). Tym razem nie ma uprzedzającego uderzenia Izraela, lecz to wojna z zaskoczenia, zrazu rozwijająca się marnie (klęska za klęską), by zmienić się w... No właśnie.

Gdyby nie polityka, izraelskie czołgi dowodzone przez Ariela Szarona wjechałyby do Kairu. I dobrze, że nie wjechały. Skutkiem wojny Jom Kippur jest pokój z Egiptem (Izrael oddał wszystkie zdobycze terytorialne, bez Gazy, bo Egipt jej nie chciał).

Potem – mija niespełna dekada – wybucha pierwsza wojna libańska. Trauma dla generacji dzisiejszych 40-latków plus, ale akurat z niej biorą się najlepsze rozrachunkowe książki i filmy (patrz F). Poziom absurdu niektórych rozkazów sięgał zenitu; opowiadał mi reżyser Ari Folman o zdobywaniu jakiegoś wzgórza bez żadnego taktycznego i strategicznego znaczenia oraz o plastikowych workach, w których helikoptery wywoziły ciała zabitych. Za to na wzgórzu pojawił się ówczesny premier Izraela Menachem Begin (patrz L). Zrobił telewizyjny show (za premierem przyjechały kamery), co z tego, że bez sensu.

Pierwsza wojna libańska przetrąciła kręgosłup Organizacji Wyzwolenia Palestyny, faktycznych władców Bejrutu w okresie tamtejszego domowego konfliktu między Libańczykami. Ale to również Sabra i Szatila, obozy palestyńskie rozstrzelane przez chrześcijańskie bojówki współpracujące z Izraelem. Na wieść o masakrze telawiwski plac Królów Izraela zapełnił się setkami tysięcy wściekłych demonstrantów. Ariel Szaron, zdobywca Bejrutu, został zmuszony do dymisji i wydawało się, że już nigdy nie odzyska głosu w izraelskim życiu publicznym.

XXX

W lipcu 2006 r. szyicki Hezbollah ostrzelał rutynowy izraelski patrol jadący wzdłuż libańskiej granicy. Dwóch żołnierzy – Ehud Goldwasser i Eldad Regev – zostało porwanych. Izrael odpowiedział nalotami i ostrzałem artyleryjskim libańskiego pogranicza. Tak rozpoczęła się tzw. druga wojna libańska, zwana też lipcową. Wymyka się wszelkim prawidłom.

Z militarnego punktu widzenia raczej nie ma wątpliwości, że Izrael wygrał i tę wojnę. A jednak jej przebieg i skutki wzbudziły wiele kontrowersji. Trwała 33 dni (Izrael zakończył blokadę morską Libanu kilka tygodni po ustanowieniu zawieszenia broni); o wiele dłużej niż wcześniejsze, błyskawiczne konflikty. Kosztowała ponad tysiąc ofiar, w tym 120 izraelskich żołnierzy i 43 cywilów. Około pół miliona Izraelczyków musiało uciekać ze swoich domów przed ostrzałem Hezbollahu, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Rakiety spadały na Hajfę, Nazaret, Afule, a nawet Haderę odległą od Tel Awiwu raptem o 60 kilometrów. Informowano o kłopotach w zaopatrzeniu

frontowych oddziałów. Już po zakończeniu wojny wyszło na jaw, że tuż przed izraelskim atakiem szef sztabu armii sprzedał na giełdzie swoje papiery wartościowe. Musiał podać się do dymisji. Dwóch wysokich rangą oficerów (również później zdymisjonowanych) obwieściło publicznie, że Izrael wojnę przegrał. Premier Ehud Olmert mówił w Knesecie o poważnych trudnościach i kłopotach. Izrael odzyskał ciała porwanych żołnierzy. Libański Hezbollah nie został rozbity.

Symbolem drugiej wojny libańskiej stała się śmierć 20-letniego żołnierza, Uriego Grossmana. Jego ojciec, znany izraelski pisarz Dawid Grossman, zrazu – jak większość Izraelczyków – był za wojną, by kilkadziesiąt godzin przed jej zakończeniem ogłosić wraz z innymi pisarzami, m.in. Amosem Ozem, apel do władz wyrażający zdanie większości izraelskiej opinii publicznej: kontynuowanie działań zbrojnych nie spełnia i nie spełni pokładanego w nich celu. Uri Grossman zginął od rakiety przeciwczołgowej tuż przed ogłoszeniem zawieszenia broni.

We wrześniu powołano specjalną komisję pod przewodnictwem sędziego Eliyahu Winogradowa oceniającą przebieg i skutki wojny. W raporcie znalazło się zdanie: „Paramilitarna organizacja złożona z kilku tysięcy ludzi przez kilka tygodni stawiała opór najsilniejszej armii na Bliskim Wschodzie”.

Rozmawiałem z Izraelczykami i Palestyńczykami na temat drugiej wojny libańskiej. Pierwsi w znakomitej większości byli przekonani o porażce: trwała za długo, armia nie była efektywna, Izraelczycy musieli uciekać, przyniosła zbyt wiele ofiar. Drudzy widzieli zwycięstwo Hezbollahu. Said z Jerozolimy powiedział mi: „Ci dzisiejsi Żydzi to już nie tacy sami Żydzi jak kiedyś. Kiedyś umieli walczyć i umierać. Dzisiaj potrafią uciekać. Gdyby Hezbollah miał lepsze rakiety, tłum uchodźców sparaliżowałby lotnisko Ben Guriona”.

Zdaje mi się, że druga wojna libańska złamała mit Izraela jako niezwyciężonej bliskowschodniej potęgi.

Liczyć się będzie dopiero ta wojna, którą Izrael – nie daj Bóg – naprawdę przegra. Co wówczas się stanie? Nie warto sobie wyobrazać.

## **Woda**

Woda słodka to coś, czego w Izraelu jest za mało, więc jest przedmiotem sporu z Palestyńczykami, ale też – arabskimi sąsiadami.

Woda, np. ta dostarczana rurociągami w najdalsze zakątki pustyni Negew (patrz P), uczyniła z suchych piasków zielone ogrody. Pochodzi z podziemnych cieków, podobno obfitych, ale też z odsalarni wody morskiej. Jordan, rzeka biblijna (dzięki pradawnym opisom wydaje się potężna), to coś jak podwarszawski Świder. Jezioro Galilejskie, zwane też morzem, w porównaniu z wielkimi jeziorami europejskimi to ledwie kałuża.

Woda to sprawa strategiczna; kto panuje nad studniami, określa dostęp do źródeł, ten rządzi regionem. Wodę można odebrać (bywa, że na Zachodnim Brzegu wojsko izraelskie niszczy podziemne cysterny zbierające deszczówkę, nawet te pamiętające jeszcze czasy rzymskie), co zdaje się czystym barbarzyństwem. Lub ofiarować; decyzję o budowie rurociągu z Izraela do Jordanii podjął osobiście Icchak Rabin (patrz R) i tak przypieczętował pokój między oboma krajami.

Woda słona zaś, czyli Morze Śródziemne, to w Izraelu raj. Plaże prawie jak na Helu, szerokie, z

drobnym, żółtym piaskiem. Temperatura wody i powietrza w sam raz do kąpieli. Wieje wiatr, więc wybrzeże to mekka żeglarzy. Fala zaś bywa wystarczająco długa, by ślizgać się po niej na desce surfingowej, może nie tak jak na Hawajach, choć prawie.

XXX

Na początku 2012 r. wybuchła sprzeczka polsko-izraelska o wodę właśnie (nie nazywam tego awanturą ani konfliktem, bo tamtejsza skala takie coś nazywa nieporozumieniem). Izraelska armia zniszczyła podziemne cysterny na wodę odnowione dzięki wsparciu Polskiej Akcji Humanitarnej. Cała akcja była zgodna z prawem (Arabowie nie wykorzystali wszystkich możliwości obrony cystern przed izraelskimi sądami, a te równo traktują Palestyńczyków i wojsko), a jednocześnie kompletnie bezrozumna, idiotyczna i jątrząca wystarczająco gorący nastrój Zachodniego Brzegu.

Widziałem na własne oczy tę beduińską wioskę rzuconą na zbocze suchego wzgórza, złożoną z prowizorycznie postawionych namiotów i zagród dla owiec. Szczyt wzgórza okupuje żydowskie osiedle – raj w porównaniu z dobytkiem Palestyńczyków.

Ani osiedlu nie przybędzie na okoliczność zniszczenia cystern, ani nie zyska na tym bezpieczeństwo Izraela. Ktoś nie pomyślał albo przeciwnie – pomyślał wedle reguł wielkiej polityki. Skrzywdził niewinnych, biednych ludzi. Niech przynajmniej przez jakiś czas ma koszmarne sny.

Y

---

## Yafo

Albo Jafa. Miejsce najzupełniej magiczne, choć (podobno) jeszcze nie tak dawno nadzwyczaj ponure, z zakazaną gębą, duszne, wrogie i jakoś bandyckie. Niby osobne miasto, ale dzisiaj właściwie dzielnica Tel Awiwu.

Nadmorski spacer z centrum Tel Awiwu, np. z rogu promenady Hayarkon i ulicy Fishmana, pod wieżę z zegarem na placyku u progu Jafy, gdzie zaczyna się ulica Yefet, zajmuje góra pół godziny z przystankiem na papierosa i puszkę piwa (patrz G). Piwo warto kupić w jednym z kilkunastu małych sklepików tuż przy plaży. Niby można przynieść je z supermarketu, gdzie będzie znacznie tańsze, ale, zwłaszcza latem, kiedy dojdziemy do morza w pobliże Jafy, okaże się, że smakuje jak podgotowana, gorzkawa lura.

Picie piwa na deptaku i na plaży nie jest tu zwyczajem powszechnym, lecz nie zauważyłem, by komukolwiek przeszkadzało. Za dnia, gdyż po zmroku przeszkadza, i to bardzo, zwłaszcza policji, lecz nie z powodów antyalkoholowych akcji, ale bezpieczeństwa (patrz B).

XXX

Pierwszy raz szedłem Hayarkonem do Jafy w początkach tego stulecia. Samolot, jak to do



Izraela, przyleciał o nieludzkiej porze, nie chciało mi się spać, więc wyszliśmy na spacer. Niebo było czyste, a słońce ledwie zbudzone. Daleko na plaży zobaczyłem kilka postaci i, zdawało się, jakieś kopki, czarne, lecz odbijające światło. Podeszliśmy bliżej. Postacie nosiły zielone spodnie i miały długie włosy, a kopki w dalszym ciągu puszczały niewyraźne zajączki skupionych promieni słońca. Jeszcze bliżej i okazało się, że te figurki w zielonych portkach to na wpół roznegliżowane izraelskie żołnierki (patrz I), a kopki to karabiny ustawione lufami w niebo, no i morze, granatowe, lekko wzburzone, piękne.



*Y jak Yafo – Co zdaniem wielu jest najlepsze w Jafie, a co najmniej w Izraelu? Nastrój miejsca bohemy, alternatywy i luzu, którego próżno szukać w Tel Awiwie*

Nie było tu jeszcze kikutów betonowych baraków, ciągle w plamach dymu i sadzy, których nikt nie zmywał. Stoją w nadmorskim parku (to zaledwie kilka trawników i tamaryszków) im. Charlesa Clore'a, żydowskiego filantropa z Wielkiej Brytanii. Była tu dyskoteka Delfinarium, popularna między nowymi imigrantami, zwłaszcza z byłego ZSRR. W Dzień Dziecka, 1 czerwca 2001 r., w kolejce do tańców rozerwał się palestyński zamachowiec samobójca. Zginęło 21 młodych ludzi. 120 zostało rannych. Pod Delfinarium stoją teraz tablice z nazwiskami ofiar; chyba nie ma takiego, które nie miałyby swojskiego, słowiańskiego brzmienia. Był to jeden z najbardziej tragicznych zamachów drugiej intifady (patrz I).

Wnet doszliśmy do Jafy. Na placyku pod zegarem już zaczynał się przedranny ruch. W arabskich knajpach rozpalano ogień, skrzypiały wózki z warzywami, rybacy ustawiali skrzynki pełne sardynek, okoni morskich, płaskich dorad i wszystkiego dobra, które mieszka w Morzu Śródziemnym. Na pchlim targowisku szykowano się do handlu. Chodniki zlewano zimną wodą.

Myślę, że wtedy tak bardzo spodobała mi się Jafa, mimo że nie była aż tak bardzo seksowna jak dzisiaj. Zresztą Jafa musiała być zawsze seksowna, skoro zamieszkał w niej wielki Samuel Agnon, izraelski laureat literackiego Nobla.



Pierwszy raz napisano o Jafie w Księdze Jozuego, szóstej księdze Starego Testamentu, niezależnej od Tory – Pięcioksięgu Prawa Mojżesza. Już wówczas był to ruchliwy port obsługujący Jerozolimę, jeden z najstarszych na świecie.

Jafą władali Egipcjanie, potem Żydzi i wojska Aleksandra Macedońskiego. Machabeusze, Rzymianie i Bizantyjczycy. Zdobyli ją Arabowie, by oddać krzyżowcom Ryszarda Lwie Serce i znowu odbić rękoma Saladyna, Kurda, ale też bohatera Arabów, uchodzącego za jednego z największych wodzów islamu. Należała do imperium otomańskiego. Przez krótko był tutaj Napoleon Bonaparte uwieczniony na obrazie „Zadżumieni w Jafie” (cesarz Francuzów przedstawiony jest niczym Chrystus pośród wiernych uzdrawiający dotykiem chorych).

Port w Jafie był wrotami pierwszej alii (patrz A) do Ziemi Obiecanej. Oglądał pogrom z lat 20. XX w.; arabski tłum spacyfikowali Brytyjczycy, po żydowskiej i arabskiej stronie padło mniej więcej tyle samo ofiar. Strajk jafskich dokerów z lat 30. wymusił decyzję, by w Tel Awiwie – podówczas rozwijającym się dynamicznie, ale jednak małym miasteczku (prawa miejskie od 1934 r.) – zbudować nowy port. Dziś w telawiwskim porcie najpewniej więcej jest knajp, barów, klubów z muzyką taneczną i eleganckich butików, niż cumowało tu statków, a jednak port w Tel Awiwie udusił jafski.

Co – być może – wyszło jafskiemu tylko na dobre, bo małe porty ze statkami to obecnie żaden biznes, a dla miasta tylko kłopot. Chcecie dobrze zjeść (niekoniecznie tanio), posiedzieć nad białym winem do późnej nocy, popatrzeć na linoskoczków i ulicznych grajków, a jeśli ktoś jest armatorem, zostawić jacht w nie najgorszej, bezpiecznej marinie – Jafa zaprasza.

Do izraelskiej wojny o niepodległość w Jafie mieszkało 50–60 tysięcy Arabów. Uciekli prawie wszyscy; w opuszczonym mieście zostało około czterech tysięcy mieszkańców, póki w pustych domach nie osiedlili się żydowscy uchodźcy z Europy, krajów Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu.

Są w Jafie synagogi i meczety; najstarszy pamięta średniowiecze. Są katolickie klasztory. Kościoły koptyjskie, armeńskie i maronickie, cerkwie ortodoksyjne i greckokatolickie. Są cmentarze niemal wszystkich wyznań, choć chyłkiem ubywa ich (podobnie jak pustych placów i starych, zrujnowanych domów), bo dzisiaj ziemia w Jafie droższa od złota, więc Kościoły handlują gruntami jeden przez drugi, a kasa trafia do Grecji, Libanu, a nawet Syrii, prawie zawsze przez Cypr.

Dzisiejsza Jafa jest niewiele mniejsza niż przed 70 laty. To miasto mieszane – na dwóch Żydów przypada jeden izraelski Arab (patrz A) – i tak zakręcone, że można spotkać tu arabskich taksówkarzy, którzy udają, że nie mówią po arabsku (kto odróżni po paszczy Araba od Żyda z Maroka?), oraz Żydów pilnie studiujących arabski. Arabowie to głównie dzielnica Adżami, o której przed paru laty dwóch młodych izraelskich reżyserów, Żyd i Arab, nakręciło fantastyczny, przejmujący film (patrz F) pt. „Ajami” nominowany do Oscara: kilka przeplatających się historii ze wspólnym, niespodziewanym finałem, z przemocą, mafią, biedą i izraelsko-palestyńskim konfliktem w tle, zanurzonych w klimacie jafskich zaułków, podwórek, w zapachu spalin i gnijących odpadków. Taka Jafa też istnieje, i to całkiem blisko turystycznych deptaków odpicowanej starówki, pełnej butików, galerii oraz najdroższych, za to najmniejszych jafskich restauracji.

Opowiadał mi Ahmed Maszarawi, telawiwski radny wybrany z Jafy z mieszanej, żydowsko-arabskiej listy, jak wyglądała Jafa jego dzieciństwa. Bieda z nędzą, dziurawe chodniki i brak kanalizacji, przemoc, strach, po równo wśród Arabów i Żydów, jak to w miejscu bandyckim. Tyle że Żydzi mieli gdzie umykać, więc wiali z Jafy do innych, nowocześniejszych i czystszych dzielnic Tel Awiwu. Arabów nikt nigdzie nie chciał, więc zostali.

I nagle, nie wiadomo skąd, ktoś zobaczył, jak piękne jest morze przy Jafie. Tak piękne, że warto tam budować. Ale w Izraelu nie wolno stawiać domów nad samym brzegiem, więc rychło na jafskie plaże wjechały ciężarówki z gruzem i śmieciami, Jafa odsunęła się od wody na tyle daleko, że można było wreszcie stawiać domy.

Wnet wypatrzone, że całkiem sporo jafskich posesji nie spełnia wymogów bezpieczeństwa; prościej je zburzyć i wystawić elegancki apartamentowiec. I tak rok po roku okazywało się, że zamieszkać w Jafie to coś, co ludziom (zamożnym, bo drogie to mieszkania) bardzo pasuje.

Również wówczas nieco uspokoiły się jafskie ulice. Jedni powiadali, że to rezultat zwiększonej aktywności policji, drudzy – że gangi dogadały się między sobą, gdyż w narkotykowym biznesie – detalicznym i hurtowym – spokój na ulicach przelicza się na pieniądze, a awantury tylko straszą klientów.

Jafę odkryli artyści z Tel Awiwu. Za nimi przyszły butikami z designerskimi ciuchami, biżuterią i ceramiką. Za butikami klienci, za otwartymi całą noc pubami – młodzież. Okazało się, że jafski pchli targ pasuje do nowego klimatu; można tam kupić wszystko, łącznie z prawdziwymi antykami, niestety, coraz rzadziej.

I tak rok po roku Jafa podnosi się z kolan. Ahmed Maszarawi cieszy się z tego, choć niekiedy ma nostalgiczną minę. Jafa pięknieje, a jego, Araba z Jafy, współziomkowie nie mają za żydowskiego kolaboranta, bo dostrzegli, ile dla miasta znaczą równe chodniki, odnowione ulice i nowe szkoły. Walczy z dobrym skutkiem, by w Jafie nie wystrzelały wieżowce, które zmieniają Tel Awiw w Manhattan lub Szanghaj.

Lecz z drugiej strony jafska przemiana oznacza, że jest drogo, a będzie jeszcze drożej. Na taką Jafę – odsztafirowaną, mimo że z nutką klimatu z dawnych lat – nie stać tutejszych. Jafa zmieniona w telawiwski Greenwich Village niechcący, jakby przy okazji, wyrzuci miejscowych, Żydów i Arabów. Znikną warsztaty i biedasklepiki, przepadną garkuchnie, umrze to, co było prawdziwą Jafą.

Jafa to na polskie pieniądze krakowski Kazimierz, tylko jeszcze bardziej, bo większa i silniej zróżnicowana. Ceny mieszkań i tu, i tam poszybowały pod niebiosa. Knajp nie policzysz, podobnie galerii. Lecz zawsze w jakimś zaułku znajdzie się stary sklepik, odrapane podwórko, zawsze trafi się na mieszkańca tubylca, który pamięta, że jeszcze niedawno po zmroku niebezpiecznie było schodzić z ulic, gdzie świeciły latarnie.

Co zdaniem wielu jest najlepsze w Jafie? Nastrój miejsca bohemy, alternatywy i luzu, którego próżno szukać w Tel Awiwie, bądź co bądź jednym z najluźniejszych miast. Tel Awiw bawi się całą noc i Jafa też się bawi, lecz ciszej, choć niekiedy przy równie głośniejszej muzyce, tyle że w większej zadumie, inną wesołością, w której jest miejsce na namysł i nostalgię. Mieszkać w Jafie to wygrać los na loterii; rzut beretem od morza, widoki prześliczne, blisko do ulubionych barów. Ale też porażka, bo wiele jafskich zaułków to ciągle syf (co z tego, że urokliwy), duchota i ryzyko, że weźmie się po pysku. Apartament w Jafie wyznacza status właściciela. Lecz nie w każdym miejscu; mieszkańcy Jafy powiadają, że pyszne osiedle Andromeda powstało w wyniku wielkiego budowlanego szwindlu, więc jeśli ktoś tam mieszka, w szwindlu uczestniczy.

Mieszkanie w Jafie bywa przekleństwem, zwłaszcza na uliczkach arabskiej kazby. I globtroterskim odkryciem – w środku miasta zobaczymy, jak ktoś hoduje owce. Może też być wyrzutem sumienia, zwłaszcza dla dobrze sytuowanych Izraelczyków o lewicowych przekonaniach: mieszkamy tu, bo nas stać, ale ktoś zbudował nasz dom na nie swojej ziemi, nasza obecność odmienia to arabskie miasto, na lepsze najpewniej, lecz owa lepszość nie dla wszystkich.

Pomieszkowałem w Jafie u przyjaciół. Powyższe to ich opinia, ale mnie wcale nie było przykro, że akurat tam mieszkają. Lubilem nocą otwierać okno. Wpadał przez nie wiatr od morza, czasem ryk podrasowanych samochodowych tłumików i przesterowane dźwięki arabskich piosenek, gdzie kilka razy w refrenie koniecznie pojawiała się słowo „habibi” – „kochany”.



W Jafie jest najlepsza w Izraelu knajpka w księgarni albo księgarnia w knajpce. Oczywiście nazywa się Yafa. Można w niej pomilczeć i pogadać, popsioczyć i pochwalić, można zamówić lekcje arabskiego i zanalizować wiersz Czesława Miłosza.

Niewiele dalej podają najlepsze ryby, a że restauracja należy do chrześcijan, można zapić je winem. Zresztą im dalej w Jafę, tym więcej jadłodajni, barków, restauracyjek. Proponowana kuchnia – rzecz jasna – arabska. Otwarte długo w noc, jeść można za grosze, a to, co podają, bije się o palmę pierwszeństwa ze Szmulikiem (patrz G); okra w pomidorach i zupa ze szpinaku w pierwszej lepszej garkuchni przy ulicy Yafet to mistrzostwo świata.

Ale to, po co do Jafy wali cały Tel Awiw, to humus. Takiego humusu nikt nigdzie nie robi. Kremowy, delikatny, łagodny, przepyszny jak niebiańska ambrozja; po jafski humus ustawiają się kolejki.

Zresztą kolejki w Jafie zdarzają się z innych powodów. W święto Paschy stoją pod piekarniami; żydowska tradycja zabrania w tych dniach jedzenia pieczywa na zakwasie, więc można je kupić tylko u Arabów. Okazuje się także, że szkocka whisky wówczas również nie jest koszerna (patrz K). Czy aby naprawdę szkocka ta szkocka z jafskich sklepów należących do Arabów chrześcijan – głowy nie dam. Ale i tak w Paschę kolejki stoją.

---

## Zachodni Brzeg

Czyli ziemia, gdzie ma powstać niepodległe państwo palestyńskie albo, jak mówią wszyscy osadnicy i ci, którzy ich w Izraelu wspierają (nie tak wielu) oraz historycy starożytności, pradawna Judea i Samaria.

Gdy ONZ dzieliła Palestynę i powstawał Izrael, Zachodni Brzeg miał być zaczątkiem arabskiego państwa. Został anektowany przez Jordanię do wybuchu wojny sześciodniowej. Od 1967 r. okupowany przez Izrael.

Kiedy się tam podróżuje, można zachwycić się pustynnym, górzystym krajobrazem, żółtym albo jasnobrunatnym, skalnym, piaszczystym, na zdrowy rozum niegościnnym, jeśli nie liczyć niewielu oaz, wąskiego, zielonego pasa dotykającego Jordanu lub tych miejsc, gdzie dokopano się do podziemnych źródeł. To męcząca podróż, bo pejzaż piękny, lecz monotony i zbyt surowy, latem doskwiera niemiłosierny upał (w Dolinie Jordanu do 50 stopni w cieniu), a zimą leje lodowaty deszcz.

No i – co chyba ważniejsze – szybko pojawiają się pytania. Najprostsze i dosłownie o wszystko.

XXX

Pytanie pierwsze z brzegu: Dlaczego jedne samochody na Zachodnim Brzegu mają żółte rejestracje, a inne zielone? Dlaczego te z żółtymi blachami są z reguły nowsze? Dlaczego te z zielonymi są skrupulatnie zatrzymywane przez wojsko, a te z żółtymi – od czasu do czasu?

Odpowiedź: samochody z żółtymi tablicami należą do Izraelczyków. Z zielonymi – do Palestyńczyków.

Droga wiedzie, dajmy na to, z Nablusu w kierunku osiedla Barkan. Na drodze, w dowolnym miejscu, pojawia się wojskowy patrol – jezdnia przegrodzona z wolnym wąskim pasem pośrodku. Żar leje się z nieba, śmierdzi spalinami. Kolejka do checkpointu wydłuża się z minuty na minutę. Lecz co rusz bokiem śmigają jakieś auta, często z niebiesko-białym izraelskim proporczykiem łopoczącym u anteny.



*Z jak Zachodni Brzeg – Palestyńska rodzina w obozie dla uchodźców, który wcale nie jest obozem*

Gdy podróżowałem na żółtych numerach, było mi głupio, gdy spoglądałem na wystające w ogonku palestyńskie graty załadowane do granic możliwości, na ludzi próżno szukających cienia i ochłody, spoconych, zmordowanych, upokorzonych, bywa, że bez najmniejszej przyczyny.

Gdy jechałem na numerach zielonych, trafiał mnie szlag. A czegoż – pytałem w duchu – chcą ode mnie ci gówniarze w mundurach? Kto dał im prawo zatrzymywać mnie na odkrytej pustyni w palącym słońcu? Spieszę się (a może nie, co to kogo obchodzi), a ci zaglądną w moje dokumenty, ślepią do kabiny, bebeszą bagażnik. Umieją, i to świetnie, być niemili. Wiem, jaki jest powód tych kontroli. Rozumiem przyczyny. Lecz mogliby robić to sprawniej, mniej ślamazarnie, jakoś po ludzku. Tymczasem mam wrażenie, że żołnierzyki dokuczają mi celowo, a i tak jestem w lepszej sytuacji niż mój palestyński przyjaciel, np. Ahmed, profesor geografii i człowiek stateczny; siedzi obok mnie, jakoś skurczony, pewnie ze strachu. Nie powinno być tak, że kolor samochodowej rejestracji określa, kto jest lepszy, a komu wolno mniej.

**XXX**

Albo: dlaczego niektóre domy na Zachodnim Brzegu mają spadziste dachy, pokryte rudą dachówką, a inne (tych jest więcej) dachy płaskie, upstrzone plastikowymi zbiornikami na wodę?

Odpowiedź: domy ze spadzistymi dachami stoją w żydowskich osiedlach, gdzie wody jest dostatek, płynie w kranach, zrasza trawniki, zasila baseny. Zbiorniki na dachach stawiają Arabowie.

Wojna o wodę (patrz W) na Zachodnim Brzegu jest taka sama jak wojna o ziemię. Podobnie wygląda wojna o ścieki i śmieci. Osadnicy nie mają z wodą kłopotu, Palestyńczycy – niemal każdego dnia; jest jej za mało i kosztuje fortunę. Międzynarodowe organizacje pomocowe alarmują, że to krzyżująca niesprawiedliwość. Mają rację, lecz problem w tym, że większość tych organizacji nie lubi Izraela, za to Autonomię Palestyńską – ponad miarę. Wierzę w te dane, lecz nie wierzę w altruistyczne intencje.

Lecz kiedy oglądałem podziemne cysterny na wodę chronione przez Beduinów jak największy skarb, byłem po ich stronie. Nie wolno, myślę, niszczyć cystern wybudowanych na suchej pustyni, bo to kwestia – najdosłowniej – życia i śmierci. Tymczasem dzieje się tak, że izraelskie wojsko burzy

cysterny, podpierając się administracyjnymi nakazami. Co z tego, że niektóre polecenia obali izraelski sąd?

Bywa, że cysterny pamiętają czasy antyczne; służyły najdawniejszym, żydowskim mieszkańcom Judei i Samarii, żołnierzom Aleksandra Macedońskiego, Rzymianom, krzyżowcom, islamskim zdobywcom. Jest rozkaz – cysterna dostaje wyrok śmierci. Głupie to, niegodziwe i niesprawiedliwe. A jednak się dzieje.

Cysterny to, w mikroskali, problem z całą Autonomią Palestyńską i żydowskimi osiedlami na Zachodnim Brzegu. Uważam, że Autonomia winna zamienić się w niepodległe państwo, a osiedla winny zostać ewakuowane (jak osiedla w Strefie Gazy). Ale nie wiem, czy jedno i drugie jest wykonalne.

Autonomia jest kapryśna, niestała, raz żąda spraw realnych, często buja w chmurach. Chce rozmawiać o pokoju, lecz nie potrafi. Miota się, rzuca jak każdy, kto dużo marzy i komu marzenia burzą ogląd rzeczywistości. To niekoniecznie marzenia złe. Lecz marzenia są najczęściej ponad miarę.

XXX

Dlaczego o niektórych miastach na Zachodnim Brzegu mówi się „osiedla”? Ariel, dla przykładu, ma uniwersytet i kilkanaście tysięcy samych studentów, a miasteczek wielkości Ariela jest jeszcze kilka. W Barkanie działa imponująca strefa przemysłowa (niektóre fabryki wyniosły się stąd w obawie przed bojkotem swoich produktów). Zafałszowanie języka – największy problem palestyńsko-izraelskich relacji – zaburza skalę. A bez właściwej miary nie sposób szukać rozwiązania.

Są rzecz jasna również osiedla liczące kilkadziesiąt domów. I takie, gdzie osadnicy mieszkają w kontenerach. Łączy je to, że dla wielu Izraelczyków są solą w oku. Dla Palestyńczyków – realnym zagrożeniem.

To nie mieszkańcy osiedli są partnerami rozmów z Autonomią, ale liczą się w tej rozmowie, i to bardzo. Gdy w Barkanie słuchałem pewnej osadniczki (głupio słuchać sympatycznej kobiety, która opowiada rzeczy niesympatyczne), włos jeżył mi się na głowie. „Przykro mi – mówiła piękna i miła pani – lecz nie istnieje żaden naród palestyński. To, proszę wybaczyć szczerze, wymysł cesarza Hadriana. Ci Arabowie, którzy roszczą sobie prawa do mojej ziemi, to jacyś Egipcjanie, Sudańczycy, Syryjczycy, słowem – przyjezdni. Ja jestem tu u siebie. Prawdziwy, biblijny Izrael to Judea i Samaria, a nie Tel Awiw”.

Pani z osiedla Barkan ma rację (król Dawid wcześniej władał Zachodnim Brzegiem niż Jerozolimą). Na dodatek w porównaniu z wieloma innymi osadnikami jest bardzo umiarkowana w sądach. Ale też nie ma racji. Jak taką panią nakłonić do pokoju, zwłaszcza że oznacza on porzucenie domu?

XXX

Aby skomplikować sprawę, powiedzmy, że są na Zachodnim Brzegu osiedla legalne (z punktu widzenia izraelskiego prawa) i nielegalne. Te nielegalne Izrael próbuje zamykać. Wówczas robi się awantura. Osadnicy krzyczą, że rozpędzą władzę na cztery wiatry, i sekunduje im część Izraela, ta z prawej, nacjonalistycznej strony.

Dalej wszystko zależy od aktualnego układu sił. Raz nielegalne osiedla są likwidowane: przepychanki z policją, asysta wojska, osadnicy przyszywają żółte gwiazdy Dawida do ubrań. Innym razem – legalizowane, jak np. zamienione na noclegownie (trudno nazwać to domami) dawne arabskie sklepy w centrum Hebronu (patrz H).

I tak zaplata się w kolejnych węzłach to, co dość zaplecione. Znam Izraelczyków, którzy uważają, że osiedla są i będą kamieniem u szyi państwa żydowskiego i ostatecznie je zepsują. Tych wspierających osadnictwo jest zdecydowana mniejszość, lecz sztukę politycznego szantażu opanowali do perfekcji.

XXX

Dlaczego obozy uchodźców nazywają się obozami?

Bo tak wygodniej, dla Palestyńczyków i dla świata, mimo że z prawdą nie ma to nic wspólnego.

Ludzie mieszkają tam od izraelskiej wojny o niepodległość. Uciekli z własnych domów ze strachu przed frontem oraz obawiając się brutalności żydowskich oddziałów, o czym trąbiła arabska propaganda, najczęściej mijając się z prawdą. Słusznie uciekali, niesłusznie? – trudno powiedzieć, choć niektóre izraelskie formacje wojskowe mają na sumieniu zbrodnicze działania wobec cywilów, podobnie jak arabskie wobec ludności żydowskiej. Często Palestyńczyków po prostu wyrzucano z domów (pisze o tym we wspomnieniach Icchak Rabin – patrz R), co mogło nosić znamiona czystek etnicznych. Tyle że działo się to pół wieku temu z okładem, po wielkiej wojnie, która zmieniła mapę świata i zabiła 50 milionów ludzi, więc nikt tego wówczas tak nie nazywał i – jakkolwiek paradoksalnie to by brzmiało – żołnierze mogli nie wiedzieć, co robią.

Było i tak, że arabskie wojska i rządy wzywały pobratymców z Palestyny: „Uciekajcie, niebawem wrócicie, gdy pokonamy Żydów”. Nie pokonali.

Widziałem palestyńskie obozy w Jordanii. Niektóre wyglądają do dzisiaj jak obozowiska złożone z zetlałych namiotów. Słyszałem o Palestyńczykach w Syrii, którzy od 1948 r. nie mają normalnych dokumentów, więc nie mogą legalnie pracować. Tymczasem obozy na Zachodnim Brzegu (i w Gazie) to po prostu miasta położone wewnątrz miast z dawna zasiedziały, odwiecznych. Murowane domy, czasami wyasfaltowane ulice. Bliskowschodni standard, wyłączając dostatni Izrael. Również dlatego to tak boli.

Jak nazwać mieszkańców obozów? Żyją tam jeszcze ludzie, którzy odeszli ze swoich domów, dobrowolnie i niedobrowolnie. Noszą na szyjach klucze od obejść, które kiedyś były ich własnością. Ale większość to ci, którzy nie pamiętają brytyjskiego mandatu nad Palestyną. Urodzili się w Nablusie, Dżeninie, Jerychu, a nie w domach dziadków w Ramli lub Lod. Przynależą do innej rzeczywistości, politycznej, społecznej i geograficznej. Dziedziczą jednak te klucze do starych domów, a z nimi pewność, wbijaną do głów przez palestyńskie szkoły, rodziny i polityków, że kiedyś



powrócą. Tak się nie stanie, póki Izrael istnieje, bo gdyby się stało, skończyłoby się, choćby z przyczyn demograficznych, żydowskie państwo.

Prawo do powrotu, czyli zgoda, by arabscy uchodźcy z 1948 r. i ich potomkowie objęli w posiadanie pomarańczowe gaje, których byli właścicielami, rozbiło niejedne palestyńsko-izraelskie negocjacje pokojowe. Myślę, że ktoś, kto miesza w ten sposób w ludzkich głowach, musi być bardzo cyniczny i bezwzględny. Bo nie chce mi się wierzyć, by ten ktoś wierzył, że mówi coś, co może się ziszczyć.

XXX

Albo pytanie kolejne: dlaczego w Dżeninie zabito Juliano Mer – Chamisa?

Nie wiadomo, choć zapewne wiadomo kto. Przynajmniej tak wydaje się palestyńskiej policji.

Juliano urodził się w Nazarecie; mama, Żydówka, była działaczką pokojową, ojciec, Arab chrześcijanin – jednym z liderów izraelskiej partii komunistycznej. Juliano był aktorem, reżyserem, grał m.in. w „Małej doboszce” według powieści Johna le Carré i w „Soli tej ziemi”, palestyńskiej produkcji nominowanej do Oscara w 2008 r. Bezspornie izraelski patriota (służbę wojskową odbył w oddziałach spadochroniarzy) z tego gatunku, który szansę Izraela upatruje w pokoju z Palestyńczykami. W radiowym wywiadzie powiedział: „Jestem w 100 procentach Izraelczykiem i w 100 procentach Palestyńczykiem”. Trzeba mieć wiele odwagi, by wygłosić taką deklarację.

Lata przed drugą intifadą (patrz I) matka Juliano założyła w palestyńskim Dżeninie Teatr Wolności dla arabskiej młodzieży. Jednym z młodocianych aktorów był Zakaria Zubeidi; wcześniej pracował na czarno w Izraelu, kradł samochody, siedział w więzieniu. Teatr wedle Samiry, matki Zakarii, był ostatnią szansą na normalne życie.

Gdy podczas drugiej intifady izraelska armia zastrzeliła jego matkę i brata, Zubeidi przystąpił do Brygad Męczenników Al-Aksa; bojownikami zostali również inni aktorzy teatru. Zakaria robił bomby, wysyłał do Izraela zamachowców samobójców, był mózgiem organizacji. Wnet stał się najpotężniejszym człowiekiem w Dżeninie – gnieździe os, gdzie codziennie ginęli ludzie – i znalazł się w czołówce izraelskiej krótkiej listy najbardziej poszukiwanych terrorystów (najpewniej zorganizował zamach, w którym zginęło 29 Izraelczyków). W czasie gdy Zakaria walczył, Juliano próbował odtworzyć teatr.

Aż nagle Zubeidi ogłosił publicznie, że przestaje walczyć. Powiedział: „Intifada była klęską, nasza postawa jest porażką, ja sam ponosiłem tylko klęski, przez 50 lat walki z Izraelem udało nam się tylko przetrwać, nic więcej, konieczna jest inna droga”. W 2006 r. Juliano otwiera na nowo Teatr Wolności i zaprasza Zakarię do współpracy. Zubeidi przestaje się ukrywać, zostaje dyrektorem teatru (ma, co już wiemy, wspaniałe zdolności organizacyjne), lecz dopiero rok później korzysta z amnestii. Zdaje się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku.

W kwietniu 2011 r. przed budynkiem teatru zamaskowany strzelec morduje Juliano Mer-Chamisa. Podobno zrobił to odszczepieniec z Brygad Męczenników, który przeszedł do Hamasu. Kilka miesięcy później izraelskie władze odwołały amnestię dla Zakarii Zubeidiego. Powodów nie podano, choć najpewniej jedno i drugie nie ma żadnego związku.

Lewicowa opinia publiczna Izraela nie ma wątpliwości, że Zubeidi nie miał nic wspólnego z zabójstwem Mer-Chamisa. W Dżeninie też nikt w to nie wierzy. I tu, i tam ludzie uważają, że Juliano i Zakaria robili coś fantastycznego. I tu się kończy wspólny ogląd świata.

W Dżeninie mówią: „Juliano mieszkał tu w najgorętszym okresie palestyńskiego powstania i wszyscy go szanowali. Uwielbiano jego matkę. Nie podniósłby na niego ręki zaden ucziwy Arab”. Wniosek jest taki, że Mer-Chamisa zastrzelił arabski najmita.

W Izraelu powiadają, że Juliano zginął, bo naraził się islamskim ekstremistom. Już wcześniej otrzymywał pogróżki od takich, którzy są radykalniejsi nawet od Hamasu. Sytuacja – tłumaczą – jest taka, że już nikt nie kontroluje podziemnego życia Zachodniego Brzegu. A pod ziemią wrze.

Słowem – nikt nie wie, jaki był powód zabójstwa stuprocentowego Izraelczyka i stuprocentowego Palestyńczyka w jednym. Na pogrzebie Juliano stali obok siebie Żydzi i Palestyńczycy. Mogliby spotykać się nie tylko na symbolicznych pogrzebach, i tak się dzieje, niestety, zbyt rzadko. Ale to już zupełnie inna historia.

© Copyright by Paweł Smoleński

© Copyright by Agora SA 2012

OPIEKA REDAKCYJNA: Paweł Gozliński

KONSULTACJA MERYTORYCZNA: Michael Sobelman

KOREKTA: Marta Śliwińska, Emilia Tomczyk

PROJEKT OKŁADKI: Sabina Bujok

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Elżbieta Wastkowska

FOTOEDYCJA: Agnieszka Żelazko

PRZYGOTOWANIE ZDJĘĆ: Anna Biała

PRODUCENCI WYDAWNICZY: Małgorzata Skowrońska, Robert Kijak

KOORDYNACJA PROJEKTU: Magdalena Kosińska

ZDJĘCIA: Zdjęcia okładkowe: Yin Dongxun/FotoChannels; Sławomir Kamiński/Agencja Gazeta; Israel images/Alamy/BEW; Eitan Simanor/Getty Images/Flash Press Media; Moshe Shai/Anzenberger Agency/Forum; Dudy Tal/agefotostock/BEW; R. Schmid/Bildagentur Huber/Forum; ddp images/Forum; Yoel Harel/Alamy/BEW; Nayef Hashlamoun/REUTERS/Forum; REUTERS/Forum; Jon Jones/Sygma/FotoChannels; Cecile Degremont/BEW; Debbie Hill/UPI/BEW; Anat Zakai/MAANIMAGES/MAXPPP/Forum; Farrell Grehan/FotoChannels; Eddie Gerald/Alamy/BEW; B. Friedrich/ullstein bild/BEW; Meinrad Schade/Anzenberger Agency/Forum; Topfoto/Forum; BEW; Marcos Brindicci/REUTERS/Forum, Eliana Aponte/REUTERS/Forum; Gabriel Rif/Alamy/BEW; ddp images/Medium; Ali Jadallah/apaimages/BEW

Wydanie I elektroniczne

ISBN: 978-83-268-1050-3

WYDAWCA

Agora SA

ul. Czerska 8/10

**00-732 Warszawa**

